

247/78
D-r E. Hauke.

DZIECKO

i

RODZINA



WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Swiat 41.

1892

DZIECKO I RODZINA.

24

D-r E. Hanke.

DZIECKO I RODZINA.

WSKAZÓWKI KSZTAŁCENIA DOMOWEGO DLA MATEK.

Wolny przekład z niemieckiego.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1892.

N II 3 f

498 616

1

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Февраля 1892 года.

k-18/291
6.1. 60,-



PRZEDMOWA.

Puszczając w świat książkę, której pierwsze stronice za chwilę czytać będziesz, Łaskawy Czytelniku, nie mieliśmy zamiaru dać Ci wyczerpującego systematycznego wykładu wychowania domowego, popartego ścisłemi danemi naukowemi, wziętemi ze statystyki, z psychologii naukowej lub higieny. Książka taka, bezspornie pełna wartości, mogłaby zainteresować i być czytana tylko przez szczupłe grono ludzi, przeważnie specjalistów-pedagogów, wogóle ludzi dobrze obznajmionych z naukami, na których się głównie pedagogia umiejętna opiera, a co za tem idzie—chybiłaby celu, któryśmy sobie założyli.

Zamiar nasz był zupełnie inny; wydając książkę niniejszą, inną sferę czytelników mieliśmy przed oczyma: chodziło nam o ogół inteligentnych rodziców, przeważnie matek, które, nie posiadając specjalnego pedagogicznego wykształcenia, pragnęłyby ogólnych wskazówek, co się tyczy samej kwe-

sty domowego wychowywania, oraz rzeczy, blisko z tą sprawą związanych.

Miłość rodziców do dzieci, wychowujących dół wychowywanych, jest osią, około której obraca się wszystko, co się tyczy postępowania z rosnącym młodem pokoleniem. Sztuka wychowywania dzieci jest tak starą jak ludzkość sama, istniała wcześniej, niżeli współczesna, młoda jeszcze i wskutek tego mało pewna pedagogia naukowa. Pracuje ona raczej w kierunku objaśniania tych prawd pedagogicznych, tych metod postępowania z dziećmi, które zostały zdobyte, wyrobione drogą czysto doświadczalną, przez szeregi matek, ojców, które nas poprzedziły. Nowe prawdy odkrywa rzadko. Część tych prawd pedagogicznych, i to najważniejsza, spoczywa w każdej kochającej swe dzieci, inteligentnej matce w postaci instynktów macierzyńskich, które z sobą wraz ze swą kobiecością na świat przynosi. Książka ta ma więc na celu wydobyć, uświadomić te prawdy, które tkwią na dnie serc rodzicielskich, wydobyć je, objaśnić ich znaczenie, podać złe skutki z nienormalnego ich stosowania.

Niestety, sam instynkt macierzyński, który objawia się bezwiednie, i to tem silniej, im bardziej kobieta matką się czuje, im bardziej swe dziecko kocha, nie wystarcza; niezawsze rady, które on daje, dobre skutki przynoszą. Jest on właściwie

głosem natury, a my żyjemy obecnie w warunkach sztucznych. Ciągłe w życiu następczą się każdemu rzeczy, które uwzględnić musi, chociaż wie, że one szkodę przyniosą,—są one tego rodzaju, że nieprzyjęcie ich, chociażby było zdrowszem, normalniejszym, jednak pociągnęłoby za sobą mnóstwo innych przykrości, któreby stanowczo swą szkodliwością przeważały dobre rezultaty, początkowo osiągnięte. Dalej, skutek skomplikowania, sztuczności naszego życia, spotykają się rzeczy, których instynkt macierzyński, nawet najsilniej rozwinięty, oparty na wielkiem przywiązaniu do swego dziecięcia, przewidzieć nie jest w stanie. Takie rzeczy trzeba wiedzieć z góry, z góry przypuszczać dające się przewidzieć wypadki, i podług tego, często nawet walcząc z sobą, kierować jego wychowaniem, przygotowując je do zetknięcia się i zwalczania nieuniknionych przeszkód, zła, które w dal-szem życiu spotkać może.

Właśnie niniejsza książka ma także na celu ułatwić przewidzenie przyszłości dziecku i, co ważniejsze, dać możność podług tego metodę wychowywania przystosować, z uwzględnieniem, rzecz prosta, indywidualności samego dziecka.

Autor, stary pedagog, używa tu swoich metod przekonywania, zwykle różnych, które się jednocześnie rzadko gdzie z sobą spotykają: dowodzeniami, czerpaniem z nauk pomocniczych, faktami,

czepanemi z własnego doświadczenia, stara się trafić do rozumu wychowawców; z drugiej jednak strony przemawia do ich serca, do ich uczuć macierzyńskich czy ojcowskich, do poczucia obowiązku, starając się uprzytomnić im wielkość odpowiedzialności, która na nich spada wraz z zaszczytną, świętą misją—wychowywania przyszłych obywateli kraju.

Oryginał pisany jest po niemiecku i nosi tytuł: „Briefe an die Mutter.“ To, co dajemy, nie jest tłumaczeniem, lecz przeróbką. Porządek rozdziałów, podział przedmiotu—zostały w całości zachowane. Natomiast tekst oryginału uległ zmianie o tyle, o ile tego wymagała odmiennność stosunków, w których żył autor, oraz ludzi, do których przemawiał. Mianowicie fakty, zwyczaje, instytucye i t. d., których nie mamy lub nie posiadamy, zostały pominięte, natomiast spotykane u nas zyskały nasze opracowanie.

Wydawca.

.. Uczoność.

Te dawne czasy, kiedy duch ludzki po raz pierwszy zaczął grzebać w otaczającym go świecie, z trudem zdobywając pierwsze ziarenka prawdy, pierwsze fakty z nauki, giną gdzieś w odległych pomrokach wieków ubiegłych. Z uzbieranych kawałeczków lepiono pierwsze fundamenty olbrzymiej budowy, która obecnie nosi miano cywilizacji i jest rezultatem pojedynczych usiłowań całego mnóstwa ludzi, ciągnących się nieprzerwanym łańcuchem przez wszystkie wieki, sięgającym dalej, aniżeli pamięć ludzkości sięgnąć może. Stoimy obecnie przed współczesną nauką, jak przed jakimś niewyciężonym olbrzymem i czem bardziej staramy się nad nią zapanować, czem głębiej wnikać, tembardziej czujemy słabość naszego umysłu; nawet najśmielsze, najszersze duchy współczesne przyznać muszą, że między wiedzą obecną a tem, co umysł oddzielnego człowieka ogarnąć może, istnieje przepaść, której żaden ze śmiertelnych już obecnie przejść nie jest w stanie.

Obecnie możemy twierdzić prawie na pewno, że najwięksi uczeni nie obejmują w zupełności nawet oddzielnej gałęzi nauki, nie mówiąc już o całkowitej. To, co wiedzą, jest zwykle ułamkiem: całość może się pomieścić tylko w wielkiej liczbie oddzielnych umysłów. Dawniej w społeczeństwach istniały zaledwie garstki wybranych, którzy zasługiwali na miano „ludzi nauki.“

Dziś, na wszystkich polach, we wszystkich gałęziach nauki pracuje mnóstwo ludzi na podobieństwo mrówek, budując gmach, którego ogólnego kształtu, ze wszystkimi szczegółami nikomu ze śmiertelnych nie sądzono jest oglądać. Zaciekle badania, gorączkowe poszukiwania prawdy stwarzają coraz to nowe nauki, stwarzają coraz to świeże pytania do rozstrzygnięcia, coraz głębiej wdzierają się w naturę świata; fakty mnożą się i mnożą: ostateczne krańce i cele nauki, zamiast się zbliżać, uciekają w przyszłość, oddalają się coraz bardziej, rozszerzając horyzonty wiedzy, zagarniając nowe, nieznane obszary.

Dążność do posuwania ludzkości na drodze cywilizacyi wymaga odpowiedniego przygotowania jednostki do tej pracy, odpowiedniego jej rozwinięcia. Dawniej, przed paru wiekami, przygotowanie takie nie wymagało ani wiele pracy, ani nie było zbyt staranne. Dziś przyswojenie sobie choć części nabytków cywilizacyi, w celu pchania jej

dalej, wymaga ogromnej pracy, która może być podjętą tylko przez jednostkę odpowiednio przygotowaną. Dlatego też w ostatnich czasach sztuka kształcenia, uczenia ludzi stała się donioślejszą, zmieniła się na specjalną naukę, posiadającą swe prawa, wyrobione metody postępowania, cały szereg wypróbowanych środków pomocniczych.

„Wiedzieć“ stało się ideałem współczesnego człowieka. Dlatego też podwoje przybytku wiedzy roztwarły się dla wszystkich—nauka, jako dobro, jako potrzeba powszechna, stała się dostępną dla każdego. „Wiedza daje siłę i poważanie“—oto zdanie, które dźwięczy obecnie wśród społeczeństw ucywilizowanych, dominując ponad innemi. Ludzkość biegnie tłumnie do tych źródeł i czem bardziej czuje ich wzmacniającą siłę, tem chętniej podnosi je do godności swego bóstwa.

Jednakże w tym zapale zapominają, niestety, coraz bardziej o słabości dziecięcego, rozwijającego się organizmu, nie pytają, czy ten młody mózg, młode ciało zdolne jest znieść bez szkody forsowne nauczanie współczesne, czy ten balast cyfr i imion, dat i formuł nie będzie dla niego zaciężkim?

Obecnie jesteśmy w dobie walki starej teorii i nowej praktyki z nową teorią a starą praktyką. Zrozumiano doniosłość nauki, ale nie pojmują jeszcze tej starej zasady, że wszystko ma swoje granice.

Dawniej mało mówiono o „ogólnem“ wykształceniu, ponieważ ówcześni uczeni byli właściwie takimi ogólnie wykształconymi ludźmi; obecnie rzeczy się zmieniły: pojęcia, uczoność i wykształcenie, pomimo ich pokrewieństwa, różnią się jednak od siebie, ponieważ jest dużo uczonych, o których nie można powiedzieć, że są wykształceni. Wydaje się to paradoksalnem, aby mogli istnieć niewykształceni uczeni, ponieważ uczoność uważamy jako nieodłączny przymiot wykształcenia.

A jednak tak jest.

Uczoność, zamknięta w jednej jakiejś drobnej gałęzi nauki, ograniczona do pewnego specjalnego rodzaju faktów i zjawisk, niewyglądająca poza tę granicę ani na prawo, ani na lewo, przestaje być nauką. Liczba prawdziwych uczonych — tych rycerzy ducha, którzy, nie ograniczając się na swojej specjalności, wylatują, a przynajmniej próbują wylatywać z ciasnego jej koła, aby okiem objąć większe horyzonty nauki, którzy starają się nie być obcymi i wśród innych gałęzi — staje się coraz mniejszą; natomiast liczba zwykłych robotników nauki, którzy, zagrzebawszy się w jakiejś drobnej specjalności, obracają się wśród szczupłej garstki faktów, które z całą pedantyczną, często bezmyślną drobiazgowością studyują, pracując niby dla nauki, a częściej wprost na chleb powszedni — liczba takich uczonych wzrasta z dniem każdym. O tych

możemy się nie troszczyć, zostawiając ich własnemu losowi: może niejednemu z nich uda się uszczknąć choć jeden listek z wieńca, zdobiącego głowy rzeczywistych uczonych — tych wielkich duchów, których ciasna jednostronność przejmując wstrętem; sława ich rozszerzy się, być może, wśród kolegów po fachu, wreszcie zniknie pod naciskiem nowych generacji; podczas gdy sława prawdziwych uczonych rozlewa się szeroko, przenikając do wszystkich nauk, dostaje się powoli do wykształconych warstw społecznych, gdzie zyskuje trwałą pamięć, przekazywaną pokoleniom następnym.

Obszar nauk rozszerzył się ogromnie; często stoimy zafrasowani, niezdecydowani wobec pytania: co z tego wszystkiego mamy dać dzieciom naszym? Ogólnie obecnie przyjętą metodą jest pakowanie w młode główki, co się da i ile się da, nie zwracając uwagi, czy w ten sposób nie przynosi się raczej szkody, niż korzyści.

Przeciążanie nauką stało się rakiem, toczącym wszystkie nasze zakłady naukowe. Najnowsza metoda praktycznego nauczania wyrzuca z swego programu wszystkie prawie abstrakcje, uważając natomiast *doświadczenie*, jako podstawę wszelkiej wiedzy. Jednakże pogłądowa metoda nauczania, t. j. dostarczanie dzieciom pewnej ilości

faktów konkretnych, niestety, zbyt długo utrzymać się nie mogła i zaczyna obecnie ustępować tak zwanej naukowej metodzie nauczania, która jako cel wzięła sobie właśnie naładowywanie głowy dziecka możliwie największą ilością wiadomości. W uniwersytetach nie wiadomo, gdzie początek, a gdzie koniec tej nauki, tak jej wszędzie pełno; możnaby sądzić, że w nauce koncentruje się całe życie człowieka, że poza specjalną wiedzą nie istnieje mnóstwo innych rzeczy, może ważniejszych od specjalnych, naukowych faktów. Młodzież w uniwersytetach kształconą jest tak, jak gdyby wszyscy mieli zostać w przyszłości profesorami lub uczonymi; obarczają ich drobiazgami naukowymi, z którymi następnie w życiu nigdy się nie spotkają; odbierają im samodzielność, oryginalność myślenia, przywalając mózg masą praw i faktów, z pod których trudno jest wydobyć się następnie. Dużo jest takich, którzy, skończywszy uniwersytet, wchodzą następnie na drogę praktycznego życia i często zostają wprowadzeni w kłopot najprostszeimi kwestyami, tyjącacemi się ich zawodu, specjalności. Po paru takich doświadczeniach dochodzą wreszcie do smutnego przeświadczenia, że brakuje im właśnie tego, czego wymaga ich powołanie, a czego nie nabyli w czasie studyów uniwersyteckich.

Chciałbym, aby wreszcie zrozumiano, że młodość nasza otrzymuje zbyt wiele naukowej stawy, której nawet dobrze pożyć nie jest w stanie, nie mówiąc już o strawieniu; nauka jest potęgą, to prawda, ale bynajmniej nie jest źródłem szczęścia!

II. Wykształcenie.

Ani ogromna erudycja, ani wielka uczoność nie jest tem, co nam i światu może przynieść szczęście, — nie jest tem, co nas pcha wyżej, ku wyższej cywilizacyi; wiele wiedzieć — nie wystarcza, aby stanąć na tej wysokości, gdzie w nieszczęściu nie przychodzi zwątpienie; z kądem pogardą i politowaniem nie patrzy się na tych maluczkich, którzy mniej od nas umieją; gdzie się nie traci odwagi, jeżeli usiłowania, aby zlać w jedno „módm“ i „wiedzieć“, nie wydadzą natychmiast rezultatów; nie — wykształcenie, a nie uczoność, daje nam pomoc i pociechę we wszystkich przeciwnościach życia, pozwala spokojnie znosić świadomość tego, że wszystko na świecie jest przemijającym i niestałym, że, jak nasza wiedza, tak i siły nasze mają swe granice, których przekroczyć nie można.

Jak zimnym wydaje się nam uczony, który nie posiada ogólnego wykształcenia, jak nas w nim nic nie porusza! Jego mózg to skład faktów naukowych, ułożonych systematycznie, z małą maszyną do poruszania niemi od czasu do czasu w dość szczupłym zakresie.

Zupełnie przeciwne wrażenie otrzymujemy od rzeczywistego uczonego, który nietylko *wie*, ale i *rozumie*. O ile praca tamtego jest więcej mechaniczna, bez wyraźnej świadomości celu, o tyle ten czuje, że praca jego to nie jest tylko usiłowanie rozwiązania pewnego zagadnienia; rozumie, że to rozwiązanie jest środkiem; cel pracy to rozwijanie umysłu ludzkiego, to wyciągnięcie ludzkości z błot barbarzyństwa, postawienie jej na wyższym stopniu cywilizacyjnego życia, danie wyższej, moralnej kultury. Do osiągnięcia tego celu rzeczywisty uczony używa wszystkich swych sił umysłu, woli i uczucia!

Jest to pożałowania godnem, że wśród uczonych tajemnie i otwarcie toczy się walka o znaczenie, rangę nauk. Kłóćą się nietylko o *wartość* danej nauki, ale i o jej znaczenie, o jej *rangę*, stopień w hierarchii nauk. Tylko brakiem ogólnego wykształcenia można wytłumaczyć sobie zażartość tych sporów, prowadzących do dość nieprzyjemnych, niesmacznych konsekwencji. Pytanie, czy wogóle można mówić o naukach, czy właściwie

nie istnieje tylko jedna nauka—wiedza? Jest to już wprost komicznem, kiedy filolodzy i przyrodnicy kłócą się o to, która z nauk, przyroda czy filozofia, ma wyższą rangę. Każda gałąź wiedzy jest tylko częścią ogólnej nauki. Jak więc jedna z nich może być wyższą od drugiej, kiedy każda jest tylko częścią całości i tylko jako taka, jako organiczna część całości, ma swoją wartość i znaczenie? Jeżeli już chcą się kłócić, to należałoby pytać się: która z nauk jest więcej *pożyteczną*? rozstrzygać kwestyę: kto więcej przysłużył się ludzkości, czy Cyceeron lub Homer, czy też Edison?

To wywyższanie lub poniżanie pojedynczych nauk nie miałoby żadnego znaczenia, byłoby prostą zabawką bez znaczenia, gdyby te wyroki nie wpływały na *range* nauczycieli tych lub owych przedmiotów i w ten sposób nie wpływały pośrednio na dzieci. Taka klasyfikacya nauczycieli nie może dobrze wpłynąć na uczniów, tembardziej, że teoretyczne jej podstawy, pomijając już ich błahość, pozostają dla nich niedostępnymi, niezrozumiałymi. Ztąd także płynie poczęści i przeciążanie dzieci pracą umysłową; każdy z nauczycieli sądzi, że „jego“ nauka ma najwyższe znaczenie, chciałby ją w całości wpakować w głowę dziecka.

Wskutek tej jednostronności, wskutek zwracania uwagi na ilość faktów z każdej nauki, młodzież otrzymuje wykształcenie powierzchowne, zja-

wia się mnóstwo ludzi napół wykształconych, z wązkim, płytkim poglądem na świat i odbywające się w nim zjawiska, którzy o wszystkim mogą mówić, wygłaszając swoje własne sądy bez odpowiednich podstaw, — ludzi, którzy wszystko rozumieją, wszystko krytykują.

Wskutek ciągle wzrastającej liczby takich pół-uczonych wpływ ich widocznym jest wszędzie; cierpią z ich powodu i prawdziwi uczeni, których zabijają, przygniatają swoją arogancją, zuchwalstwem, brutalnemi, impertynenckimi wystąpieniami, tak nieliczącemi ze szlachetnym spokojem prawdziwej nauki, o którą w tych hałasach niby pozornie idzie. Ci pół-uczeni, ci niewykształceni uczeni kręcą się wśród uczonych, mącąc im spokój, poszukując w gwałcie i krzyku pewnej podpory dla swej karyery; obnoszą wszędzie swą wiedzę, imponując prostaczkom zwykle tylko zewnętrznąścią, robioną pompą; swoje teorye ogłaszają światu przy odgłosie bębnów reporterskich i trąb reklamy; gnieźdzą się wszędzie, gdzie tylko znajdą dogodne dla siebie miejsce: w zarządach instytucyj, w prasie, w towarzystwach uczonych i wśród prostego ludu, głosząc wszędzie swą mądrość, brutalnie napadając każdego, ktoby o tem śmiał wątpić. Ci pół-uczeni są postrachem współczesnych rzeczywistych uczonych i wykształconej części społeczeństwa. Są to dzieci naszego wieku, wieku bla-

gi i reklamy: on tylko ze wszystkimi swemi anormalnościami i sprzecznościami mógł ich urodzić i wyhodować.

Wobec tego widzimy, że czysta, surowa nauka nie jest w stanie uszlachetnić ludzi, nie może sama jedna poprowadzić naszych dzieci ku lepszej przyszłości.

Współczesna nauka jest zimną, niema w niej cieplejszego zabarwienia; ideały dobra, piękna, ciągła dążność do uszlachetniania charakteru i ducha zostały wyprowadzone za nawias, nauka czy sta wcale ich nie uwzględnia. Dlatego też dziś, więcej aniżeli kiedyindziej, otwiera się bardzo piękne zadanie dla domowego wykształcenia, które powinno dopełniać, uszlachetniać surowe szkolne wykształcenie, wszczepiając równocześnie z nabywanemi prawdami naukowemi prawa i prawdy moralności; szkoła rozwija rozum, dom powinien kształcić uczucie i wolę, rozwijać zamiłowanie piękna, kształcić, uszlachetniać popędy towarzyskie i społeczne. Celem wychowania powinno być używanie wszelkich środków, aby w dziecku wykorzystać wszelkie złe nałogi i popędy, wszelką dążność do czysto zmysłowego używania, do blichtru i moralnej tandety,—natomiast skierowywanie ku rzeczom szlachetniejszej, idealniejszej natury, bo tylko to może uczynić ludzi rzeczywiście szczęśliwymi na tym świecie.

„Masz dwie drogi przed sobą otwarte:

„Jedna ku ideałom wiedzy, druga wprost ku śmierci.“

(Goethe.)

Dążność ku wyższym, szlachetniejszym ideałom nie może być jedynym punktem, około którego obraca się wykształcenie, ponieważ istnieje cały szereg czysto praktycznych spraw życiowych, wobec których ideały nie na wiele się przydadzą; nie należy jednak uważać ją jako coś dodatkowego, pożytecznego, bez czego jednak w zasadzie obywać się można: te wyższe ideały powinny stanowić koronę, kwiat wykształcenia.

Jednostronny rozwój rozumu i serca nie daje człowiekowi swobody; przeciwnie, zacieśnia ją, odbierając jednocześnie to szczęście, które płynie z możliwości szerszego odczuwania i zrozumienia; nie pozwalając rozwinąć się pewnym władzom i zdolnościom, które człowiek z sobą na świat przyniósł, jednostronność jest zarazem czynnikiem uwsteczniającym, wstrzymującym naturalny rozwój; jeżeli nie postaramy się w dziecku rozwinąć idealniejszych popędów, czy to przez nauczanie, czy przykład, jeżeli nie wszczepimy mu miłości dobra, piękna, prawdy,—wówczas całe wychowanie, kształcenie, mija się z rzeczywistym celem swoim, ponieważ ani obszerna i głęboka wiedza, ani dobrze rozwinięty aparat myślenia nie robi go szczęśliwym, ani nie uczyni zdolnym do uszczęśliwiania innych.

Nie wiedza i uczoność, ale wykształcenie, nie zimna praca jedynie umysłu, ale poczucie obowiązku, humanitarność, poświęcenie, szlachetna swoboda myśli i czynów są tem, co, jak człowieka, tak i cały naród może uczynić wielkim i silnym, zaprowadzić go na najwyższe stopnie kulturalnego rozwoju.

III. Niezbędne warunki do założenia rodziny.

Wskutek właśnie tego, że sama czysta nauka nie jest w stanie zapewnić szczęścia, społecznego naszego systemu wychowania wcale nie można uważać za zupełny i zadawalniający.

Z przyjemnością zaznaczyć należy, że t. z. wykształcenie szkolne w ostatnich dziesiątkach lat rozwinęło się bardzo znacznie; tymczasem wychowanie domowe, to źródło rzeczywistego wykształcenia, nie stanęło na tej wysokości, na jakiejby stanąć mogło.

Wykształcenie domowe — to rodzina i jej wpływ na dzieci.

Jednakże w ostatnich czasach rodzina i jej stosunki uległy i ulegają ciągłym zmianom. W stosunkach rodzinnych zachodzi pewien proces fermentacyjny, którego naturę mało jeszcze znamy,

a wcale nie wiemy, jaki będzie jego końcowy rezultat. Jak wogóle, w takich czasach przejściowych następuje czasowe rozprzęgnięcie się, pewien rozkład, co do którego można powiedzieć z góry, że na przyszłe potomstwo, na jego moralną stronę, dobrze wpływać nie może. Dawniejsze, proste stosunki rodzinne spotykają się już dzisiaj bardzo rzadko; te matki, kapłanki rodzinnego ogniska, te gwiazdki rodzinne, pełne miłości, spokoju, ciepła, zniknęły może nazawsze.

Dziś do rodziny dostały się rozkładowe prądy, które nurtują ogół naszych stosunków społecznych. Pieniądz i tam zadzwieczał, mącąc spokój, komplikując stosunki; pod wpływem gorączkowej pogoni za złotem i za użyciem rodzina się rozprzęga, rozbiega; rozkiełznany indywidualizm współczesny coraz to bardziej utrudnia złączenie dwóch istot w jedno zgodne stadło. Ileż to mamy rodzin, w których łonie wre zacięta walka między mężem i żoną, które są terenem ciągłych kłótni i niesnasek; atmosfera rodzinna, zamiast ciepła i miłości, posiada zimną atmosferę, przesiąkniętą nienawiścią, która rozciąga się i na dzieci, warząc zawczasu ich delikatne, rozwijające się serca.

Chciałbym dostać się do niejednej z tych rodzin i zawołać: matko, kobieto, co czynisz! patrz, jakimi są twe dzieci! co z nich w takich warunkach wyrośnie! Nie opuszczaj dla marnych dro-

bnostek, osobistych niskich ambicyj, tej wielkiej roli, jaką ci poruczono! Uwij lepsze gniazdko dla twych dzieci, nie dopuszczaj tam ani chłodu, ani rynsztokowego błota ulicy! Wiedz, że misyą twoją nie są zajęcia w kuchni lub spiżarni, w oborze lub ogrodzie, nie tualeta lub wizyty i przyjęcia, godne podtrzymywanie zewnętrznego blichtru domu, ale wychowanie dzieci. Powinnaś być nie tylko panią, gospodynią domu w stylu nowożytnym, ale raczej w stylu dawniejszym,—powinnaś być przede wszystkim matką dla swych dzieci!

Niektórzy mówią: „Na co to wszystko? Rodzina nie jest w stanie wychować człowieka, daleko lepiej robi to szkoła i życie!“ Tak, szkoła! Na jej i tak zbyt już przeciążone barki rodzina składa coraz to nowe ciężary. Współczesna szkoła zaledwie może sprostać włożonym na nią obowiązkom, mianowicie dostarczenia dzieciom pewnej sumy pozytywnych wiadomości, przygotowania ich do praktycznego życia, umożliwienia zajmowania się jakimś zajęciem chlebobajnem. Poznaje to matka, widzi tę niedostateczność szkolnego wychowania, ale, niestety, dopiero wówczas, kiedy już nic zmienić lub poprawić nie można—poznaje zapóźno. Pociesza się wówczas, że życie dopełni wykształcenia, wyrobi to, czego szkoła rozwinąć zapomniała lub nie mogła—i w tej nadziei oddaje swe dziecko na pastwę życia. Ale życie to rwący potok,

kto wpadnie w niego, nie nauczywszy się z nim walczyć, zostaje porwany przez jego pędzące nurty, które często stają się grobem dla niego.

Nie! należy powiedzieć tym matkom: szkoła współczesna uczy a nie kształci, pozostawia wiele na boku w przypuszczeniu, że ją w tem rodzina zastąpi.

Nikt bardziej nie nadaje się do harmonijnego wykształcenia wszystkich władz umysłu i serca dziecka, jak matka, która mu ciągle towarzyszy, prowadzi, opiekuje się niem, poczynając od chwili, kiedy po raz pierwszy dotknęło się ustami jej piersi, aż do pierwszych kroków, stawianych na arenie szerszego życia. Ona je zna najlepiej; ona je najlepiej wychować potrafi, bo je najwięcej kocha.

Ziemia nasza nie jest przybytkiem szczęścia i rozkoszy. Państwa wydają rocznie setki milionów, mimo to ludzie, którzy pracują dla najwyższych, najszlachetniejszych ideałów ludzkości, otrzymują z tego bardzo mało. Wskutek tego ludzie, pracujący dla ludzkości, zajmujący się sztuką, nauką, uszlachetnianiem ludzi i t. d., mrą z głodu, chodzą z dziurawymi łokciami. Dowodem tego jest ogólna bieda bardzo, niestety, wielu ludzi, szczególnie artystów, poetów, pisarzy i nauczycieli, stanowiących w świecie t. z. proletaryat inte-

ligentny, gdzie tkwią obecnie najlepsze części ludzkości.

Przeludnienie względne z jednej strony, nędza z drugiej spowodowała to, że wypaczyła wychowanie dzieci, ponieważ bez pewnego stopnia dobrobytu nawet najlepsze matki nie mogą stworzyć takich warunków rodzinnych, któreby mogły kształcąc wpływać na ich dzieci.

Wraz z ogólną nędzą zagnieździła się jeszcze jedna bieda—błąd, jakoby szczęśliwe małżeństwo mogło się opierać tylko na różowych skrzydełkach Amora.

Student, młody człowiek, żeni się pod wpływem idealnego, młodzieńczego uczucia miłości, nie zwracając wcale uwagi na poziome kwestye utrzymania, i wkrótce przekonywa się, że miłość sama nie jest w stanie pomódz mu nic do założenia rodziny, do wykarmienia siebie, żony i dzieci, do stworzenia tym ostatnim warunków, w którychby się normalnie kształcić i rozwijać mogły. Z drugiej znowu strony, zenienie się tylko dla pieniędzy, tytułów, stanowiska, rozwiela się coraz to bardziej. System taki prawie zawsze mści się na tych, którzy w ten sposób popełniają przestępstwa przeciwko prawom naturalnym. I w tych wypadkach znowu dziecko jest tym kozłem ofiarnym, na którym skupiają się błędy rodziców... właściwie błędy całego społeczeństwa.

„Jakoś to będzie,“ albo „dobry Bóg nie opuści nas“—pocieszają się pierwsi. Niestety, po paru miesiącach rzeczywistość zaczyna coraz bardziej niszczyć złudzenia, ciężar sytuacji zwiększa się w miarę, jak rosną niedostatek i kłopoty, które tem jaskrawiej odbijają się na tle jeszcze trwającej miłości. Przypomnijmy sobie te milony drobnych, biednych rodzin, w których brak pożywienia, usługi, ciasne mieszkanie, brak czasu i środków na najniezbędniejsze potrzeby wychowawcze z każdym prawie dniem stają się przykrejsze—jakżeż w takich warunkach może kwitnąć rodzina? czy jest tu miejsce na spokój i ciepło? zkad wziąć siły i środków na racjonalne, zgodne z naturą wychowanie dzieci? Niema tam ani pokoju dziecinnego, niema gdzie postawić wanny: dzieci żyją, rosną w dusznem, zepsutem powietrzu, często w brudzie i nieporządku, wśród braku najniezbędniejszych potrzeb; matka staje się „gospodynią:“ pierze i szoruje, szyje i ceruje, gotuje, piecze, spełnia Bóg wie ile jeszcze innych czynności, które zabierają jej tyle czasu, że o „wychowaniu“ dzieci, o starannej opiece nad niemi mowy być nie może.

Zaniedbanie tych właśnie codziennych spraw życiowych, oparcie małżeństwa li tylko na miłości, mści się w ten sposób, i mści się na istotach zupełnie niewinnych—na dzieciach, nie mówiąc już o tem, że przynosi szkodę społeczeństwu, przyczy-

niając się do złego wychowania jego przyszłych obywateli. Takich rodzin możnaby u nas naliczyć całe miliony.

Czyż zadaniem, celem wykształconej panny ma być pójście za mąż bez względu na środki materialne, aby następnie, z poświęceniem często bez granic, wszystko czynić dla dzieci i dla męża, pomagać mu w zdobywaniu środków utrzymania, ale nie robić tego, co jest najważniejsze—nie dać dzieciom odpowiedniego wychowania? Pytanie: czy to poświęcanie się dla miłości, to skazanie siebie na biedę jest rzeczywiście poświęceniem tylko siebie? Czy nie tracą przytem najwięcej te istoty, które najmniej zawiniły—dzieci? W walce z nędzą rodzicom może przyświecać nadzieja, ich wysiłki opromieniać miłość wzajemna; a dzieciom co łagodzi ich smutną dolę? kto wynagrodzi, co zastąpi im te braki wychowania w życiu? Dać życie istocie, aby potem skazać ją na nędzę, na wysiłki w walce życiowej z poczuciem swych braków, na nieszczęście, jest zbrodnią!

Jest to ciężka choroba—chroniczne cierpienie większości naszych rodzin, której ani idealność stosunku, ani silne życie uczuciowe złagodzić nie może. Jak gorzkim musi się wydawać życie takiej matce, która, będąc panną, zajmowała się i muzyką i sztuką, rozwinęła w sobie szereg estetycznych potrzeb, wyczuliła uczucie i umysł, a obe-

nie spełnia najprostsze zajęcia gospodarskie, gotuje, szoruje, pozostawiwszy wychowanie dzieci szkole i życiu, nie mogąc im dać tego, co podług niej stanowi najpiękniejszą stronę życia,—nie może im dać tych zadowoleń, jakie płyną ze sztuki, literatury, jakie daje wyższy rozwój duchowy.

Wszystkim tym krótkowidzącym, lekkomyślnym mężczyznom, którzy, mimo biedy, często jeszcze siedząc w długach, chcą się żenić, można powiedzieć: „Czekaj, póki nie będziesz miał dostatecznych środków utrzymania; wówczas przygotuj swej żonie dom i pozwól jej go urządzić.“ Matki zaś powinny mówić swym dorosłym córkom: „Szukaj szczęścia nie w zewnętrznych pozorach; jeżeli nie czujesz w sobie ani chęci, ani siły do poświęcenia części życia dla swoich dzieci, jeżeli nie widzisz w pracy i staraniach około ich wychowania jednego z najpiękniejszych obowiązków i zadań życia, nie wychodź nigdy za mąż! Nie *gospodynie* w zwykłym tego słowa znaczeniu mogą zaprowadzić ludzkość do szczęścia, ale *matki!*“

„Co to za gospodyni! Ona potrafi tylko chodzić ze swemi dziećmi na spacer!“—mówi z przekąsem niejedna z matek, myśląc o swojej córce, którą wychowała na „dobrą gospodynię,“ nauczyła ją pracć, gotować, szyć, gniebić służbę, męża, dzieci drobiazgowością, nierozumną oszczędnością,

która robi groszowe oszczędności, tracąc wskutek tego ruble.

Jest to fałszywa duma, błąd, zacofanie. Współczesne stanowisko kobiety w gospodarstwie domowym, szczególnie w miastach, jest zupełnie inne, aniżeli dawniej.

Rozwój techniki, przemysłu, znacznie ułatwia gospodarowanie. Jeszcze niedawno babki nasze posiadały cały szereg przepisów kuchennych, które trzeba było zdobywać z mozolem, trzymanych często w tajemnicy, przekazywanych z matki na córkę. Dziś trochę praktyki i książka więcej nauczają; zresztą przemysł dostarcza całego szeregu artykułów żywności, przedmiotów codziennego użytku tanio i w dogodnej formie, tak, że rola gospodyni ogranicza się do bardzo niewielu rzeczy. Wiadomo np., że to ważne zajęcie pieczenia ciast na święta przez samą gospodynię obecnie traci na znaczeniu; pieczywa domowe, jak co do dobroci, tak i taniości, ustępują wyrobom cukierniczym, i dziś już można być dobrą gospodynią, nie umiejąc piec ciasta. Toż samo solenie szynek, robienie kielbas, kwaszenie kapusty, ogórków i t. d., staje się niepotrzebne wobec tego, że można tych rzeczy dostać zawsze taniej i w lepszym gatunku. Pytanie, ile to napsuje się materyałów, nim baby będą bez zakalców, ogórki nie zgniją, kielbasa lub szynka nie będzie cuchnąć? Zajęcia gospodarskie mają zna-

czenie jeszcze tylko po wsiach, chociaż i tam zaszły pod tym względem poważne zmiany.

Jak bardzo błędzą te matki, które wychowują córki tylko na dobre gospodynie! Kobieta daleko lepiej spełnia swe zadanie, dobrze chowając dzieci, chociażby była złą gospodynią, aniżeli kiedy potrafi ugotować dobrą zupę, upiec ciasto, zrobić dzieciom piękne sukienki, zapominając w zupełności, wprost nie umiejąc kształcić ich ciała i duszy, rozwijać w nich te naturalne zasoby uczucia i inteligencji, które z sobą na świat przyniosły.

IV. Matka i dziecko.

Wiosna ciepłym oddechem owiewa ziemię i pod jej tchnieniem natura budzi się do nowego życia: zjawiają się kwiaty, te dzieci wiosny. Ogrodnik chodzi wśród grządek, podlewa, pielęgnuje, oczyszcza z robactwa. Ciepło, światło i powietrze dokonywują reszty: wyrasta piękny kwiat, dostarczając ludziom zadowolenia swym widokiem i wonią.

Tak samo w małym domku, pośród rodziny, zjawia się od czasu do czasu taki kwiat, daleko piękniejszy od wszystkich kwiatów na ziemi. Pośród śmiechu i łez radości matka, cisnąc swe ma-

leńkie dziecko do piersi, przyrzeka oddać za nie ostatnią kroplę krwi, strzedz je jak oka w głowie. Jak często, niestety, przyrzeczenie to, dane w pierwszych chwilach, wśród pierwszych wybuchów macierzyńskiego uczucia, paczy się lub idzie w zapomnienie!

Matko, wypełnij przyrzeczenie, które wypłynęło z głębi twojej duszy wówczas, kiedy czułaś się najbardziej kobietą, najgłębiej odczuwałaś swe obowiązki macierzyńskie! Patrz na swe dziecko zawsze jak na młodą roślinkę, która potrzebuje pieczy i starania, wymaga właściwych warunków, aby wzrosła i rozwinęła się normalnie. Dopóki jesteś tak szczęśliwą, że możesz sama chodzić około swego dziecka, rób to, roli swej nie zapominaj nigdy.

Wkrótce zauważysz, że dziecko szczególniej zajmują zwierzęta. Jak ono dziwi się, kiedy zobaczy konia lub krowę, jak kocha psa lub gołębia! Znajduje się ono w tym stanie, w którym człowiek był kiedyś rzeczywistym dzieckiem natury, przedstawiając ze zwierzętami łąk i lasów jak z blizkimi, ba, jak z równymi sobie istotami. Na świeżem powietrzu, które różowi policzki, rozszerza piersi, pod wpływem ożywczych promieni słońca, wśród natury, dziecko powinno nabywać pierwsze swe wiadomości, tam po raz pierwszy zetknąć się z szerszym światem i pełniejszym życiem, które wolno, w sposób naturalny, rozwina władze umy-

słu i ciała, nauczają je myśleć, czuć, działać, przyzwyczajają do obserwowania świata, kierowania swem postępowaniem zależnie od warunków, aby najskuteczniej osiągnąć cel upatrzony. Te pierwsze obserwacye, to początkowe życie w blizkiem zetknięciu z naturą, stają się fundamentem dla przyszłego rozwoju, jak ciała, tak i ducha; często są skarbem, z którego człowiek czerpie przez całe życie; one zwykle są źródłem tych czystych, jasnych, prostych myśli i odczuwań, które zjawiają się w późniejszych latach, jak jasne światła, na tle codziennego, szarego żywota.

Pierwsze lata dziecka powinny przejść w o ile można największem obcowaniu z naturą. Większość matek nie ma jednak czasu na wypełnienie swego najważniejszego zadania—na wychowanie dzieci. Tysiące muszą pracować w warsztatach i fabrykach, wychodzić na robotę, aby zapewnić utrzymanie potomstwu. Bardzo wiele rodzin nie posiada t. z. służącej do dzieci, która i tak bardzo niedokładnie zastępuje matkę; wobec tego *naturalnem* jest, że dziecko, przy braku wszelkiej opieki w domu, musi być oddane do szkoły lub ogródka dziecięcego.

O ile takie matki są usprawiedliwione, bo nieszczęśliwe, o tyle niczem nie daje się usprawiedliwić oddawanie dzieci do szkółek i ogródków przez bogate matki, które widzą w tem jedynie

środek pozbycia się „nieznośnych“ dzieci, niepozwalających na przesiadywanie godzinami całemi przed tualetą, męczących spokój, potrzebny przy obmyślaniu nowój sukni lub kapelusza, przeszkadzających w przyjmowaniu i oddawaniu wizyt i t. d., i t. d.

Obecne szkolne nauczanie powinno się zaczynać o ile można najpóźniej, kiedy dziecko nabierze odpowiedniej ilości sił fizycznych do zniesienia tych wszystkich wymagań, które mu szkoła stawia. Wszyscy wogóle chorujemy na gorączkę oddawania dzieci do szkoły jak można najwcześniej, i jako jedyny skutek otrzymujemy dzieci zawcześnie dojrzałe, których blada, anemiczna cera dopiero wówczas mocniej zwraca uwagę, kiedy dziecko poczyną tracić ochotę do nauki, kiedy mu ona ciężyć zaczyna; tymczasem dzieciom, późno oddanym do szkoły, nauka przychodzi łatwo, robi im przyjemność, jak to w zasadzie być powinno.

Jest to wielki błąd uważać ogródki dziecinne za zakłady dla wszystkich dzieci, za zakłady, mające zastąpić wychowanie domowe. Nie! ogródki dziecinne to tylko konieczne zło, prezerwatywa przeciwko czemuś gorszemu—zupełnemu opuszczeniu i zaniedbaniu.

Większość matek nie doszła do tego przekonania, że ogródki dziecinne są zakładami, słabo łąjącymi dziury stosunków rodzinnych, ani też, że



większość tych ogródków nie osiąga tego celu, który im stawia wielu pedagogów. Bardzo wiele z nich zamienia się wprost na szkołę, z całym jej złym wpływem, szczególnie na tak młodociane istoty; świeżość i samodzielność dziecięcego myślenia i odczuwania zostaje wkrótce przygniecioną niby pogładową, a właściwie pamięciową, sztuczną nauką; dziecko staje się małym erudytem, posiada dużo sztucznie mu podanych faktów, mało zaś bezpośrednich obserwacji, zrobionych samodzielnie, obserwacji, które jedynie mogą nie osłabić, nie wypaczyć, a przeciwnie—wzmocnić siłę myśli i uczucia. W takich wypadkach daleko lepiej wcale dziecka nie uczyć, niechaj rośnie jak dziczka: taki dziko wzrosły umysł bardzo często daleko silniej garnie się później do nauki, która go pociąga nowością swych środków nauczania, nowością faktów, która mu rozjaśnia wiele kwestyj, zjawisk, nad którymi się wielokrotnie zastanawiał, napróżno szukając odpowiedzi. Nauka tylko wówczas rzeczywiście pociąga, kiedy dziecko ma coś do rozstrzygnięcia, kiedy ma szereg pytań do rozwiązania.

Przyjrząwszy się bliżej tym ogródkom dziecięcinym, okaże się, że mają one jeszcze inne braki; zabawki są zwykle zmałe (wskutek tego dziwnego błędu, że co ma służyć dla dzieci, musi mieć drobne wymiary), co psuje słabe jeszcze, rozwija-

jące się oczy; są zakłady, w których zabawy nie są dziecięce, ale dziecinne; są i takie, gdzie te zabawy są zabawne, ale tylko dla nauczyciela, podczas gdy dla dzieci są formalną męką. Właścicielki, lub prowadzące te zakłady, często nie są dość przygotowane, stawiają sobie własne systemy nauczania, które, niestety, niezawsze są w dobrym gatunku: jedne dają dzieciom zabawki, niewymagające żadnej pracy naukowej; inne wpadają w drugą ostateczność: dają zabawki zbyt trudne, wypaczają, stępią młody umysł, czyniąc go mniej zdolnym do przyjęcia tego, co mu później daje szkoła, która daleko łatwiej potrafi coś zrobić z surowego, wcale nieuczonego umysłu, aniżeli ze zwichniętego, osłabionego przez fałszywą metodę nauczania.

Każda zatem matka, którą okoliczności zmuszają do wyrzeczenia się kształcenia swego własnego dziecka, powinna skrupulatnie wybrać zakład, któremu je powierza; nie trzeba się namyślać nad wydaniem paru rubli rocznie więcej: trzeba pamiętać, że chodzi tu o rzecz ważną, o przyszłe szczęście dziecka.

Każda matka, która tylko może uniknąć tej konieczności, niechaj zostawi dziecko przy sobie; niechaj sama je kształci, bawi, uczy, pielęgnuje jego zdrowie, wzmacnia ciało i ducha.

Tylko w cichem, szczupłym kółku rodzinnem młodociany umysł i siły dziecka znajdą odpowie-

dnie dla siebie warunki rozwoju, tylko matka jest naturalną wychowawczynią i kierowniczką swego dziecka.

V. Rodzina i dziecko.

Nigdy jeszcze nie podnoszono wykształcenia szkolnego i jego nauczania tak wysoko, jak obecnie; szkole przyznają lwi udział w zadaniu wychowania dzieci. Szkoła, mówią obecnie, powinna dostarczyć dziecku nie tylko pewnego zapasu ścisłych wiadomości, ale rozwinąć charakter, wzmocnić wolę, wyszlachetnić uczucie. Jeżeli jednak matka nie jest w stanie wypełnić tej części zadania, to bardzo wątpię, czy, przy obecnym ustroju szkoły, nauczyciel cokolwiek w tym kierunku zrobi.

Matki zapominają, że one same, oraz rodzina, są przede wszystkim temi siłami, które mają największy i najtrwalszy wpływ na charakter i umysłowość dziecka, i że, odwrotnie, życie rodzinne może w zupełności popsuć to, co dobrego zrobiła szkoła.

W młodym wieku wszelki wpływ, dodatni czy ujemny, daleko łatwiej się przyjmuje, tworząc poważniejsze zmiany, aniżeli w wieku starszym. Zatem rodzina o tyle tylko może dopełniać wy-

kształcenie szkolne, o ile jest zdrową, normalną, o ile w niej niema miazmatów niezgody, nienawiści, złego przykładu, które zarażają dziecko.

Tymczasem większość rodzin, niestety, nie wskutek braku chęci lub miłości dla dziecka, lub siebie, ale wprost wskutek innych warunków nie odpowiada powyższym wymaganiom. Ojciec, pracując, często cały dzień przebywa poza domem; matka, zajęta domowemi, gospodarskimi robotami, pozostawia dzieci bądź bez opieki, bądź powierza je płatnej służbie. Dziecinne go pokoju brakuje; w ciasnych pokojach starszych, przepełnionych często dymem tytoniowym, w wązkich, cuchnących podwórzach domów wielkomiejskich, lub na pełnych kurzawy ulicach, dzieci spędzają swój czas wolny.

Drukują się przepisy higieniczne, jak mają być urządzone pokoje dzieciinne,—tymczasem brakuje ich nawet u ludzi zamożniejszych, już nie mówiąc o biednych.

Dziecko, tak samo jak i dorosły, potrzebuje mieć swój osobny jeżeli nie pokoiczek, to przynajmniej kąt do pracy i zabawy. Chęć do zabawy pożytecznej wzrasta, jeżeli dziecko czuje się u siebie, jeżeli jest swobodnem. Brak pokoju dzieciinnego daje się zastąpić tylko przy pomocy wielkich ofiar, które często, niestety, tyczą się zdrowia dzieci,

odbijają się na ich stronie duchowej, a nie na kieszoni rodziców, jakby to się zdawało.

Regularne kąpanie jest bardzo utrudnione: niema gdzie wanny postawić, stoi zwykle gdzieś w kuchni, i dziecko się łatwo zaziębia. Niektóre domy posiadają nawet oddzielne pokoje, przeznaczone tylko na łaźnię lub kąpiel. Ale, niestety, najczęściej położone są zbyt daleko od dzieciennego pokoju, więc przy przenoszeniu znowu łatwo może nastąpić zaziębienie. Oprócz tego takie przenoszenie dziecka np. przez salon lub stołowy pokój niezawsze jest możliwem. Właściwie kąpiel i pokój dla dzieci powinny być obok siebie, najlepiej na wyższych piętrach, aby nie było wilgoci; następnie dziecienny pokój powinien być na boku, aby krzyk małych nie przeszkadzał starszym w śnie lub zajęciu.

Rzadko się to u nas zdarza, aby rodzina posiadała dom na swój wyłączny użytek. Zwykle mieszka się w lokalu wynajętym. Przy wyborze mieszkania należy zatem wybierać takie, aby możliwie było *samo w sobie*, aby nie wchodzić w zbyt bliską styczność lub kolizye z sąsiadami. Tak samo jak i społeczeństwo, tak i rodzina powinna mieć swoje ściśle terytoryalne granice, któreby utrudniały wtargnięcie do wewnątrz obcych, niezdrowych powiewów. Anglicy mają pod tym względem wyższość nad nami: dla Anglika *dom i ro-*

dzina są to rzeczy jednoznaczne, ponieważ każda rodzina zajmuje osobny dom, mający osobne wejście, niełączący się z innemi. Wskutek tego wychowanie bardzo jest ułatwione, ponieważ można dokładnie kontrolować i usuwać te wpływy, które dziecku zaszkodzić mogą.

Dopóki rodzina nie jest w stanie usunąć dziecka z pod wpływu obcych z przyczyny niedogodności mieszkania, dopóty nie może być pewną, czy jakieś obce, nieznane wpływy nie oddziałują na dziecko, psując to, co ona zdołała zbudować.

W naszych domach mieszkalnych, gdzie gnieździ się po kilkadziesiąt i więcej rodzin, dzieci różnych rodziców, różnego wieku i charakterów, różnego wykształcenia, schodzą się razem na podwórzu, na kurytarzach lub na ulicy; wówczas nie można powiedzieć, aby dziecko chowało się w naturalnych warunkach; przeciwnie, podlega całemu szeregowi przypadkowych wpływów ze strony towarzyszy, które albo mogą je rozwinać tylko jednostronnie, albo wprost zepsuć zupełnie.

Dom rodzinny, gniazdko, nie powinny być ani zbyt zimne i suche, ani też zbyt gorące, ponieważ zarówno zaniedbanie jak i zbytnia pieczołowitość i chuchanie są w jednakowym stopniu szkodliwe; tak samo niedobrze jest pozwalać działać na dziecko wszelkim wpływom bez wyboru, jak i usuwać je zupełnie od zetknięcia się ze światem i ludźmi.

Tak samo jednostronnem jest kształcenie strony duchowej z pominięciem fizycznej, jak i rozwijanie uczucia, pozostawiając umysł odłogiem; należy kolejno zmieniać naukę i zabawę, zajęcia poważne i wesołe, pracę i odpoczynek, równomiernie kształcić wszystkie władze ducha i ciała—inaczej, wychowanie rodzinne może wydać równie jednostronnie rozwiniętych ludzi, jak i szkoła obecna.

VI. Najważniejszy punkt w wychowaniu.

Hodowcy starają się osiągnąć różne rezultaty; jedni rozwijają jedną pożyteczną właściwość, inni wiele; zwykle jednak zwracają swe wysiłki w jakimś pewnym, określonym kierunku.

Tak samo matka przy wychowaniu dzieci powinna postawić sobie jakiś cel określony; jeżeli tego nie zrobi, jeżeli metoda będzie zmienianą codzień, wówczas napewno twierdzić można, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Jeżeli się spytasz, jakiego ziarna masz rzucać najwięcej w młodocianą duszę twego dziecka, wówczas odpowiem, że nie jest niem ani nauka, ani rozum, ani pamięć, ani żadna specjalna gałąź wiedzy lub sztuki, ale siła moralna—bo ona jest najważniejszym punktem w wychowaniu!

Spytasz się, co pod tem rozumiem? Są ludzie, którzy posiadają bardzo mało wykształcenia; bez rzeczywistego rodzinnego życia, bez jego dobroczynnego wpływu, wśród niedogodnych warunków wzrastają i żyją gorzej, niż w stanie dzikości, bo w stanie zdziczenia. Mają często bardzo rozwinięty rozum, wiedzą wiele; nie posiadają jednak żadnych poczuć moralności, żyją pod wpływem popędów swej grubej, zmysłowej natury, nie cofają się przed niczem, aby zadowolnić często niemoralne, szkodliwe dla innych zachcianki i potrzeby. Są to ludzie, którzy nie posiadają siły moralnej.

Są ludzie innej kategorii: tym już w dzieciństwie rozwinięto instynkty moralności, nauczono ich panować nad sobą, nie chcieć, tembardziej nie robić tego, co jest szkodliwe dla innych ludzi, co jest za niemoralne uważane; praca przedstawia się im jako potrzeba, jako przyjemność, jako jedyny środek do stworzenia czegoś nowego; potrafią oni wzniesić się ponad drobne pokusy codziennego życia, znajdują dość siły odpornej do powstrzymania siebie od występku; siłą przyzwyczajenia dążą do coraz większego udoskonalania siebie: życie ich nie psuje, ale urabia, robi ich coraz lepszymi; ludzie ci nie mogą nie dążyć wszelkimi siłami do dobra, piękna, szczęścia, nie tylko swego własnego, ale i innych; potrafią swym wpływem podnieść

tych, którzy już upadli, potrafią obmyć ich z brudnego błota. Tacy ludzie mają siłę moralną.

Siła moralna jest to dziwne tło, ten grunt wewnątrz istoty ludzkiej, który z trudnością daje się w słowach wyrazić, ale który się czuje wyraźnie, szczególnie wówczas, kiedy człowiek wystawionym bywa na próbę. Ta siła nie pozwala robić, nawet myśleć źle, odpycha od wszystkiego, co trąci brudem moralnym.

Powiesz, że siła moralna jest to środek do umoralniania ludzi! Wcale nie,—ale człowiek, posiadający tę siłę, daleko łatwiej podnosi się z moralnego upadku, wogóle daleko trudniej jest mu zejść z drogi prawości, aniżeli temu, który jej wcale nie ma. Im dłużej żyje człowiek, tem ta oporność wzrasta. Przeciwnie ten, który posiada słabą siłę moralną, będzie padał coraz częściej w miarę starzenia się, coraz trudniej podnosi się z upadku.

Wiele matek, które przyszły do tegoż samego przekonania, że rozwijanie moralności jest rzeczą najważniejszą, sądzi, że dokonać tego można za pomocą wykładów religii oraz praktycznych wskazówek postępowania; inne znowu twierdzą, że obszerne wiadomości i dobre kształcenie umysłu są najlepszymi środkami do rozwinięcia moralnej oporności, sądząc, że moralność—to rozum. Jest to nieprawda: ani sama nauka religii, ani kształce-

nie umysłu, ani suche wskazówki: „to można robić,“ „tego nie należy,“ nie są w stanie rozwinąć w dziecku siły moralnej. Zrobić to może jedynie ciągle, różnostronny wpływ rodziny, w której dziecko żyje, przykłady, które tam spotyka—przykłady, objaśnione nie suchemi, martwemi formułkami, ale żywym słowem, przesiąkniętem miłością, pełnem ciepła rodzinnego ogniska; to ciągle oddziaływanie dobrego, rzeczywistego rodzinnego życia może dziecko wyszlachetnić, przyzwyczaić do brzydzenia się wszelkim brudem moralnym, tak jak może nauczyć zamięłowania czystości ciała i otoczenia.

Tę stronę moralną ducha należy pielegnować ciągle, nigdy jej z oczu nie spuszczać, zwracać na nią uwagę we wszystkich okolicznościach, czy to w zabawie lub zajęciu poważnem, czy w stosunkach z towarzyszami lub ze służbą, czy w szkole, czy w kościele lub na spacerze. Tylko wówczas można być pewnym, że siła ta rozwinie się, wzmocni, będzie stanowić fundament, na którym życie może postawić silną, trwałą budowę, która przetrwa wiele różnych przeciwności i pokus.

Wiele z matek, niestety, sądzi, że zapomocą moralizowania, t. j. prawienia morałów, kazań, najlepiej można rozwinąć w dziecku poczucie moralności. Jest to dość naiwne przekonanie: jeżeli starszego człowieka takie moralizowanie nudzi, już

nie mówiąc o poprawieniu, to cóż dopiero dziecko, które ma umysł bardzo ruchliwy, mniej skłonny do przyjmowania prawd w kształcie zdań, a więcej przez bezpośrednią obserwację; zazwyczaj nie rozumie ono tych wszystkich subtelnych rozumowań, zapomocą których chcą mu dać pojąć, że tego nie można, że to jest niedobre. Wogóle, im te kazania są dłuższe i częstsze, tem mniej mają skutku; dziecko nie przyjmuje ich wcale, bo ich nie rozumie, bo go niczem zająć, niczem jego uwagi przykuć nie mogą. Są dzieci, już niejako z natury moralne, mające t. z. dobre skłonności; tym właściwie trzeba tylko pozwolić swobodnie się rozwijać, aby te dobre ziarna wzrosły i umocniły się. Takim dzieciom moralizowanie ciągłe, poprawianie, karcenie, wprost szkodzi; stają się często uparte, złośliwe, dobre skłonności zostają przytłumione. Niechaj każda matka uważa, aby nie zepsuć dziecka przez nierozumne, gadatliwe moralizowanie, które często płynie z osobistych skłonności rodziców do niepotrzebnego gładzenia, aniżeli z potrzeby. Morałów o ile można jaknajmniej, zato jaknajwięcej przykładów z życia, z książki, z kąd się da i gdzie się da.

Przepisów, określających, jak w danym wypadku należy postępować z dziećmi, nie można, niestety, z książki się nauczyć. Dlatego też i ja nie mogę ci dokładnie oznaczyć, gdzie, jak, kiedy masz

kształcić siłę moralną twego dziecka. Jest to sztuka, której nabyć nie można przez studia teoretyczne; trzeba ją zdobyć drogą praktyki, jeżeli nie jest ona przyrodzoną własnością, nie mamy jej w swej krwi i nerwach. Szczęściem, umiejętność tę posiada wiele matek, czuje ją w sobie niejako instynktownie, należy więc tylko rozwinąć ją i uświadomić: do tego teoretyczne studia będą bardzo pomocne, mogą mieć nawet duże znaczenie.

VII. Rozwijanie samodzielności.

Były czasy, kiedy ojciec i matka byli wyłącznymi, jedynymi nauczycielami swych dzieci; nie znano wówczas żadnych zbiorowych nauczania, zbiorowego wychowania; każde dziecko miało swego własnego nauczyciela.

Jasnym jest, że w naszych czasach rodzice są tylko w wyjątkowych wypadkach nauczycielami swych dzieci; masowe nauczanie stało się przykrą koniecznością, chociaż z drugiej strony trzeba mu przyznać i pewne zalety, których wychowanie domowe nie posiada. Rodzina pozbywała się, pozbywa jeszcze obecnie, coraz więcej tego rodzaju obowiązków wychowawczych, pozostawiając je szkołom: wskutek tego szkoła ma do czynienia z masami

dzieci, które musi nauczać razem, zbiorowo; ta okoliczność jest przyczyną jednego z największych braków współczesnego wychowania: szkoła nie może wyrobić w dzieciach samodzielności, przeciwnie—urabia wszystkie na jedną modłę, podług mniej więcej jednego wzoru, zabijając lub przytłumiając samodzielność.

Ta zbiorowość w nauczaniu, w postępowaniu, jest wyrazem naszego wieku, jest postępem w życiu społecznem. Jeżeli jednak koniecznem jest, że oficerowie komenderują masami, które muszą wykonywać jedne i te same ruchy,—jeżeli nauczyciel musi uczyć odrazu jedną i tą samą metodą pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt dzieci różnych zdolności i charakterów,—jeżeli pod kierunkiem naczelnika biura pracuje dwudziestu urzędników,—to jednak nie idzie za tem, aby wszystkie matki wychowywały swe dzieci w jeden i ten sam sposób.

Snycerze-artyści dla każdego gatunku drzewa posiadają odmienne dłuto; dzięki temu potrafią najtwardsze i najmniejsze drzewo obrobić tak, jak się podoba. Na tym punkcie wychowanie domowe bardzo często grzeszy. Rzeczywiście, przykro jest patrzeć, jak matka lub ojciec gniotą indywidualność dziecka, wtłaczając je w jakieś utarte, konwencyonalne formy; nie zostawiają mu żadnej samodzielności, przyzwyczajają je do chodzenia na pasku, do ślepej wiary w to, co inni powiedzą;

nie pozwalają mu rozporządzać swą osobą, kierować do pewnego stopnia swoim własnem postępowaniem, i dziwią się następnie, że wyrastają z tego ludzie słabi, bez charakteru i samodzielności, ludzie bezradni, łatwo podlegający wpływowi losu.

Rozbawione dziecko lata hałaśliwie po ogrodzie—każą mu iść do domu właśnie wówczas, kiedy ono najlepiej się bawi, obawiając się, aby nie zdziaczało, lub nie rozpróżniaczyło się; lubi wyrzynać z drzewa—odbierają mu nóż, aby się nie skaleczyło, nawet wówczas, kiedy co do tego nie zachodzi żadna obawa; dziecko buduje mosty, maszyny, wyrabia różne instrumenty—nie pozwalają mu tego robić; dlaczego? dlatego, że rodzice chcą z niego mieć malarza. Tu znowu dziecko ma talent do rysunków, rwie się do ołówka—rodzice każą mu siedzieć nad łaciną i greką, bo ojciec chce, aby syn jego koniecznie był w uniwersytecie. Tam znowu chłopczyk błaga, aby go odebrano z gimnazjum i oddano do jakiego zajęcia na powietrzu, np. do szkoły rolniczej. Nie z tego: matka kategorycznie oświadcza, że w ich rodzinie najstarszy syn zawsze musi być lekarzem. Gdzieindziej ojciec, oficer, zmusza swego syna wstąpić do wojska, kiedy ten chce iść na uniwersytet; wreszcie godzi się na to, ale z warunkiem, że zostanie prawnikiem. W ten sposób, w niższych i wyższych, w ubogich i bogatych sferach odejmują dzieciom systematy-

cznie samodzielność, nie pozwalając rozwinąć się ich indywidualnym zdolnościom, nie dając im wypróbować praktycznie swego zamiłowania i zdolności.

W szkole uwzględnienie indywidualności dziecka jest często wprost niemożliwem. W tem długim szkolnem wychowaniu zwracają szczególną uwagę tylko na dokładność i rodzaj wiadomości oraz sposób ich podawania, niewiele troszcząc się o to, czy ten, komu je dają, przyjmuje je chętnie, czy są dla niego właściwe, czy nie. Jest to kwestya, nad którą powinni zastanowić się ci, którzy dziecko posyłają do szkoły—t. j. rodzice. Szkoła musi spełnić dość już dużo żądań, musi przygotować dzieci do najróżnorodniejszych zajęć praktycznego życia, dlatego też ani może, ani ma czas zajmować się rozwijaniem indywidualności.

Zresztą wadę tę ma nietylko szkoła: jest ona częścią współczesnego życia i nosi na sobie wszystkie jego cechy. W życiu posiadamy cały szereg konwencyonalnych przepisów, które obowiązują każdego, do których się wszyscy stosują, bez względu na swe indywidualne cechy i własności. Niektóre z tych przepisów są wprost głupie, jednak, mimo to, nie zostają pomijane. Każdy, który stara się wyłamać z pod tych przepisów konwencyonalnych, który chce być sobą, dostaje miano dziwaka, oryginała, ekscentryka, często spotkać

się musi nawet z pobożnem oburzeniem ciasnych umysłów, przyzwyczajonych do utartych, przeżytych formułek życiowych.

Ten brak samodzielności występuje najjaskrawiej wśród sfer uczonych i artystów. Istnieje bardzo mało takich uczonych lub artystów, którzy potrafiliby być sobą, iść własną drogą, nie patrząc, co robią inni, którzy stworzyliby w swem życiu coś oryginalnego, coś niepodobnego do innych rzeczy. Wielu z nich, posiadając oryginalność, są tak skrepowani temi formułkami, tak boją się tej ciasnej opinii świata, że nie chcą wystąpić, pokazać ludziom swe oryginalne myśli, metody, dzieła—wprost obawiają się być samodzielnymi. Jeżeli jakiś artysta zrywa z tradycjami, z szematami, które mu w szkole wepchno w głowę, pisze, maluje, rzeźbi tylko podług podszeptów swego własnego geniuszu lub talentu, wówczas estetycy, nauczycielowie, z jego indywidualności robią system lub metodę, zmuszają setki młodych talentów do trzymania się jej, do naśladowania, stosowania się do niej; przyniatają w ten sposób ich indywidualność, narzucając cudzą, dając myśli, uczucia, punkt widzenia, temperament innego, często zupełnie różnego człowieka. Takie postępowanie psuje talenty, zamiast dzieł sztuki lub nauki rodzi karykatury lub dziwolagi. Autorytety i małpowanie cudzej oryginal-

ności przyniosły już niemałą szkodę, niejeden talent zgubiły.

Spojrzyjmy jednak na naturę, zacznijmy ją obserwować. Czyż nie uczy nas ona, że wychowanie powinno stosować się do indywidualności, ponieważ każde zwierzę, każda roślina, ma swoje specjalne właściwości, które przy wychowaniu muszą być koniecznie uwzględniane? Czyż róże tak samo pielęgnujemy, jak jabłoń lub winogrono? czyż kamelia nie wymaga innego postępowania, jak kaktus? Czyż rolnik lub ogrodnik, hodując jakieś rośliny, nie używa do nich specjalnych instrumentów, czyż nie wybiera różny grunt zależnie od potrzeb rośliny, czyż jedno nie hodzi na otwartem powietrzu, drugie w cieplarniach? Doświadczenie wykazuje, że dla tresowania konia, zależnie od jego temperamentu, siły, rasy, potrzeba innej ręki, innej metody; że jeden pies musi być układany inaczej niż inny, zatem wymaga i innej metody i odpowiedniej osoby. Jeden ptak ma się dobrze w rękach pewnej opiekunki, tymczasem u innej tenże ptak, pomimo takiego samego pokarmu, światła i ciepła, smutnieje i umiera. Natura produkuje masy, ale uczy zarazem, że wszystkie rodzaje i gatunki potrzebują do normalnego rozwoju osobnych warunków co się tyczy pożywienia, światła, ciepła, powietrza i t. d. Co udaje się u jednego ogrodnika, nie udaje się u drugiego;

roślina, która u jednego więdnie, — dostawszy się do drugiego, rośnie, wydając obfity kwiat lub owoc.

Czyż każda matka, mająca kilkoro dzieci, nie dochodzi z czasem do tego przekonania, że każde dziecko inaczej chować należy? Chłopczyk wymaga odmiennej metody niż dziewczynka. Toż samo z jednym trzeba postępować inaczej niż z innym. Jeden wymaga zewnętrznych oznak miłości, łagodnego przemawiania, drugi czuje miłość swej matki wówczas, kiedy mu ona tego nie okazuje, — wprost nie lubi tych czułości, woli, aby go więcej seryo traktowano. Jeden, ze słabszą wolą, potrzebuje od czasu do czasu słuchać czyjegoś rozkazu, czuć, że go ktoś prowadzi, — drugi, przeciwnie, nie znosi żadnych przykazów, nie dlatego, że jest uparty, ale że posiada więcej rozwiniętą samodzielność, czuje przykrość, kiedy każą mu się jej wyrzekać.

Dlatego też indywidualność dzieci musi być nadzwyczaj uwzględniana przy wszelkiem wychowaniu: jest to jeden z najkardynalniejszych punktów sztuki kształcenia dzieci. Należy bronić się, o ile to jest możliwe, przed koniecznością narzucania dzieciom jakiejś ogólnej metody, jakiegoś z góry powziętego szematu. Poznawaj naturę i właściwości twych dzieci do drobnostek; przyglądaj się ich zabawom i robotom; prowadź dzieci tylko tam, gdzie ciągną je naturalne zdolności

i upodobania; pozostawiaj dzieciom możliwą swobodę rozwoju: zarówno szkodliwe jest dla ciała krępowanie dzieci gorsetami, powijakami, modnymi sukniami, jak niebezpiecznem jest ściskanie umysłu powijakami konwenansu, rutyny, utartych fomulek, wtłaczanie młodego, rozwijającego się mózgu dziecka w jakąś z góry przyjętą, ogólną formę. Spójrz na te roślinki w eleganckim ogrodzie: poprzystrzygane, powyginane, stają się wreszcie potworami. Takim potworem umysłowym i moralnym stanie się two dziecko, skrepowane, poprzystrzygane, powyginane przez te straszne nożyce, które się nazywają „dobrem wychowaniem,“ „dobrem ułożeniem“ i t. d., które określa z góry człowiekowi, jak ma jeść, jak chodzić, jak się kłaniać, co kochać, jak myśleć i t. d.

Z roślinami to można—ale z ludźmi nie. Pamiętaj, że za swe dzieci odpowiedzialną jesteś nie tylko jako matka, dbająca o przyszłość swego dziecka, ale i jako obywatelka społeczeństwa, wychowująca jego przyszłego członka. Pamiętaj, abyś nie dała swemu krajowi, zamiast mężczyzny lub kobiety, jakiejś lalki lub automatu bez duszy, myśli, bez woli i samodzielności.

VIII. Kształcenie ciała.

Wiesz prawdopodobnie, że statystyka obecnie prowadzi bardzo ściśle rachunki co do stanu zdrowotności wśród dzieci. Wszędzie zbierają dane co do ciężkości chorób oczu, uszu, piersi, wśród uczącej się dziatwy; zakładają się towarzystwa przeciwko przeciążeniu dzieci pracą, próbują różnej konstrukcyi pieców do ogrzewania klas, badają wpływ światła gazowego na wzrok — wszystko to są rzeczy, dążące do poprawy warunków zdrowotnych w szkołach, do obrony dzieci przed chorobą.

Czyż nie jest to równie ważnem, aby dziecko zaraz od pierwszych chwil swego życia chowało się w możliwie najzdrowszych warunkach? Co pomogą wszelkie szkolne przepisy higieniczne, jeżeli dziecko idzie do szkoły już chore lub z zarodkiem choroby?

Nie mogę w tem miejscu rozbierać tak obszernego przedmiotu, jakim jest higiena dzieci, ich choroby i sposób ustrzeżenia się od nich. Istnieją w tym kierunku dzieła specjalne i popularne, w które jednak nasza literatura nie jest zbyt obfita. Życzyłby sobie należało, aby każda matka, nawet jeszcze będąc panną, obznajmiła się ze wszystkimi odnośnemi kwestyami. Niestety, rzeczy te, tak ważne, wcale nie są uwzględniane w wychowaniu naszych panien, nie wchodzą wcale

w program nauk ani gimnazjalnych, ani pensyj prywatnych. Wskutek tego, nie dziwnego, że dzieci chorują, że chorują z przyczyn, które bardzo łatwo usunąć można — trzeba je tylko znać, co się, niestety, u nas bardzo rzadko zdarza.

Niedawno bardzo szeroko była dyskutowana kwestya kar cielesnych, szczególnie co się tyczy bardzo małych dzieci. Różnie odpowiadano i odpowiedzi te były zawsze bardzo subiektywne. Każdy wypadek specjalny wymaga innej odpowiedzi: kwestyi *ogólnie* rozstrzygnąć nie można. Często np. dziecko krzyczy, ponieważ jest chore, lub je coś boli, albo znajduje się w niewygodnej pozycji. Bić je wówczas za krzyk, rzecz prosta, jest nierozumnem: daleko łatwiej i prędzej dojdzie się do celu, jeżeli usunie się przyczynę. Inna historia, jeżeli dziecko krzyczy z przyzwyczajenia, np. stale o jednej godzinie, wieczorem, po przyjściu ojca do domu i t. d. Wówczas para klapsów nie robi nieszczęścia: jest to w pewnych wypadkach jedyny sposób argumentowania z małym dzieckiem, na które inne „przekonywające“ środki nie działają, ponieważ ich nie rozumie: drażni się skórę, jeżeli rozum, ambicya i t. d. są jeszcze nierozwinięte, nieczułe. Przez tolerowanie krzyku dziecko staje się nieznośnem dla otoczenia, przyzwyczajają się i krzyczy z całych sił przy lada sposobności dopóty, dopóki nie zrobią tego, co ono chce. Dla dzie-

eka krzyk jest także jedynym sposobem „przekonywania“ rodziców, który jedynie w równie przekonywający sposób odpartym być może.

Jednym z częstych błędów wychowania jest przekarmianie dzieci, które jest szkodliwe nie tylko dla ciała, ale i dla ducha. Zbyt obfite karmienie dzieci robi z nich żarłoków. Wiadomo, że takie zapasione dzieci są słabe, ociężałe, zarówno fizycznie, jak i duchowo; zdolności ich umysłowe słabną; lenistwo, brak możliwości skupienia uwagi, ospałość są nieuniknionymi konsekwencyami takiego zapasienia. Rzecz naturalna, że dzieci, w ten sposób chowane, ulegają stopniowemu wyradzaniu się: masy tłuszczu nie pozwalają się rozwijać mięśniom i organom, doprowadzają osłabienie nerwów.

Wogóle zbytńia wrażliwość nerwów, t. z. nerwowość dzieci, powinna być także brana pod uwagę. Jak się z tem jednak zwykle obchodzą? Aby dzieci pobudzić do działalności, zachęcić je do zajęć które im wyznaczyły plany rodziców, a do których one niechęć czują, używają najrozmaitszych środków sztucznych, pozbywając się w ten sposób pozornie masy kłopotów, które im ich „metoda“ wychowania sprawia. Dają im słodczy, prowadzają na różne zabawy, w niezdrowy sposób pobudzają ich ambicję, zazdrość i t. p., słowem używają całego szeregu nienormalnych środków pobudzających,

które zrobią swój skutek, ale, niestety, nie ten, jaki spodziewano się osiągnąć. Początkowo środki te wystarczają do zmuszenia dzieci do nieprzyjemnej dla nich pracy; wkrótce jednak, jak wogóle w takich wypadkach, następuje przyzwyczajenie się—dziecko wymaga coraz to innych, coraz silniejszych środków pobudzenia. Wprawdzie przy pomocy takiego postępowania zrobimy z chłopca adwokata, kiedy ten chce zostać malarzem, ale jednocześnie nadwreżemy mu nerwy, zrobimy go nieszczęśliwym—bo nerwowo chorym, osłabimy zdolności fizyczne i umysłowe, które i tak są już mniejsze, ponieważ zostały nieodpowiednio skierowane.

Skutkiem tego *zmuszania*, tego *pobudzania* dzieci, tego popychania ich siłą lub słodyczami w kierunku, w którym one iść nie chcą, jest fakt, że domy dla obłąkanych i chorych nerwowo coraz to gęściej się zaludniają. Napęlniają je inne jeszcze przyczyny, ale pono najważniejszą jest złe, nieumiejętne, często wprost zbrodnicze wychowanie.

Często matki są tego zdania, że dzieciom ich nie powinny się zdarzać żadne przykrości; usuwanie tych przykrości uważają za główny swój obowiązek, za najgłówniejszy punkt wychowania. Rzeczywiście, w bardzo wielu wypadkach przeciwności i przykrości usuwać należy, tembardziej,

jeżeli przewyciężenie ich przekracza słabe siły dziecka; jeżeli jednak przykrości są tego rodzaju, że nie przynoszą szkody dziecięcemu organizmowi, są tylko nieprzyjemne i bardzo łatwo je znieść można, wówczas nie należy ich usuwać, ponieważ dziecko za młodu powinno uczyć się spokojnie znosić ból i przeciwności, walczyć z nimi, nauczyć się cierpieć, ponieważ są to rzeczy, które w życiu trafiają się znacznie częściej, niż przyjazne uśmiechy losu. Zadaniem wychowania jest przygotowanie dziecka do przyszłego życia: trzeba przygotować je nie tylko do umiejętnego korzystania z darów natury i ludzi, ale i do mężnego znoszenia cierpień i przeciwności.

IX. Natura.

Skoro dziecko podrośnie, skoro w ciepłym gniazdku rodzinnem przebędzie pierwsze lata i siłę nabierze, wyprowadź je w świat szeroki, zetknij z naturą, niech poczuje się jej dzieckiem, niech pokocha jej świeżość i prostotę, niechaj je pieści złoty promień słońca, ciepły podmuch wietrzyku, szmer lasu i zapach kwiatów; w burzy i wichurze niechaj zobaczy jej groźną potęgę, a w ciszy głębin lasów i w spokoju gór—jej majestat i powagę.

W młodocianej duszy natura odcisnie swe piętno matczyne; i później, wśród stosów starych szpargałów, lub męczącej biurowej roboty, stare wspomnienia ożyją, duch strząśnie z siebie pył archiwalny i syn twój znowu poczuje, że jest człowiekiem, a nie maszyną do pisania, — zacznie żyć szczerzej, bo współ z naturą.

Naturo, jak pięknem jest twoje życie, jak wiele mówią twoje szmery i łoskoty! Ożywasz się—nowe siły, nowe nadzieje wstępują w serca ludzkie; smutniejesz—duszę smutek przenika. Któż zdoła ciębie opisać?... Śpiewają ci hymny od wieków i poeci, i malarze i uczeni, z tamtąd czerpiąc myśli do swych dzieł wiekopomnych. Zdaje się, że najwyższym hołdem, jaki można ci oddać, jest starać się poznać cię, odczuć i żyć z tobą jaknajbliżej, w jaknajwiększej łączności!

Wszystko tam piękne, trzeba tylko umieć patrzeć. Zdumieni stoimy przed mnogością zjawisk, mnóstwem tajemnic; zadajemy pytania, które najczęściej pozostają bez odpowiedzi. Tysiące z nich już zostały poznane, niektóre zaprzęgliśmy do pracy, zużytkowaliśmy na swoje własne potrzeby. Ileż to rzeczy, procesów natury naśladujemy, powtarzamy sztucznie! Natura nie tylko daje rzeczy gotowe, ale i zarazem uczy, jak się z niemi obchodzić,—pokazuje, w jaki sposób można wykonać pewne prace. Znajomość natury nie tylko dostarcza nam

szeregu przyjemnych odczuwań, ale uczy; uczy, jak żyć, aby być szczęśliwym, aby jaknajdłużej zachować naturalność w swych potrzebach i ich zadowalnianiu.

Ilu jednak jest takich szczęśliwych, że mogą żyć z naturą w zgodzie i pośród niej? Albo lepiej: ilu może to robić, a nie robi? Nakoniec: ile jest takich matek, które przywołują naturę do pomocy w wychowaniu dzieci?

Siedzą po większej części w domu biedne małżeństwa, dostają zabawki zamiast rzeczywistej przyrody; pokazują im ją wprawdzie od czasu do czasu na półgodzinnym spacerze, który odbywa się w takich warunkach, że łatwiej może ją dziecku obrzydzić, niż wzbudzić zainteresowanie i zamiłowanie. Najczęściej same matki nie odczuwają potrzeby natury, bo są w oddaleniu od niej chowane—nie miały sposobności ani jej poznać, ani ukochać: tak też i kierują swoje dzieci, nie dając im tego, w czem same nie czują potrzeby. Potem dziecko dostaje się w ręce nauczyciela; ten wyklada mu o zwierzętach Afryki, skałach Labradoru lub Chili, o palmach i cedrach; lub też gronko młodych dziewcząt ze wszystkich sił stara się zapamiętać, ile ma tygrys zębów, a wąż zeber, lub jak się nazywają rodziny podług systemu Linneusza, jak podług Decandolle'a; zrywają świeże kwiaty, rozdłubują je natychmiast, liczą pręciki i słupki,

ilość płatków korony i kielicha, aby oznaczyć, do jakiej rodziny i klasy należą. Panienki opuszczają pensję wielce dumne z wiedzy, którą nabyły. A gdzie znaczenie kształcące tych nauk? Nauczyciel, który pragnie zużytkować nauki przyrodnicze w celach kształcenia, często natrafia na nieprzezwyciężone trudności, z powodu, że w oznaczonym czasie musi wyłożyć oznaczoną programem ilość faktów. Wprost musi tak dużo i szybko wykladać, że na zwracanie uwagi na tę stronę nauczania czasu mu nie wystarcza.

Nie nastała jeszcze pora, aby uważano nauki przyrodnicze także jako środek kształcenia umysłu i serca, a nie tylko jako zbiór faktów—ciekawych, które uczniowie zrozumieć i zapamiętać muszą; nie troszczą się jeszcze o wskazanie uczniowi całej piękności natury, o wyzyskanie wpływu, wynikającego z głębszego jej poznania, na całą stronę umysłową i moralną człowieka. Fakty, fakty,—oto wszystko! Nauki przyrodnicze w szkołach są w dziewięciu dziesiątych naukami czysto pamięciowymi, suchymi, martwymi; nie znają w nich wcale, że zajmują się badaniem żyjących istot, które rodzą się, rozwijają i umierają. Botanika szkolna zajmuje się wyłącznie roślinami w stanie rozkwitu i rozbiera ich anatomiczne własności jedynie dlatego, aby je usystematyzować. Historia rozwoju, powstawanie, umieranie istot żyjących są najzu-

pełniej pomijane, — nawet u zwierząt uważane są wprost za nieprzyzwoite. Pruderya względnie do pewnych procesów natury wskazuje, jak bardzo jesteśmy zepsuci. Naturze prostej, czystej, nigdy nie przychodzą żadne złe myśli przy studyowaniu powstawania i rozwoju zwierząt. Tylko u osobnika zepsutego mogą poruszyć błoto, ukryte już poprzednio na dnie duszy. Zresztą, bądźmy spokojni: embryologia nie jest bynajmniej temu winną; jeżeli jej nie będzie, myśli te pojawią się przy innych okolicznościach, a te będą napewno znacznie mniej czyste, niż spokojne badanie natury, które jeszcze nikogo nigdy nie zepsuło.

Nie jest-że to dziwnem, że dzieci zapoznają się z naturą z książki, w zamkniętych pokojach mieszkalnych, lub wśród nagich ścian klasy, kiedy tuż za murami widać też samą naturę w pełni życia? Zamiast natury matka pokazuje dziecku bardzo marne ryciny, chcąc w ten sposób odkryć mu jej tajemnice: zupełnie tak samo, jak gdyby ograniczano się na ukazywaniu tytułu książki lub suchego spisu rozdziałów.

Nie! Żaden opis, żadna rycina nie zastąpi bezpośrednich widoków natury: zamiast kwasić umysł dziecka pokazywaniem mu obrazków, których bardzo często wprost zrozumieć nie może, zaprowadź je lepiej do lasu, na łąkę, na brzeg strumienia, — niech nie tylko zobaczy, ale dotknie się,

usłyszy, poczuje tę naturę w całej jej pełni. Wówczas opisy i ryciny mogą się na coś przydać, jako dopełnienie, objaśnienie, rozszerzenie wrażeń, które dziecko otrzymało. Ucz je przyrody na jej łonie, pokaż mu jej prostotę i mądrość, jej cuda, jej rozwój i zamieranie! W ten sposób dasz dziecku czysty, zdrowy, naturalny podkład umysłowy i moralny, rozwinięsz ciało, wzmocnisz zdrowie i siły, uczynisz dziecko zdolnem do znoszenia kolei losu, jakie mu bieg życia w przyszłości przyniesie.

X. Religia.

Teologowie i pedagogowie mieli często wprost przeciwne zdania co się tyczy religijnego wychowywania dzieci.

Naprzód wychowanie religijne nie ma nic wspólnego z kwestyą nauki religii; są to dwie różne rzeczy, i rodzina powinna to dobrze zrozumieć.

Wychowanie religijne nie może być podjęte przez szkołę: naturalnemi miejscami jego są dom i kościół.

Szkoła współczesna jest przede wszystkim miejscem kształcenia rozumu i pamięci; jej zadanie nie może obejmować w sobie rozwijania religijności. Religia nie jest ani wiedzą, ani zrozumieniem,

ale wiara. Ponieważ jednak w szkołach wykładają religię, większość rodziców sądzi, że w ten sposób szkoła w zupełności w tym kierunku ich zastępuje, że sama zajmuje się rozwijaniem religijności w powierzonych sobie uczniach lub uczennicach. Tymczasem tak nie jest.

Szkoła może wprowadzić nauczycieł zasad pewnej wiary, rozjaśnić jej podstawy, zmusić dzieci do zapamiętania głównych jej punktów, ale nie jest w stanie nauczyć ich w nie wierzyć. Religia jest rzeczą wiary, a nie nauki, i tylko taka, t. j. jako czysta, szczerza wiara, może przynieść szczęście wierzącemu. Nauka religii, wiedza odpowiednia, nie jest w stanie ani rozwinąć wiary, ani jej podtrzymać, kiedy ta upada; sama znajomość zasad religii, bez czystej wiary, szczęścia przynieść nie może,—zradza tylko hipokryzyę, wprowadza rozterki do wewnątrz duszy człowieka, niezgodę między tem, co myśli i robi, a tem, co w rzeczywistości czuje. Z tego powodu nauczania zasad religii nie można uważać za środek do rozwinięcia wiary. Dlatego też ani szkoła, ani rodzina nie powinna uważać nauki religii za nic więcej, jak tylko za środek obznajmiania dziecka z zasadami religii, do której należy, a w której mu wierzyć trzeba; ta różnica uwidocznia się już chociażby w tem, że z nauki religii, tak samo jak i z innych przedmiotów, trzeba zdawać egzamin: rzecz prosta, że taki

egzamin nie może tyczyć się, nie może wyrokować o sile wiary ucznia, tylko o jego znajomości jej zasad, ponieważ wiara jest rzeczą czysto osobistą i zapomocą egzaminów ani jej wykazać, ani jej siły oznaczyć nie można. O ile zasady wiary muszą być nabyte przez systematyczne uczenie się, o tyle wiara zjawia się, rozwija bez wszelkiej pomocy ze strony nauczyciela, może się najzupełniej obejść bez dogmatów; często najsilniej rozwija się właśnie w tym zakątku ducha, gdzie się jej najmniej spodziewano, gdzie nauka religii, jej część teoretyczna, nie sięgnęła wcale. Nauka religii dostarcza dziecku to, w co ma wierzyć, i nie więcej: wiara rozwija się niezależnie.

Tak jak fałszywa metoda nauczania może w dziecku spaczyć naturalny rozwój inteligencji, zupełnie ją przytłumić, tak samo nieodpowiednie, suche, formalne nauczanie religii może nie tylko wiary nie rozwinać, ale stłumić tę, która się rozwijać zaczęła.

Dziecko modli się tak, jak je nauczono; widzi w kościele różne obrzędy i praktyki religijne; wreszcie szkoła swą teoretyczną nauką przyczynia się do tego, że dziecko przyzwyczaja się uważać religię, w której wzrasta, za jedyną prawdziwą, prowadzącą do szczęśliwości i zbawienia. Czyż wszczepianie takiego pojęcia, rozwinięcie separatyzmu wyznaniowego, jest rzeczywiście do-

bram wychowaniem religijnem? Nie, ponieważ w ten sposób przywiązujemy człowieka do zewnętrznych form i obrzędów, różniących pojedyncze wyznania,—podczas gdy to, co stanowi rdzeń wszystkiego—wiara, odsunięta jest na dalszy plan, przykryta, przytłumiana przywiązaniem się do zewnętrznych form i oznak, które powinny stać na daleko dalszym planie, niż sama wiara.

W jaki zatem sposób masz w dziecku swem rozwijać wiarę?

Zapomocą zwykłego nauczania nie da się to osiągnąć, przynajmniej sposób ten nie jest dość pewnym. Zamiast tego, wcześniej prowadzaj dziecko do olbrzymiej świątyni natury, pozwalaj mu często i blisko z nią się zapoznawać, pozwól, niech podziwia jej cuda. Wówczas, prędzej czy później, na ustach dziecka zjawi się pytanie: kto to wszystko zrobił i do jakiego celu przeznaczył? Wówczas nastąpi czas rzucenia pierwszego ziarenka na przygotowany, użyźniony grunt serca dziecięcego. Tysiące rzeczy w naturze mogą je na to pytanie naprowadzić; ale nie wcześniej należy dać odpowiedź, póki pytanie nie zjawi się samo, bez pomocy sztucznego wywoływania, a tembardziej wprost narzucania. To pytanie o ogólnym początku i celu wszechrzeczy to podstawa wiary; i jako taka, jeżeli ma być zdrową, musi sama wzrosnąć i zakwitnąć: flancowana sztucznie, na

sztucznie użyźnianej ziemi, pozostanie bądź wątłą roślinką, którą lada podmuch świata zwarzyć może, pozostawiając po sobie jałową, niczem niezapełnioną pustkę,—bądź też może wzrość na potwora, zwyrodnić się, robiąc samego człowieka jakimś dziwolągiem, maniakiem religijnym, lub suchym, zimnym dogmatykiem, dla którego wiara polega na drobiazgowej znajomości jej zasad, przepisów i obrządków. Takim sztucznem zasadzaniem jest podawanie zasad religii, dogmatów i t. p. wprzód, nim dziecko potrzebę ich uczuje, nim się po raz pierwszy spyta: kto, dlaczego? Jest to wówczas niczem więcej, jak sztucznem pakowaniem dziecka do głowy suchych formułek, których ono ani potrzebuje, ani rozumie, które nie znajdują oddźwięku ani w jego rozumie, ani w sercu.

Wiara, nabyta na tle natury, płynąca z jej cudów i piękności, pobudzona i wypiełgnowana przez jej czystą poezję, jest daleko więcej uszlachetniającą, daleko wyższą, aniżeli zdobyta wśród suchych, zimnych, często wstrętnych dla dziecka murów szkoły, wymuszona prawie pod groźbą kary lub gniewu nauczyciela religii—księdza katechety, który, niestety, niezawsze odznacza się łagodnością. Zresztą, rzecz to do wytłumaczenia: ksiądz-nauczyciel uczy zasad wiary—i to jest jego zadaniem; mniej zaś zwraca uwagi na rozwój samej wiary, bo to jest bardzo trudnem.

Czysta, szczerą wiara, wiara bez obłudy—to skarb, z kąd płynie wiele szczęścia. Niestety, nie wszystkim dano zachować ją przez cały ciąg życia! Żyjemy w czasach niewiary—i wszyscy ci, którzy wiarę stracili, są to ludzie raczej nieszczęśliwi, niż błędzący, godni świątobliwego gniewu i oburzenia ze strony wierzących i bogobojnych.

Mówię „stracili,“ bo ci, którzy jej nigdy nie mieli, lub mieli tę powierzchowną wiarę, opartą na formie, na zachowaniu martwej litery zakonu, ci straty tej nie odczuwają, jak nie czuli wiary wówczas, kiedy ją niby jeszcze mieli. Pierwsi przestają wierzyć, ale zachowują dla wiary cześć i poszanowanie, kochają te wspomnienia, chociaż już napowrót nie mogą stać się wierzącymi; wiara polega na uczuciu, które nie podlega rozkazom woli, ani rozumu. Tak jak nie można nakazać sobie kochać, jeżeli tej miłości niema, tak samo nie można drogą postanowienia przywrócić sobie wiary. Lecz, jak w jednym, tak i w drugim wypadku, przestając kochać lub wierzyć, można przywiązać się do wspomnień; ale to ma miejsce tylko wówczas, kiedy te wspomnienia są miłe, kiedy powiązały się z niemi myśli, czucia lub postęпки, których rozpamiętywanie nie przejmuje nas wstrętem lub chłodem. Dlatego też, matko, staraj się dziecku twemu dać taką wiarę, aby jej nie przestał kochać i szanować nawet wówczas, kiedy ją

już zupełnie utracił. Szacunek nieprzyjaciela jest najlepszą rękojmią dobroci i szlachetności.

Taką wiarę możesz dziecku twemu dać tylko wówczas, jeżeli ją połączysz nie z suchemi, często niezrozumiałemi dla dziecka przepisami formalnego katechizmu, ale z tą szczerą, szlachetną, prawdziwą poezją, szeroko rozlaną zarówno wśród natury, jak i w czynach, uczuciach i myślach ludzi. W przyrodzie i jej poznawaniu, w wzniosłych, szczytnych stronach natury ludzkiej niechaj znajdzie swe źródło, niech ztamtąd czerpie swe soki odżywcze, a wówczas, matko, będziesz pewną, że dziecko twoje będzie szczęśliwe nawet wtedy, kiedy je dotknie utrata wiary.

XI. Język.

Język, ten środek wypowiedzania myśli, bardzo rzadko bywa przedmiotem podziwu. Mówimy ciągle, a nie pomyślimy nigdy, co by było, gdyby język nie istniał wcale?

Nikt nie pyta, czy jego język ojczysty jest piękny czy brzydki, ubogi czy bogaty, dźwięczny czy nieprzyjemny; na obczyźnie szczególnież żaden nie jest piękniejszym, bogatszym, dźwięczniejszym, niż jego własny. Czyż może być inaczej? Czyż wielkie duchy ludzkości nie używały go do

przekazywania potomności swych myśli, uczuć, do utrwalenia piękna i prawdy, nauki i sztuki?

Czyż język, w którym złożone są skarby uczuć i myśli danego narodu, nie powinien być jednym z klejnotów, który należy w czystości dzieciom przekazać, aby mogły rozumieć myśli swych przodków, oraz tak mówić, aby przyszli potomkowie nie mieli trudności w zrozumieniu swych ojców?

Jest to godnem pożałowania, że w niektórych domach mało wogóle zwracają uwagi na język, na jego czystość; mówią bądź z przymieszką mało używanych prowincjonalizmów, bądź też wprost niegramatycznie, bądź żargonem bruku. Dziecko słyszy, przyzwyczajają się i raz nabyty akcent oraz zwroty z trudnością później dają się wykorzenieć. Przykład taki mamy na żydach, którzy w dzieciństwie słysząc mowę ze złym akcentem, później, nawet będąc w dobrych warunkach co do języka, poprawić go sobie nie mogą.

Najgorzej pod tym względem wpływają bony cudzoziemki, mówiące zepsutym językiem; dzieci słyszą i naśladowują.

Rzecz prosta, że jednym z nieodzownych warunków, bez którego nigdy nie będzie można osiągnąć pożądanego rezultatu, jest, aby rodzice sami posiadali dobrze język, który chcą przekazać swoim dzieciom w stanie nieskażonym.

XII. Zabawy dziecinnie.

Były czasy, kiedy dzieciństwo, nawet młodość, schodziły na ciągłych zabawach—o właściwej, systematycznej nauce mowy nie było. Dziś jest przeciwnie: młodość ma tylko naukę i nie ma czasu na zabawę.

W tem miejscu niejedna matka przerwie czytanie i zapyta: czyż nasze dzieci niedość się bawią, czyż mało mają czasu na zabawę?

Niestety, muszę odpowiedzieć przecząco. Nie nazywam zabawą, w znaczeniu wyższem, tego kręcenia się dzieci w kuchni, na podwórzu, w ogrodzie, na drodze, gdzie właściwie każde z nich szuka sobie zajęcia, któreby mu najlepiej trafiało do przekonania. Ale nie jest to zabawa; to jakieś zajmowanie się bez planu, bez celu, które nie wzmacnia ciała, nie podsyca ducha, dając im jednocześnie pożywienie i wypoczynek.

Jest to jeden z błędów metod naszego wychowania, że zamało zwracamy uwagi na zabawy, jako na środek kształcący, pomimo tego, że, jako taki, może nam oddać bardzo wielkie usługi. Mówię o zabawach, które oddziałują jednocześnie na ciało i na ducha, o zabawach zbiorowych, kierowanych przez starszych. Takich zabaw mamy dość dużo, zawiele nawet; chodzi tylko o to, aby nauczyciel lub matka chcieli się z niemi zapoznać i wciągnąć do nich swoich uczniów lub dzieci. Gry takie, wzmacniając ciało, wyrabiając giętkość, zręczność, wytrzymałość, przygotowują jednocześnie dzieci do wielu zawodów praktycznych. Policzki się rumienia, krew napływa do najodleglejszych zakątków ciała, trawienie odbywa się szybko i normalnie; jest to odpoczynek dla ducha i ciała—warunek, który dobrze usposabia do następnej pracy umysłowej; gra jest przejściem od bezplanowego, bezładnego kręcenia się do systematycznej, poważniejszej pracy. Gry wyprowadzają dziecko na świeże powietrze, stykają je z naturą, ucząc poznawać ją, korzystać z jej stron dobrych i zwyciężać lub unikać złych i szkodliwych; one potęgują wolę, budzą odwagę; powolnych pobudzają, ze zbyt ruchliwych robią spokojnych i rozważnych; łącząc z sobą dzieci różnych klas i poziomów społecznych, osłabiają lub usuwają wstrętne nienawiści kastowe; godzą z sobą często

dzieci, które się z sobą pokłóciły, — godzą lepiej, aniżeli to zrobić może nakaz lub perswazyja starszych; słowem przedstawiają bardzo wiele stron dodatnich i tylko żałować trzeba, że tak małe znajdują zastosowanie, tak małą cieszą się popularnością.

Drugim błędem starszych jest, że nie znają tych gier, nie umieją ich poprowadzić jak należy, grają gorzej niż niejedno z dzieci, nie potrafią nadać im życia, zrobić je interesującemi. Przyczyną tego jest to, że zabawami nie zajmujemy się seryo, tak, jak to robią Anglicy i Amerykanie; nie potrafimy sobie przyswajać obcych, a swoich własnych gier i zabaw nie posiadamy w zbyt wielkiej ilości. Ani ze strony szkoły, ani ze strony rodziny inicjatywy w tym kierunku niema. Mówią do dzieci: „teraz możecie się bawić!“ i zostawiają je samym sobie, swojemu własnemu przemysłowi, któremu brakuje i wprawy i pomysłowości co się tyczy dobrego urządzenia zabawy; ta zwykle zasadza się na bezmyślnem lataniu, często biciu, tarzaniu się po ziemi, robieniu głupstw i psot, które sprawdzają dla dzieci szkodę, rodzicom robią nieprzyjemności, a często koszta i kłopoty. Dziwne to, jak rzadko kiedy gry dziecinne mają jakiś sens i porządek, jak rzadko prowadzone są przez starsze, rozumniejsze osoby; oprócz tego bawią się zwykle tylko małe dzieci. Zabawę wspólnie z małemi dzie-

ćmi starsza młodzież uważa za ujmę swej godności. Bardzo byłoby pożądanem, aby, bądź z inicjatywy władz szkolnych, bądź rodziny, nadać grom i zabawom takie znaczenie, jakie spotykamy w Anglii, gdzie gry rozpowszechnione są nawet wśród prostego ludu.

Wiele u nas piszą i mówią o przeciążeniu dzieci pracą umysłową i jej złych skutkach, rzadko jednak wspominają o jednym z potężnych środków zaradczych, mianowicie o rozpowszechnieniu gier i zabaw na otwartem powietrzu.

Dziwnie, powiedziałbym *głupio* wygląda taki dom, taka rodzina, w której urządzają się wieczory muzykalne, przyjęcia, zamiejskie wycieczki dla obcych osób, a niema pieniędzy na kupno jakichś zajmujących, kształcących zabawek, przyrządów do nauczania, interesujących i pożytecznych książek dla dzieci. Para drewnianych, niezgrabnych domków i tuzin ołowianych żołnierzy, a ciężar z głowy zrzucony! Czyż to jednak wystarcza? Czyż nie wstyd tak zaniedbywać dzieci, wydawać na zabawki dla nich tyle właśnie, ile kosztuje para balowych rękawiczek?

Widzi się następnie blade, anemiczne dzieci, kręcące się po pokojach w godzinach odpoczynku, zajęte od czasu do czasu jakąś bezmyślną zabawą, lub czytające głupią książeczkę, kupioną na chybił trafił. I to nazywa się odpoczynkiem, użytko-

waniem wolnego czasu na wzmocnienie ciała, odświeżenie umysłu, w celu przysposobienia go do dalszej pracy!

Te bezplanowe, bezładne zajęcia naszych dzieci w czasach wolnych od zajęć są ogólną klęską, dotyczącą wszystkie prawie rodziny! Piękne dni życia zostają w ten sposób stracone bez pożytku, więcej—stają się źródłem wielu złych wpływów, są przyczyną niejednego spaczenia umysłu lub ciała.

Wszystko to zwalano na szkołę, lub, jeśli to nie pomoże— na życie; tymczasem rodzina, która tę funkcję spełniać powinna, pozostaje często pustą i bezpłodną, ponieważ sądzi, że tę jej misję można pozostawić innym czynnikom; one to mają uczynić dzieci zdrowymi i szczęśliwymi,—ich to zadanie, za które rodzice płacą.

A cóż pomogą te zasuszone mumie, te móle książkowe, jakimi jest większość profesorów i nauczycieli, którzy z pośród czterech ścian swego zapylonego pokoju chcą świat i ludzi kształtować,— świat, którego nie znają, — ludzi, których często wcale nie pojmują?

Dziwnem jest także, że nie upatrują w grach dziecinnych, jak wogóle w każdej szlachetniejszej przyjemności, silnego środka cywilizacyjnego. Dzieci wyższych rodzin angielskich właśnie przez gry, odbywające się w specjalnie urządzonej

halach, nabywają zamiłowania do czystości i porządku, uczą się punktualności, przyzwyczajają się do planu w zajęciach, wyrabiają w sobie pilność, wytrwałość, zręczność, przyzwyczajają się do pracy, czyli nabywają tego wszystkiego, co w człowieku jest wyrazem wyższej cywilizacji. Jest to także metoda wychowania, kto wie, czy nie daleko lepsza, niż ślęczenie nad łaciną i greką, nad Ksenofontem lub tragedjami Sofoklesa. Radzę ci zatem lepiej na pewien czas pozostawić na opiece służby kuchnię i sprzątanie, mniej siedzieć przed lustrem lub w salonie, a zato więcej z dziećmi, w ich pokoju, w ogrodzie, w polu lub w lesie, pomagając, kierując ich zabawami. Wówczas również i wzmocnisz ducha i ciało swych dzieci, przytem węzły miłości wzajemnej coraz silniej zaciskać się będą.

XIII. Jedność i konsekwencja.

Mówiłem już poprzednio, że w rodzinie powinna panować harmonia, bo inaczej mowy być nie może o dobrem wychowaniu dzieci. Chciałbym, aby zrozumiano, że dzisiejsza rodzina tem także bardzo grzeszy, że brak jej jedności wewnętrznej i konsekwencji w postępowaniu z dziećmi.

Pomimo tego, że matka była, jest i będzie dużą, ogniskiem rodziny, jednakże jej zwykle sama nie stanowi; oprócz niej jest jeszcze ojciec, dalej zwykle ciotka, albo starsze rodzeństwo, wreszcie służba, którzy świadomie lub nieświadomie, więcej lub mniej oddziałują na umysł i postępowanie dziecka.

Można powiedzieć, że rzadko bardzo spotykają się takie rodziny, w których zwracają uwagę na to, aby postępowanie z dziećmi było konsekwentne, miało w sobie jakąś jedność. Większość wcale o to nie dba, nie przychodzi to nikomu do głowy; sądzą, że wszystko w domu odbywa się w porządku, jest bardzo dobrze urządzone; niektórzy widzą braki, ale łudzą się błogą nadzieją, że szkoła i życie zaprowadzi porządek, ujmie wszystko w karby systemu.

Spójrzmy na tego rodzaju rodziny. W zasadzie brak im najprzód tego, co stanowi podstawę życia rodzinnego, mianowicie duchowego zespolenia; każdy żyje na swoją rękę, tak, jak mu wygodniej,—niema jakiegoś ogólnego planu, porządku, szczególnie w kwestyi wychowania. Ojciec jest często bardzo surowy i budzi obawę w dziecku; zwykle w takich wypadkach matka znowu jest zaślubą, zamiękką — pozwala synowi robić wszystko, co mu się podoba, byleby tylko ojciec tego nie widział. Albo ojciec jest równie słaby jak

matka; wówczas rządzi starszy syn lub córka, których wola jest dla rodziców wyrocznią. Czyż takich rodzin mamy mało? Ojciec rozkazuje lub zabrania dziecku czegoś robić. Dziecko słucha, zdaje się rozkaz wypełniać; ojciec wychodzi i wszystko się kończy: dziecko robi to, co mu było zakazane, korzystając ze słabości matki, która, milcząc, pozwala na wszystko.

Matka przykazuje dziecku, aby było grzeczne ze służbą,—tymczasem ciotka swem postępowaniem przyczynia się do tego, że dziecko postępuje ze służbą niegrzecznie. Co chwali ojciec, gani matka. Matka stara się czasami wpłynąć na syna, aby więcej siedział nad książką; wówczas występuje ojciec z krytyką, każe mu iść bawić się, ponieważ uważa, że jest przeciążony nauką. Ojciec znowu zabrania tarzać się po piasku, latać po ulicy,—wówczas matka odzywa się: „Ach, dajże pokój, przecież to dzieci!“ Tu znowu ojciec karze syna za lekkomyślność; zjawia się matka, bierze syna w obronę i w obecności jego dowodzi ojcu, że to, co on uważa za lekkomyślność, jest tylko zapomnieniem lub roztrzepaniem, właściwem młodemu wiekowi,—że nie zasługuje na karę, lub przynajmniej nie tak wielką. Tam ojciec daje synowi pewną oznaczoną ilość drobnych pieniędzy; matka dodaje mu potajemnie coś do zwykłej pensyjki. Matka przykazuje służącej, aby nie siadała

z dziećmi ani do doróżki, ani do tramwaju; tymczasem ta pomija rozkaz, przykazując dzieciom, aby nie w domu nie mówiły.

Musiałbym zacytować jeszcze bardzo wiele przykładów — jest ich, niestety, bardzo dużo, są wadą charakterystyczną naszych rodzin.

Często bardzo mówią, że ojciec powinien w rodzinie reprezentować surowość i powagę, matka — miłość i łagodność, rodzeństwo współczucie. Jeżeli podług tej recepty chcieliby chować dzieci, to najprawdopodobniej nie wyszłoby z tego nic dobrego. Jest to błąd, jeżeli ojciec jest ciągle poważny i surowy, nigdy nie mięknie z zasady, chociażby tego pragnął, — matka zaś, odwrotnie, z zasady jest łagodna, pomimo tego, że zdarzają się wypadki, w których powinnyby okazać się surową. Wszystko to wygląda sztucznie — znać wówczas pewien przymus, nienaturalność, widać odgrywanie komedyi; dziecko to czuje i dobrze rozumie. Rzecz prosta, że ani taka sztuczna surowość, ani takąż miłość nie może budzić w dziecku rzeczywistej obawy i szacunku lub miłości: zaczyna ono także udawać, co szczególnie w młodym wieku nie jest objawem dodatnim, łatwo przechodzi w kłamstwo i hipokryzyę.

Nie przynosi również dobrych rezultatów, jeżeli ojciec, matka, siostra, służąca, rozwijają w dziecku jakąś specjalną stronę umysłu lub charakteru, albo, co gorsza, wykreślają sobie każdy

zosobna inny cel wychowania, każdy chce zrobić z dziecka coś innego. Trzeba koniecznie, aby wszyscy zgodzili się na jeden cel i o ile możliwości starali się postępować konsekwentnie, zgodnie z planem, przynajmniej co się tyczy rzeczy głównych.

Takich zgodnych rodzin spotykamy jednak bardzo niewiele. Ogromna większość postępuje bez planu, dziecko podlega najróżnorodniejszym metodom wychowania, każdy chce zrobić z niego coś, co jemu się podoba; wskutek tego zwykle jeden psuje to, co zrobił drugi, i odwrotnie. Nietylko ojciec wychowuje inaczej niż matka, a ta chce co innego aniżeli ciotka lub niania, ale na dodatek nikt nie trzyma się stale swego, a ciągle plan i cel zmienia, zależnie od chwilowego usposobienia.

Widzimy ojca, który przez pewien czas nic innego wieczorami nie robi, tylko czyta lub opowiada dzieciom różne pouczające, pożyteczne rzeczy; wkrótce jednak zaczyna go to nudzić i wieczorne czytanie idzie w zapomnienie. Tu znowu matka wpada na pewien czas w surowość; po upływie dni kilku z surowości przechodzi nagle w wielką czułość. Zmiana ta może się odbyć momentalnie: dziecko coś spsociło, matka je karze, dziecko płacze rzewnymi łzami; wtem matka czuje się wzruszoną, mięknie — i kara zamienia się na uściski, pochwały i t. p. Trzeba umieć panować nad sobą, nie unosić się ani zby-

tnią srogością, ani też nie wpadać w drugą ostateczność—w nieodpowiednie, niestosowne wybuchy czułości. Co dziecko temu winno, że matka zbyt się uniosła? Już kiedy otrzymało niesprawiedliwą karę, to trzeba mu to rozumnie wynagrodzić, a nie w sposób, który podkopuje szacunek dla matki, ukazuje dziecku jej słabość i wady.

Dosyć już mamy przykładów. Wogóle można powiedzieć, że wszędzie, gdzie w wychowaniu dzieci braknie jedności i konsekwencji, tam nie dobrego zrobionem być nie może. Jeżeli pojedyncze czynniki nie działają zgodnie, wówczas i charakter dziecka nie będzie miał ani stałości, ani jednolitości. Dziecko nie jest wcale ślepem na słabości ojca, matki, krewnych i znajomych; i im lepiej je poznaje, tem łatwiej potrafi z nich skorzystać. Przechodzi czas, dziecko wyrasta; wówczas znajomość wad ojca lub matki wywołuje nieposłuszeństwo, czasem lekceważenie rozkazów lub życzeń rodziców, jeżeli nie coś gorszego. Za tem idzie lekkomyślność, samowola, brak chęci panowania nad swemi namietnościami, krępowania się czemśkolwiek, co ani u chłopca, ani szczególnie u dziewczynki nie może prowadzić za sobą dobrych skutków.

Żeby tego wszystkiego uniknąć, należy na-przód w zaufaniu pomówić z mężem, naradzić się wspólnie, wreszcie zgodzić na jeden cel i jeden

plan w wychowaniu dziecka. Następnie trzeba się starać, aby o tych zamiarach wiedzieli wszyscy domownicy i znajomi, żeby postępowali zgodnie i konsekwentnie. Rzecz prosta, że nigdy nie będzie zadługiem namyślanie się, rozważanie, jaki obrać kierunek wychowania, jaki z nich będzie najodpowiedniejszy dla zdolności, zamięłowań i t. p. danego dziecka.

Rzecz prosta, że taka jedność, zgoda, wzajemne porozumienie się i wzajemne ustępstwa mogą istnieć tylko w dobrej, zgodnej, kochającej się rodzinie.

XIV. Święta.

Po dniach pracy i sumiennego spełniania obowiązków następuje dzień wytchnienia—niedziela.

Siły wymagają wypoczynku—i to jedno byłoby wystarczającą przyczyną, aby od czasu do czasu mieć jeden dzień wolny od zwykłych trosk i zajęć; doświadczenie wykazało, że na sześć dni jeden wypoczynku zupełnie wystarcza—i ci, co inaczej chcieli, musieli w końcu przyjść do przekonania, że taki porządek jest najlepszy. Ustanowiono święta nie tylko dla odpoczynku, ale i dla

modlitwy oraz spełniania potrzeb religijnych, pielęgnowania pobożności i wiary.

Różne narody różnie niedzielę święciły, żaden jednak nie pozostawał ciągle przy jednych i tych samych sposobach, przeciwnie—zmieniał je, zależnie od zmian samej wiary, następnie wskutek szeregu zmian historyczno-kulturalnych. Są narody, u których niedziela bardzo mało się różni od dnia powszedniego; inne znowu spędzają go na uciechach i zadowoleniach zmysłowych; spotykamy jednak jeszcze miejscowości, gdzie święcą niedzielę z całą powagą, czyniąc z niej rzeczywiste święto.

W czasach, kiedy żelazne rumaki pchane parą nie przerzynały łąk i pól, kiedy przemysł i handel spoczywały jeszcze w kolebce, kiedy nie było milionów żołnierzy, nie istniały ani olbrzymie fabryki, ani wielkie centry przemysłowe, nie było mieszkań zbiorowych, a ludzkością jeszcze nie owładnęła gorączka złota i używania, pogoń za blichтром i czczym rozgłosem, — wówczas niedziela miała swoje znaczenie, była obserwowaną ściśle; wówczas dzwony odzywały się jakoś częściej, głośniej, uroczyściej, wesołość i radość była zdrowsza, szersza, więcej szlachetna.

Dziś czasy inne. Dźwięczą dzwony, ale jakoś inaczej; zwołują wiernych—ci idą, ale jakoś bez przekonania, mechanicznie, więcej z przyzwyczai-

jenia, niż z potrzeby. Obłuda, brak szczerości, fałszywa pobożność, zastąpiły szczerą wiarę dawniejszą; została czcza forma, od której przez brak odwagi, przez niską dbałość o opinię ludzką, odebrać się nie mogą. Jeżeli czysta, szczerą wiarą jest szczęściem, to obłuda, fałszywa pobożność, jest trądem, który pokrywa duszę, zwykle niską w samej sobie; stokroć lepszym jest człowiek, który, straciwszy wiarę, otwarcie przyznaje się do tego, aniżeli ten, który ją udaje ze względów czysto osobistych, często wprost materyjalnej natury. Można powiedzieć, że najbardziej zaszkoździli wierze i kościołowi właśnie ci ludzie, którzy, wewnątrz czczy i brudni, przybierają pozory nabożnych i świętych, bronią często nawet zajadle tych rzeczy, w które sami dawno już wierzyć przestali, a co gorsza—śmieją się z nich nauboczu.

Święto niedzielne nie leży, tak jak dawniej, w sercach ludzkich, ale więcej w zewnętrznej formie. Ten pozór, jako martwa forma bez życia, znika coraz bardziej. Spotykamy obecnie wiele fabryk, zakładów prywatnych, nie mówiąc o publicznych, jak koleje, poczty, telegrafy i t. p., które funkcjonują bez zmiany prawie cały okrągły rok.

Dawniej niedziela gromadziła w domu wszystkich członków rodziny, zespalała ich bardziej. Dziś, kiedy w święta fabryki idą, kiedy funkcjonują publiczne biura i instytucje, sklepy są po-

otwierane, życie nazewnątrz rodziny biegnie trybem codziennym,—czyż możliwem jest to silniejsze zjednoczenie, zejście się rodziny w czasie święta niedzielnego?

Właściwie powiedziawszy, niedziela w dawniejszem znaczeniu obecnie już nie istnieje; stała się prawie zwykłym dniem powszednim, w którym zarówno lud prosty jak i wyższe sfery oddają się różnym uciechom umysłowym, na które im czasu w dnie powszednie nie starczy. Składają sobie wizyty, wyprawiają herbatki, popołudniowe przyjęcia, robią wycieczki zamiejskie, odbywają długie spacery po ulicach, najczęściej w celach pokazania się; koleje żelazne są przepelnione, toż samo wszelkie zakłady piwo- i jadłodajne, gdzie odbywają się lekkie, podkasane widowiska; jak wiadomo, niedziela jest dniem, w którym wykroczenia przeciwko moralności, wogóle wszelkie nadużycia, zdarzają się najczęściej. To się nazywa niedzielą!

Wiele z tych rzeczy jest wytworem postępującej cywilizacyi i bez wzruszenia ogólnego porządku usunięte lub wstrzymane być nie mogą. Jednakże, wprowadzić nie możemy wstrzymać ruchu kolejowego w niedzielę, ale możemy go ograniczyć; możemy nakazać zamykanie sklepów i fabryk, aby dać robotnikom choć jeden dzień wytchnienia. Nikt nie uważa tego już obecnie za nie-normalne, wskazuje nawet na potrzebę: wszak

w niedzielę ludzie także kupować muszą, szczególnie rzeczy codziennej potrzeby. Jest to tylko wymówka; należy przyzwyczaić ludzi, aby dniem wcześniej zaopatrywali się w potrzebne im na niedzielę rzeczy, aby swoją niedbałością nie zmuszali innych do pracowania bez ustanku, przez cały tydzień, bez wytchnienia.

Niedziela powinna być poświęcona rodzinie, tak jak to bywa dotychczas jeszcze w Anglii: dzień ten powinien skupić wszystkich w domu, u wspólnego stołu i ogniska. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: jest ona dniem bezładu, rozstrzelenia się, ekscesów, które działają rozkładająco na życie rodzinne i w dalszym ciągu na dzieci.

XV. Prawda.

Dążenie do prawdy — to jedna z najwyższych, najszlachetniejszych cech ludzkiego umysłu. Jeżeli zdołasz dziecku wszczepić zamiłowanie prawdy, wówczas możesz powiedzieć, że praca twoja nie poszła na marne.

Prawda jest nitką przewodnią i końcowym celem nauki i sztuki; szukamy jej w głębi nieba, wśród gwiazd, jak i na ziemi; szukamy prawdy

we wszystkich naukach i sztukach, w rzeczach wiary, w przemyśle, w wychowaniu; wszystko to, co robimy, mówimy, o czem myślimy, ma nas zbliżyć do tego pożądanego celu—prawdy. Ona jest podstawą wszelkich ludzkich stosunków i urzędzeń, bez niej cała ludzkość dawnoby już znikła z tego świata.

Jeżeli człowiek posiada w sobie siłę moralną, wówczas jest to bardzo silna przeciwwaga względem wszelkiego kłamstwa i fałszu: szczerze zamiłowanie prawdy w naukach jest zwykle nierozłącznem z prawdomównością, z wstrętem do kłamstwa.

Jedno z najważniejszych zadań wychowania mieści się w usiłowaniu rozwinięcia w dziecku zamiłowania prawdy, szukania jej wszędzie i zawsze; zadanie to właściwie polega na niedopuszczaniu, aby kłamstwo rozwinąć się mogło.

Niejeden się zapyta, czy to jest możliwe; zdawałoby się, że dziecka nigdy tak wychować nie można, aby nie wiedziało nawet, co to jest kłamstwo. Jest to rzeczywiście absolutnie niemożliwem, ale tylko w złej rodzinie. Tam jednak, gdzie członkowie rodziny prowadzą życie stosunkowo zamknięte, gdzie sama rodzina żyje normalnie, odpowiada wymaganiom dobrego wychowania—cel ten jest możliwym do osiągnięcia.

Są rzeczywiście dzieci, przez których usta nigdy kłamstwo nie przeszło, które posiadają wstręt ku wszystkiemu, co fałszem trąci. Sam znałem takie dzieci; tak są chowane, że wszystko mówią rodzicom, nawet gdyby to były rzeczy najbłahsze lub przykre. Takie dzieci nie umiały kłamać, nie wiedziały, co to takiego, nie pojmowały, jak można mówić co innego, aniżeli się myśli lub czuje.

Tak wychowane dziecko, kiedy wzrośnie, zacznie się stykać z szerszym światem, a, co za tem idzie, i z kłamstwem,—wówczas uczuje do niego większy wstręt, aniżeli gdyby nie było chowane w niewiedomości złego. Jeżeli dziecko raz skłamię, wówczas pierwszy grzech pociąga za sobą dalsze, których liczba wzrasta coraz bardziej, szczególnie wówczas, kiedy pozna, że mu nie wierzą nawet wtedy, kiedy mówi prawdę.

Życie rodzinne i społeczne wcale nie są tego rodzaju, aby mogły dziecko uchronić od kłamstwa, żeby je w prawdzie wychować. Służba rzadko odznacza się prawdomównością; dalej dziecko styka się z kłamliwymi dziećmi sąsiadów; następnie spotykają się złe przykłady w samej rodzinie, ze strony ojca lub matki. Jeżeli i rodzice rzadko kłamią, to często bez potrzeby i racyi nie dowierzają dzieciom, naprowadzając je w ten sposób na myśl kłamstwa: można powiedzieć, że w równie

szkodliwy sposób wpływa na dziecko sam zły przykład, jak i niedowierzanie w wypadkach, kiedy ono mówi prawdę. Z początku dziecko kłamie tylko z obawy kary, następnie już i z innych przyczyn, wreszcie kłamstwo bierne zamienia się na czynne, zjawia się oszukiwanie, podstęp.

„Uczyłeś się?“—pyta się matka syna, o którym wie, że nic nie robił. Ten, z obawy kary, odpowiada: „tak, proszę mamy.“ W tym wypadku matka była przyczyną kłamstwa syna—świadomie, umyślnie je wywołała. Powinna była właściwie powiedzieć: „Nie uczyłeś się dzisiaj, zatem zasłużyłeś na karę.“ Wówczas potrzeba kłamstwa ze strony dziecka wcaleby nie istniała. Wogóle można powiedzieć, że takie nierozsądne postępowanie jest powszechnym błędem: rodzice nie tylko nie starają się wszelkimi siłami usuwać potrzebę kłamstwa, aby dziecko jaknajmniej przyzwyczało się do niego, ale przeciwnie, wprost często świadomie zmuszają dziecko do mijania się z prawdą, zmuszają je zapomocą niestosownych pytań, nieodpowiedniego postępowania, zbytnej surowości i t. p.

Strzeż się budzić w dziecku choćby cień kłamstwa! Jeżeli nie przemówisz do niego szczerze, nie spojrzysz wzrokiem jasnym, pełnym miłości, wówczas możesz wywołać w niem chęć podejścia, powiedzenia nieprawdy.

Obieraj zawsze drogę prostą, chcąc dowiedzieć się prawdy; nie używaj podstępu, broń Boże kłamstwa, aby poznać, co dziecko myśli, lub zrobiło,—ponieważ w ten sposób możesz je zachęcić do spróbowania tej samej drogi,—do odpowiedzenia kłamstwem na kłamstwo, wykretem za podstęp.

Tylko skupione, czyste życie rodzinne, wśród wypróbowanej służby i przy pewnem zamknięciu się, odgrodzeniu od wpływów obcych, może utrzymać dziecko na drodze prawdy. Jeżeli raz wstąpiło na drogę kłamstwa, to jest twoim obowiązkiem użyć wszystkich sił i środków, aby je znowu na właściwą drogę naprowadzić. Uda ci się to, jeżeli wyszukasz przyczynę tej smutnej zmiany i podług tego obierzesz inną metodę wychowania, usuwając szkodliwe wpływy i powody. Często lepszem się okaże postępowanie łagodne, pełne miłości i rozumnego pobłażania, aniżeli kara, która łatwo może odsunąć dziecko od rodziców, tembardziej jeżeli kłamstwo było pierwsze i może niezupełnie świadomie popełnione. Utrata miłości i zaufania utrudnia, uniemożliwia wprost wpływ rodziców na dziecko, a zatem i wykorzenienie złego,—przeciwnie, jeszcze silniej pcha dziecko ku złemu.

Jak pięknym okaże się rezultat takiej pracy, jeżeli w jasnym oku dziecka będziesz widziała zawsze szczerłość i prawdę,—jeżeli, zbroiwszy coś,

podbiegnie z zaufaniem do kolan twych i zawoła: „mamo, zrobiłem coś złego!“

Nie nauka zaprowadzi twe dziecko ku szczęściu, nie dostarczą mu go ani pieniądze, ani posiadanie, ale czyste, prawe serce, rozmiłowane w prawdzie, która stała się celem jego dążeń i wysiłków. Miłość prawdy czyni człowieka duchowo wolnym, daje sercu i myśli spokój, czego nie zna fałsz ani obłuda. Tylko postępując w imię prawdy, można powiedzieć, że się idzie z ludzkością, że się dla niej pracuje. Miłość prawdy to jedna z cnót, która pozwala człowiekowi nazwać się członkiem ludzkości.

XVI. Sztuka.

Wiemy już, niestety, że mało mamy takich rodzin, gdzie starają się wyrobić w dziecku miłość i poczucie natury. Jeszcze gorzej ze sztuką i jej uprawianiem.

Po wsiach o sztuce mówi się bardzo mało; często jest ona przedmiotem pewnego pogardliwego lekceważenia, zajmowanie się nią widziane bywa jako miłe próżniactwo, nikomu pożytku nieprzynoszące, któremu oddać się mogą ludzie bogaci, niemający co zrobić z czasem i pieniędzmi.

Nie lepiej się rzecz ma w miasteczkach prowincjonalnych. Jedynie wielkie miasta, większe ogniska bogactwa i cywilizacyi, potrzebują sztuki, zajmują się nią. Jak w wielu innych rzeczach, tak i tu całą sprawę rozwoju i pielęgnowania sztuki oddają wspañalomysłnie szkołom, muzeom, artystom i nauczycielom, sami zaś ograniczają się na zwiedzaniu wystaw, lub kupowaniu od czasu do czasu jakiegoś obrazka lub tomiku poezyj. Wcale nie myślą o tem, że każda więcej wykształcona rodzina powinna z niemi współdziałać, powinna budzić i rozwijać w sobie i w dzieciach potrzebę i zamiłowanie piękna, smak estetyczny, pozwalający właściwie oceniać dzieła sztuki. Nie wiedzą, że i tu rodzina ma wiele do zrobienia: dom uważa się tylko za miejsce, gdzie się można najeść i wypaść, a wcale nie widzą jego moralnego oddziaływania, jakie może wyrzucić na dziecko.

Kto porównywał naszą sztukę ze sztuką innych narodów, ten przyszedł do przekonania, że nie stoimy wcale źle, zajmujemy dość poważne miejsce wśród innych,—co wskazuje, że mieliśmy i mamy obecnie dość ludzi, aby wzniesć sztukę na te wyżyny, na których obecnie stoi. Jednakże, pomimo to, przyznać trzeba, że istnieje u nas bardzo wiele ludzi, którzy sztukę znają i właściwie ocenić potrafią; ogół zachowuje się bądź obojętnie, bądź patrzy na nią fałszywie, nie posiadając wy-

robionego smaku, ani jakiegoś pewniejszego sądu o wartości dzieła; zwykle chwytą pierwsze lepsze, w danej chwili kursujące o niem orzeczenie. Zwiedzając miasta włoskie, chodząc po zagranicznych galeryach obrazów, napotykamy różnonarodową publiczność, która z przewodnikiem lub katalogiem w rękę bezmyślnie oblatuje wszystkie wymienione tam dzieła sztuki, zabytki i miejscowości, staje przed każdym po parę minut i idzie dalej, kontentując się tylko tem, że ten a ten obraz widziała. Z tych wycieczek, z takiego zwiedzania, pozostaje tylko zmęczenie, ból głowy i zamęt; nie odczuwa się ani rzeczywistego artystycznego zadowolenia, ani zmysł smaku się nie rozwija,—słowem podróż taka nie przynosi prawie żadnego pożytku. Nic to dziwnego, jeżeli pomyślimy, że wyjeżdżają zwykle za granicę bez żadnego przygotowania, nie starają się naprzód choć trochę zaznajomić się teoretycznie z rzeczami, które następnie oglądać mają.

Wiadomo, że dzieci, a nawet i młodzież, rzadko zwiedzają wystawy dzieł sztuki, nawet miejscowe; jedni mówią, że wystawy obrazów i rzeźb działają niemoralnie; drudzy, że to dużo kosztuje; inni, że dzieci z tego nic nie rozumieją. O pielęgnowaniu i rozwijaniu zmysłu estetycznego w domu wcale się nie mówi, ponieważ naogół sądzą, że do tego

potrzeba mieć jakieś zbiory rzeźb i obrazów, na co nie każdy zdobyć się może.

Jednak ani drogie obrazy, ani marmurowe posągi nie są niezbędnymi warunkami do kształcenia zmysłu estetycznego dzieci, jeno najprostsze i najzwyklejsze rzeczy, które nas w domu otaczają, które służą do codziennego użytku, które ciągle mamy przed oczyma. Ubranie zarówno dobrze jak obrazy, meble, dywany, tapety—jak marmurowe posągi, zabawki, śpiew, muzyka, deklamacya—słowem wszystko, co nas w zwykłym domu otacza, może służyć jako środek do rozwinięcia poczucia piękna i zamiłowania ku niemu. Jak się jednak ta rzecz u nas przedstawia?

Kupujemy tanie i marne oleodruki; czytujemy dzienniki i książki z kiepskim drukiem i papierem, upstrzone niedołężnemi, brzydkimi, często wprost bezsensownemi drzeworytami; wybieramy tapety, nie zwracając uwagi na smak ich rysunku; kupujemy ordynarne, pospolite sprzączki, które ustawiamy bez smaku na komodach i konsolach,—jakieś napoleony, brzydkie figurki gipsowe, nabyte na ulicy lub w sklepach, gdzie odbywa się stała wyprzedaż; nie zwracamy uwagi na estetyczność domowego ubrania, chodzimy zaniedbani, kiedy wiemy, że nas nikt obcy nie widzi; dajemy dzieciom tanie, brzydkie książki i zabawki, nie zwracając uwagi na ich jakość, byleby tylko było dużo. Nie

myślimy wcale o uszlachetnianiu smaku artystycznego, albo przeciwnie—jesteśmy silnie przekonani, że go posiadamy, i nie przyjmujemy co do tego obcej krytyki lub wskazówek.

Rzecz prosta, że dyskutować o czyimś smaku artystycznym nie można, ponieważ niema wcale możliwości przekonania; z drugiej znowu strony prawdą jest, że smak może być rozwinięty i bez odpowiedniego wykształcenia artystycznego nikt nie może osądzić dzieła sztuki, nawet wówczas, kiedy posiada z natury poczucie piękna: poczucie to, jak i inne zdolności, musi być wyczulone, rozwinięte, spotęgowane przez odpowiednie kształcenie.

Studia natury są przedewszystkiem mocno zaniedbywane; te jednak stanowią podstawę rzeczywistego zmysłu estetycznego. Zanim zechcemy uprawiać sztukę, naprzód trzeba rozwinać i zaostrzyć zmysły: ucho w chwytaniu subtelnych dźwięków, oko w przejmowaniu mnogości barw, światła i kształtów. Naturę trzeba studyować wśród natury; starajmy się poznać i zapamiętać całą różnorodność barw i kształtów, jaką spotykamy w świecie roślinnym i zwierzęcym, wśród martwej natury, na niebie i na ziemi; starajmy się zwracać uwagę dziecka na mnogość dźwięków i szmerów, które przemawia natura; uczmy nie tylko odróżniać krzyk sowy od gruchania gołębia,

ale starajmy się, aby ucho odróżniało pojedyncze tony, rytm w śpiewie słowika lub w akordowym rzechocie oddalonych stawów; nie zaniedbujemy zmysłu dotyku, powonienia, rozwijajmy także zmysł smaku, przynajmniej nie wypaczajmy go, karmiąc dzieci bądź słodyczami, bądź dając im ostre, korzenne potrawy lub napoje.

Kiedy ucho i oko zostaną dostatecznie wykształcone, można brać się do studyowania tej lub innej gałęzi sztuki pięknej.

Uczenie gry na fortepianie stało się prawie że zwyczajem ogólnym; równie jednak ogólnymi są błędy, które stale tej nauce towarzyszą. Naprzód uczenie odbywa się najczęściej pod przymusem, co naturalnie więcej dziecku szkodzi, niż pożytku przynosi; następnie niedostatecznie wyrabiają rękę i palce, a to z powodu, że do nauki początkowej biorą zwykle najgorszych nauczycieli, którzy złą metodą uczenia zniechęcają; dzieci nabierają manieri w grze; układ ręki, trzymanie się, uderzenie, bardzo wiele pozostawiają do życzenia: dziecko nabiera i przyzwyczaja się do całego szeregu błędów, które następnie nawet dobry nauczyciel z trudnością wykorzenić jest w stanie. Ci tani i źli nauczyciele są plagą nie tylko w kwestyi nauki gry na fortepianie. Sądzą, iż początków może uczyć każdy; dzięki temu mamy bardzo dużo grających, ale mało takich, których słuchać

można. Następnie bardzo mało zwracają na to uwagi, czy dziecko ma jakiś słuch, czy go nie ma: gra na fortepianie, szczególnie u panien, należy do dobrego wychowania, więc też uczą je nie dla muzyki, nie dla rozwinięcia zmysłu artystycznego, ale dlatego, że tak ogólnie przyjęto.

Malowanie i rysunek bywa zato prawie zupełnie zaniedbany. W szkołach jest to przedmiot bardzo podrzędny, o ile go uwzględniają, bo całe studia polegają głównie na kopiowaniu rysunków, lub co najwyżej rysowaniu gipsów; o rysowaniu, a tembardziej malowaniu z natury wcale mowy niema. W domach prywatnych, gdzie wykształcenie kierują mniej więcej podług programatów szkolnych, uważają rysunek i malarstwo za coś bardzo podrzędnego, czem szkodzą i dzieciom i sztuce wogóle, nie rozwijając dostatecznie zamiłowania i znanstwa malarstwa i rzeźby.

Co się tyczy nauki muzyki i rysunku, jeszcze i to zarzucić można, że zamało uwzględniają teoretyczną stronę, jak historia, ogólne prawa estetyki, zaznajamianie z utworami odnośnych gałęzi sztuki; wskutek tego uczeń kuje, uczy się mechanicznie.

Zawsze i wszędzie, jak tylko dostrzeżemy w dziecku jakieś zdolności, powinniśmy starać się poznać je, ocenić, aby następnie w odpowiedni sposób rozwijać. Jeżeli nawet dziecko nie zdradza żadnej wybitnej predylekcyi do tej lub owej

sztuki, należy starać się, o ile można, podnieść ogólny poziom estetycznego wykształcenia, rozwinać chociaż to, co ono w sobie posiada. Jest to możliwem wszędzie i zawsze, rozumie się raz więcej, drugi raz mniej: każda matka, nawet przy skromnych środkach, może znaleźć wiele sposobów, aby wzbudzić w dziecku miłość piękna. Tymczasem zwykle działają wprost przeciwnie, kierując się tem dzikim pojęciem, że dziecko wielu rzeczy nie rozumie, że jest nierozwinięte, że, słowem, nie trzeba z niem robić tyle ceremonij, co ze starszymi. Wskutek tego wieszają w pokoju dziecinnym marne obrazy, których nie można powiesić w salonie, bo dziecku — mówią — wszystko jedno: ono się na tem nie zna; dają mu brzydkie zabawki, bo znowu na ładnych się nie pozna, popsuje je równie prędko jak i brzydkie, — co jest błędem; wiadomo, że zabawki ładne, które mu się szczególniej podobają, przechowuje dłużej, aniżeli brzydkie i ordynarne. Pokoje dzieciinne są zwykle składem starych mebli, różnych popsutych ozdób, których już w salonie lub gabinecie powiesić lub umieścić nie można, bo są brzydkie, połamane: daje się je do dzieciennego pokoju, bo dzieciom wszystko jedno — wszak one się na tem nie znają!

Wskutek tego nic dziwnego, że w ten sposób zmysł estetyczny u wielu z nich pozostaje nierozwiniętym. Sądzą zwykle, że talent jest rzeczą

samorodną, że bez zewnętrznej podniety może się zbudzić i rozwinać. Tymczasem tak nie jest: zmysł artystyczny musi być tak samo rozwijany i pielęgnowany, jak inne władze duchowe; przez nieodpowiednie wpływy może być bądź stłumiony, bądź też zepsuty i wypaczony.

XVII. Zmysłowość.

Jedną z wad, którą całemi siłami tłumić i wykorzeniać trzeba, jest zmysłowość. Wada ta jest jedną z plag współczesnych, wypływającą z całego szeregu stosunków życiowych, które wprowadzenie nie mogły tej cechy wytworzyć, ale zato znakomicie przyczyniły się do jej wzrostu i rozwoju.

Zmysłowość to wada, która wraz z nami na świat przychodzi; jest to wada wrodzona, wypływająca z właściwości ustroju samego człowieka. Dlatego też potrzeba bardzo umiejętnego postępowania, aby nie pozwolić jej rozwinąć się,—trzeba dać dziecku dużo tej siły moralnej, zapomocą której mogłoby skutecznie walczyć z zmysłowemi popędami swej natury.

Uczucie przyjemnego zadowolenia, które płynie z czysto zmysłowych podrażnień, jest już dość silnie w dzieciach rozwinięte, szczególnie co się

tyczy niższych zmysłów—dotyku i smaku. Słodkie potrawy i napoje są dla dziecka najwyższą przyjemnością, przedmiotem ciągłych jego pożądań. W pierwszych szczególniejszych latach dusza dziecka żyje przeważnie życiem zmysłowym i niema racji twierdzić, że w tym wieku jest ono najładniejszym, bo jest najczystszym. To tylko pozór: przedstawia się nam jako aniołek, a jest właściwie małym zwierzątkiem, u którego władze duchowe są jeszcze uśpione, nierozwinięte; myślenie i pojmowanie jest zaledwie dostrzegalne, życie składa się z szeregu potrzeb czysto zmysłowych, około zadawalniania których kręci się całe jego małe życie. Dopiero później, kiedy siły duchowe zaczynają się rozwijać, uczucia zmysłowe powoli ustępują na dalszy plan, duch poczyną uwalniać się od grubych odczuwań zmysłowych, woła krzepnie, dziecko zaczyna być człowiekiem myślącym, u którego życie duchowe przeważa życie zmysłów. Ponieważ w pierwszych okresach życia zmysły grają tak wielką rolę, więc też nie trzeba tego zmysłowego życia jeszcze potęgować sztucznie, przeciwnie—należy o ile można najmniej starać się im dogadzać, aby w ten sposób nie przytłumiać powoli wzrastających władz czysto duchowych. Słaba matka daje krzyczącemu dziecku słodycze, chcąc je w ten sposób uspokoić; toż samo robi, chcąc mu dać dowód swej miłości. Huśtanie, kołysanie,

całowanie, pieszczenie, nie mają często końca ni miary. Wskutek tego za najmniejszą jakąś przykrością dziecko płacze, krzyczy, i to dopóty, dopóki nie sprawią mu dziesięć razy tyle zadowolenia, ile doświadczona przykrość wartą tego była. W ten sposób, przez częste podrażnienia zmysłów, w celu wywołania przyjemności, rozwija się je w tym kierunku nadmiernie, przytłumiając rozwój władz duchowych. Obok tego rozwijają jeszcze próżność, która wielce rozwojowi zmysłowości sprzyja. Nie-dość, że dadzą dziecku ładną i nową sukienkę, jeszcze ją nieustannie głośno przed dzieckiem chwalą, co gorsza—porównywiają z ubraniem innych dzieci: „A jakie Mania ma ładne buciki, jaką sukienkę!“ „Józia nie ma takich ładnych trzewiczków, jak Mania!“ i t. d.

Raz rozwinięta zmysłowość znajdzie we współczesnem życiu obfitą dla siebie strawę, i nie jej już przytłumić nie może, wszystko tylko potęguje. Już w domu spotykając się z wystawnymi obiadami lub kolacyami, wieczorami, przyjęciami, chłopczyk lub dziewczynka ma bardzo wiele okazji do rozwijania w sobie zmysłowości,—cóż dopiero mówić o szerszym świecie, do którego się dostanie, skoro tylko dorośnie.

Zamiast pielegnować niewinną duszę dziecka, utrzymywać ją o ile można w czystości, wiele matek przez nieumiejętne postępowanie wychowuje

ludzi zmysłowych, którzy dla tego rodzaju zadowoleń poświęcają wszystko—i rozum, i moralność i szczęście innych ludzi. Złe wychowanie poddaje człowieka pod władzę silnie rozwiniętych zmysłów, które nim kierują, nie dając mu liczyć się z wielu względami. Zwalczanie tych popędów przychodzi bardzo trudno, bo brak siły moralnej, woli silnej, które zostały stłumione właśnie przez bujnie rozrosłą zmysłowość.

XVIII. Zajęcia praktyczne.

Niema najmniejszej kwestyi, że jedną z naszych wad kardynalnych jest brak, a raczej niewyrobienie zmysłu praktycznego. Wada, którąby można było nazwać naszą wadą charakterystyczną, objawia się wszędzie: w przemyśle, handlu—gdzie dajemy się wyprzedzać obcym elementom,—w współczesnem historycznem życiu społecznem i politycznem, gdzie wskutek tej cechy popełniliśmy cały szereg błędów nie do wybaczenia, które w ogromnej części mają swój początek właśnie w tej nieumiejętności życia, w tym braku umiejętności praktycznego urzãdzenia się z czasem, czyli systematyczności, braku umiejętności stosowania prawd teoretycznych do zwykłych spraw codziennego życia.

Dlatego też rozwijanie w dzieciach zmysłu praktycznego powinno należeć do jednego z kardynalnych zadań wychowania; usilne zwracanie uwagi na tę stronę będzie prawdopodobnie tem, co wyróżni nasz system wychowania od sposobów, praktykowanych gdzieindziej.

Już było powiedziane, że zbiorowe, rozumnie prowadzone gry i zabawy w bardzo silnym stopniu przyczyniają się do wyrobienia dziecka pod względem liczenia się, umiejętności zastosowania różnych konkretnych, przewidzianych lub nieprzewidzianych wypadków do jakiegoś z góry upatrzonego celu, np. wygrania, przewyciężenia przeciwnika w grze lub zabawie—i w ten sposób wyrabiają w dziecku odpowiednie zdolności do radzenia sobie wówczas, kiedy wstąpi na szerszą arenę życia.

Dziecko nie może przebywać ciągle bądź w szkole, bądź na dworzu; musi część godzin przepędzić w pokoju. Ten to właśnie czas bardzo się nadaje do bezpośredniego rozwijania zdolności praktycznych przez zajmowanie dzieci zajęciami pożytecznymi. W ten sposób nietylko osiągamy pewną rozmaitość, a zatem dajemy odpoczynek poprzednio zmęczonym władzom lub organom, ale zarazem rozwijamy zręczność w rękach lub nogach, zaostrzamy zmysły, przyuczamy przewycięzać twardą, oporną naturę w celu osiągnięcia jakichś

zamierzanych pożytecznych rezultatów; jest to jeden z poważnych środków uprządkowania naszych dzieci.

Bardzo wiele dzieci posiada lalki, małe umeblowane pokoiki, pudełka z przyrządami do stawiania różnych domków, budowli, warsztaciki. Lalka wogóle może służyć tylko do zabawy; jeżeli jednak ma dać coś więcej, to do tego potrzeba, aby się wtrąciła starsza, inteligentna osoba. Lepsze rezultaty dają miniaturowe pokoiki, papierowe teatry lub warsztaciki. Jednakże, jeżeli matka sądzi, że dziecko może z nich rzeczywiście coś skorzystać bez obcej pomocy i wskazówek, że ofiarowanie takich zabawek uwalnia ją od zajmowania się dziećmi, to się bardzo myli. Bez udziału starszych zabawki stają się wprost niczem więcej, jak środkami bezmyślnej często zabawy, w której przedmioty używają się do zupełnie innego celu, aniżeli są przeznaczone: np. dziecko z cegiełek przeznaczonych do budowli, urządza wyścigi, zamieniając je w konie, lub w wagony kolei żelaznej i t. p. Bez obcej pomocy skromna pomysłowość dziecka, obszar jego wiedzy, bardzo szybko się wyczerpuje — dziecko ma zabawki, ale nie wie, co ma z nimi dalej począć. Ztąd zradzają się najdziwniejsze pomysły, zabawki zużytkowują się na rzeczy, które nie mają nic wspólnego z ich przeznaczeniem. Wreszcie wszystko mu się znu-

dzi—porzuca zabawkę, nie wyzyskawszy jej we właściwy sposób, i żąda nowej; często zdarza się, że mu odmawiają, zmuszając bawić się starą, twierdząc, że jest pożyteczną i jeszcze niezepsutą. Rozkaz ten bądź pozostaje bez skutku, bądź jeszcze bardziej zniechęca dziecko do porzuconej zabawki. Tylko wówczas, kiedy gra zostanie należycie objaśnioną, kiedy inteligentne wtrącenie się starszych potrafi pobudzić umysł dziecka, dać mu odpowiednią strawę, popychać go często w danym kierunku,—tylko wówczas zabawka może zajmować dziecko długo i przynieść odpowiedni pożytek. Rozumna matka może w podobny sposób wyzyskać i zabawy z lalką i z teatrzykiem, zużytkować je jako środek kształcący, wyrabiający zmysł praktyczny u dzieci, może zapomocą ich otworzyć mu oczy na wiele rzeczy, którychby samo nie dostrzegło, powiększyć sferę jego wiadomości praktycznych, pobudzić do myślenia, do samodzielnego rozstrzygania i przewycięzania trudnych rzeczy, które mu jego mały światek dostarcza.

Jeżeli ojciec nie ograniczy się na podarowaniu synowi warsztaciku z narzędziami, ale zarazem objaśni ich znaczenie i użytek, co więcej—będzie z nim razem rznął, heblował, piłował, budował, to w ten sposób nie tylko rozwinię w nim zdolności praktyczne, zręczność w wykonywaniu robót, ale zarazem może rozwinać umysł i pomysłowość, bu-

dzie zdolności wynalazcze, tak potrzebne nawet w drobnych sprawach codziennego życia. Budując zamki i domy, dziecko nauczy się zastosowywać różne narzędzia, krąg jego praktycznych wiadomości znacznie się rozszerzy; przytem, jeżeli jest zdolne, może zrobić niejedno drobne odkrycie, znaleźć nowe zastosowanie dla danego narzędzia, słowem może dojść samodzielnie, drogą niezależnego rozumowania, do znajomości praw i faktów, a wiadomo, że wiadomości w ten sposób zdobyte są najtrwalsze, najgłębsze, znaczą znacznie więcej, aniżeli wzięte z książki, zapamiętane. Nie próżna zabawa—ale kształcąca, nie bezcelowe i bezplanowe zajęcia — ale zorganizowana, systematyczna praca stanowi punkt ciężkości w kwestyi wyrobienia u dzieci zmysłu praktycznego.

Są rodzice, którzy znają całą doniosłość tego rodzaju zajęć, lecz ociągają się zbyt długo z ich wprowadzeniem. „Ma on jeszcze czas na pracę, niech się bawi“—mówią do siebie, patrząc z miłością na *bawiącego się* synka, który siedzi nad ołowianymi żołnierzami ze znudzoną miną, ustawia ich w ten lub inny sposób, nie wiedząc właściwie dobrze, co jeszcze nowego z nimi urządzić można.

Jest to błąd, ponieważ praktyczna zabawa, mająca jakiś cel przed sobą, dająca dużo materiału do myślenia, sposobności do ruchu, powodów do odczuwania, daleko prędzej dziecko zająć i zabawić

może, aniżeli żołnierze lub bębniący królik, powtarzający wiecznie jedno i toż samo. Należy więc wprowadzać takie zabawy możliwie wcześnie,—rozumie się, stosując się z ich wyborem do wieku, następnie do stopnia rozwoju dziecka. Trzeba tylko dobrze pomyśleć, a odpowiednie zajęcia zawsze się znajdzie, chociażby to miało być stawianie babek z piasku lub usypywanie wałów, robienie gór i t. p. Do pożytecznych zajęć praktycznych, dających się zastosować do różnego wieku, należą zajęcia w ogrodzie, hodowanie jakichś zwierząt domowych, a także pewne zajęcia koło domu, np. pomaganie matce w gospodarstwie. Żadne praktyczne zajęcia nie wyda złych rezultatów, byleby było dobrze zastosowane do zdolności i gustów dziecka, byleby pozostawało pod inteligentnym dozorem matki lub ojca, którzy nigdy o tem zapominać nie powinni, że chodzi tu właściwie o naukę, o rozwój dziecka, a nie o to, aby praca dziecka jakąś rzeczywistą, materyalną korzyść rodzicom przyniosła. Przytem bardzo uważać trzeba, aby dzieci pracą nie przeciążać; trzeba, aby przede wszystkim była to praca pełna ruchu, aby nie było w niej zbyt wiele suchego, pamięciowego, teoretycznego elementu, którego dość się już dziecko w szkole nałyka.

XIX. Służące do dzieci.

Wychowanie zawsze idzie więcej normalnie, daje lepsze rezultaty, jeżeli rodzina potrafi obejść się pod tym względem bez obcej pomocy.

Warunki społeczne uniemożliwiły lub bardzo utrudniły takie postępowanie; obecnie matka, nawet gdyby chciała, niebardzo może się obejść bez obcej pomocy w wychowaniu dzieci; posługiwanie się płatną służbą stało się obecnie powszechnym zwyczajem, który zmienić nadzwyczaj trudno.

Jak powierzchownie, jak mało wogóle oceniają znaczenie i rolę t. z. służącej do dzieci i jej wpływ na powierzoną jej działość! Nie brakuje takich matek, które uważają służącą, bonę, jako swą zastępczynię, wyręczycielkę od trudnych kłopotów chodzenia około dzieci; jak mało znowu takich, które nigdy tak nie myślą, które wiedzą, że służąca najmuje się do spełniania podrzędniejszych, mniej ważnych posług, że nigdy nie można jej powierzyć prowadzenia wychowania, że nie powinna mieć żadnej lub podrzędnej roli w kształceniu, urabianiu umysłu i serca dziecięcia.

Przypatrzywszy się bliżej postępowaniu większości służących z dziećmi, przychodzi się do smutnych wniosków. Te surogaty matek, zarówno co się tyczy ich zewnętrzności, jak i sposobu myślenia i czucia, stoją tak nisko, tak wiele pozosta-

wiają do życzenia, iż dziwić się należy, że tak ogromnie dużo matek nie czują się niezadowolone z ich pracy i jej rezultatów.

Dziwne to, jeżeli wogóle sądzą, że jest wystarczającym, jeżeli dziewczyna do dzieci jest „dobrą“ dziewczyną — jeżeli niczego ponad to od niej nie wymagają. Ten brak zdrowego sądu przejawia się, jak to już wiemy, i w innych rzeczach; wystarczy przypomnieć, że tysiące matek do nauki początków muzyki, śpiewu, rysunku, malowania, używa tanich, złych, mało umięjących nauczycieli, którzy za marne pieniądze psują zdolności i zniechęcają uczni do nauki. „To jeszcze małe, nic nie rozumie,“ „to tylko początki!“ Są to zdania równie niesłuszne, o ile często używane. Metoda byle jakiego obchodzenia się z dziećmi w pierwszych latach dzieciństwa, jak widzimy, stosowaną jest i w kwestyi dobierania służącej oraz powierzania jej zupełnej opieki nad niemi.

Wogóle nie odznaczają się one porządkiem, a przynajmniej posiadają tę zaletę w stopniu niedostatecznym. Jeżeli niektóre z nich dbają o porządek w ubraniu, to najczęściej mało zwracają uwagi na czystość bielizny i ubrania dzieci, nie mówiąc już o tem, że nie pojmują potrzeby wentylowania mieszkania, nie umięją we właściwy sposób obchodzić się z zabawkami, szczególnie pedagogicznymi, a tembardziej z książkami. Inna znowu sądzi, że

spełnia dobrzeswą misję, jeżeli dziecko się nie potłucze, nie skaleczy, lub nie krzyczy—o resztę nie dba. Tam znowu spotykamy się z taką, która, wyszedłszy na przechadzkę, zostawia dzieci na łasce losu, sama zabawiając się rozmową ze znajomymi. Tu widzimy służącą, która często bezwiednie uczy dziecko kłamstwa, opieszałości, lub pozbawia je tysiąca różnych przyjemności, rozrywek, jedynie wskutek tego, że wielu rzeczy we właściwy sposób zużytkować nie potrafi, ponieważ ich nie rozumie, ponieważ nie jest w stanie zastosować ich do umysłowości dziecka. Opieszałość, zmysłowość, pycha, upór i złośliwość, lenistwo i nieporządek, słaba pamięć, brak zdolności dłuższego myślenia, wytrwałości, są w wielu wypadkach skutkiem złych nianiek, bon lub służących.

Istnieją dwa typy, dwie kategorie służących, których do dzieci przyjmować nie należy.

Do pierwszej kategorii należą bardzo młode dziewczęta, mało mające doświadczenia, szczególnie w kwestyi wychowania, które nie rozumieją jeszcze ważności tego zadania, nie pojmują, że zastępują dzieciom matkę, jeżeli nie w zupełności, to w bardzo znacznej części. Jeżeli mają przytem dobry charakter, jeżeli są „dobremi“ dziewczynami, to można z nich drogą odpowiedniego kształcenia urobić pożyteczne nianki, bony. Ale w większości wypadków matka-gospodyni ma tyle ró-

żnych zajęć w domu, koło rodziny, że nie może poświęcać czasu na wychowywanie i urabianie sobie odpowiedniej opiekunki dla dzieci.

Drugą kategorią są znowu zbyt stare służące. Spotykają się w niektórych domach jako stare sługi, otrzymane w spuściźnie od rodziców, przywiązane do domu, do państwa, uważane są poniekąd jako członkowie rodziny. Właśnie wskutek tego takie stare służące posiadają zawiele swobody w postępowaniu, szczególnie względem dzieci. Ze względu na wiek i długą służbę wiele im pozwalają, wiele uwzględniają. Jest to wprawdzie bardzo piękne, ale, niestety, niezawsze równie dobre. Z powodu podeszłego wieku służące tego rodzaju nie posiadają dość energii i żywotności, są niedołężne i dlatego nie nadają się do pielęgnowania, rozwijania ruchliwego, ciągle zmiennego dziecka; nie mogą z powodu braku sił fizycznych zadowolnić jego potrzeby ruchu, coraz to nowych wrażeń i t. p. Szczególniej szkodliwą jest ta okoliczność, że z powodu swej długoletniej służby w jednym i tym samym domu nabierają pewnych narowów, sądzą, że wszystko najlepiej wiedzą, najlepiej zrobić potrafią, że powinno się robić tak i tak, ponieważ w ten sposób robiono przed paru dziesiątkami lat. Pani domu, która co do wieku mogłaby być córką swej służącej, uwzględnia w znacznej części jej wymagania, wskutek czego

dziecko pozbawionem bywa inteligentnej opieki i rozumnego, pedagogicznego kierowania jego rozwojem.

Jakąkolwiek jednak przyjmujemy służącą, nigdy nie należy uważać jej jako wyręczycielkę matki, lecz jako jej pomocnicę. Wybiera się niezbyt młodą, która już była przy dzieciach, i zwraca się uwagę na jej inteligencję, charakter, a szczególnie na zamiłowanie do pracy nad wychowaniem dzieci. Nie jest koniecznem, aby posiadała jakieś szkolne wykształcenie; daleko większą wartość posiadają: zamiłowanie porządku i czystości, pewien takt w postępowaniu oraz naturalna inteligencja, zmysł praktyczny, których szkolne wykształcenie nie daje.

Tylko wówczas możesz być pewną, że twoje rozporządzenia i rady będą należycie wypełnione, że poza twemi plecami nie będą się źle obchodzić z dzieckiem, że nie będą psuć tego, coś zdołała swym wpływem zbudować.

Kwestya doboru służby do dzieci jest, niestety, bardzo lekceważoną, prawie tak bardzo, jak bardzo jest niegodną lekceważenia. Jest to rzecz, nad którą się bardzo zastanowić trzeba, ponieważ mamy tysiące takich ludzi, których spaczenie umysłu i charakteru, cały szereg nieszczęść w życiu, które z tego powodu wynikną, mają swe źródło w złym, nieopatrznyim doborze służby, a głównie

w powierzaniu ich niezdarnym rękom całej sprawy wychowania. Przyjmując służącą do dzieci, potrzeba obchodzić się z nią możliwie najlepiej, pamiętając na to, że wszystkie fałszywe kroki, wszystkie niesprawiedliwe względem niej postęпки odbijają się ostatecznie na samych dzieciach, które pokutują za porywczosć lub nietakt swoich rodziców.

XX. Wpływ przykładu.

Siła przykładu i przyzwyczajenia jest tak wielką, że uleść jej musi więcej lub mniej każdy człowiek. Wiedzieli o tem Rzymianie, że pierwsze czynności dzieci polegają w znacznej części na naśladownictwie, że zatem przykład może na nie ogromnie wpłynąć.

Naśladownictwo leży w naturze człowieka, jest bardziej ogólnem, bardziej częstem, aniżeli to na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło.

Duchowe drzewo człowieka ma swe korzenie w ziemi domu rodzicielskiego. Jeżeli grunt był zdrowy i pożywny, jeżeli życie rodzinne było normalne, wówczas duch wzrasta, kwitnie i wydaje owoce, przynosząc szczęście sobie i innym. Kto nie wspomina lat dziecinnych, kto nie znajduje w nich wiele pięknych wspomnień, kto nie przy-

zna, że dużo tam było takich rzeczy, które daleko lepiej, aby się wcale nie stały, lub stały się inaczej? Dom, rodzina, dają najsilniejsze impulsy do szlachetnego życia, dają najpiękniejszą gwarancję szczęścia i powodzenia człowieka. Jeżeli atmosfera, w której wzrastało dziecko, była czystą, zdrową i szlachetną, wówczas i duch ukształtuje się pięknie, przesiąknie czystymi, szlachetnymi uczuciami i popędami, które go już nigdy nie opuszczają. Jeżeli zaś do rodziny wkradło się zepsucie, bezład, występki, jeżeli znajdują się w niej szkodliwe pierwiastki, wówczas jest możliwem, że dusza dziecka ulegnie zepsuciu, skieruje się na drogę nieszlachetności, a nawet występkę. Rodzina powinna być bez zarzutu, aby dziecko ciągle miało przed oczyma dobre przykłady, aby zepsucie nie wkradło się do jego młodej duszy przez zetknięcie się z nieszlachetnością, niemoralnością bądź w słowie, bądź w uczynku. Życie duchowe dziecka jest tak delikatne, że zaszkodzić mu może nawet słaby powiew zepsucia.

Często wystarcza do tego jedno słowo, jeden postępek, jeden zły przykład, aby skierować dziecko na fałszywą drogę. Nikt tak dobrze nie patrzy—jak dziecko, nikt nie słucha uważniej, nikt tak usilnie nie stara się dociec tajemnicy—jak umysł dziecka, nikt nie jest skłonniejszy do zmysłowości, kłamstwa, lenistwa, złośliwości, oporu, samowoli—

jak dziecko. Tymczasem, wprost przeciwnie, uważają je za niewinnego aniołka, mówią, robią przy niem to, czemu silniejsza dusza starszych załędwie oprzeć się może.

Nieszczęśliwe są te z dzieci, które, z natury więcej moralne, potrzebują czystsze go, więcej duchowego życia,—tymczasem otrzymują od rodziny, od rodziców, tylko zachętę ku złemu! Nieszczęśliwe są te, którym służba, dalsze otoczenie rodziny, obcina te zdrowe, silne pędy, które w nich zdołał rozwinąć dobroczynny wpływ matki lub ojca! Jakżeż godni pożałowania są ci rodzice, którzy świadomie lub nieświadomie kształcą swe dziecko na przestępcę, kładąc mu w duszę, zamiast ziarn zdrowych, nasiona zbrodni! Jak smutny obraz przedstawiają te biedne, żyjące w występku rodziny, które są wylęgaczem różnego rodzaju przestępstw i zbrodni, gdzie dziecko wprost odwrotnie wzrasta w zupełnej nieświadomości dobrego, obcuje z brudem moralnym bez żadnej odrazy, popełnia rzeczy niemoralne na każdym kroku, nawet nie wiedząc o tem, że popełnia występki,—robi tak, jak robią starsi, jak czyni ten świat-rodzina i bliższe otoczenie, wśród którego ono żyje.

XXI. Guwernantki.

Były czasy, kiedy ojciec lub matka w święto lub o wieczornej porze uczyli dzieci różnych ciekawych i pożytecznych rzeczy. Te czasy domowej nauki zniknęły bezpowrotnie, szkoła zapanowała wszechwładnie.

Mimo to są jeszcze rodziny, które kształcą dzieci w domu, posługując się jednak obcymi ludźmi—mianowicie guwernantkami.

Zarówno jak ogródki dziecinne, tak i instytucja guwernantek jest tylko koniecznem złem, wynikiem ze współczesnych warunków życia, wskutek których wiele matek wyzbywa się swoich naturalnych praw i obowiązków.

Jak wiele mamy takich, które skarżą się na guwernantki, i jak wiele guwernantek płacze nad swoim losem z powodu złego traktowania ze strony panów domu! Zamiast skarżyć się i narzekać, radziłbym każdej matce zająć się własnem dzieckiem i o ile możliwości unikać przyjmowania guwernantek. Jeżeli jednak inaczej nie można, jeżeli nie chcesz lub nie możesz sama zajmować się dziećmi lub posyłać je do szkoły, w takim razie radziłbym ci co następuje:

Przy poszukiwaniu guwernantki nie zwracaj się do biur i agentur; doświadczenie wykazało, że droga taka zbyt rzadko coś dobrego przynosi.

Daleko lepiej brać je z prywatnej, pewnej rekomendacyi osób ci znanych, którym zaufać można. Świadcstwa i piśmienne rekomendacye niezawsze zasługują na zaufanie; zdarzają się guwernantki do niczego, opatrzone jednak najlepszymi świadectwami, ponieważ bądź dobrze uczą, ale źle wychowują,—bądź dużo umieją, ale moralnie nisko stoją.

Stanowisko guwernantki w domu nie należy zwykle do rzeczy godnych zazdrości ani pod względem moralnym, ani materyalnym. Traktują ją często jak zwykłą służącą, nie zwracając uwagi na jej większe, wyższe potrzeby, jako osobistości umysłowo i uczuciowo wyżej rozwiniętej. Wskutek tego obchodzenie się z dziećmi odpowiada traktowaniu jej przez rodziców.

Czyż jednak guwernantka nie zasługuje na lepsze traktowanie? Czyż nie jest to osoba, która stoi prawie narówni z matką, której powierzono to, co ta ma najdroższego—własne dzieci,—czyż jej stanowisko raczej wskutek tego nie zasługuje na wyróżnienie?

Te właśnie matki, któreby mogły uczyć i rozwijać swe dzieci, obchodzą się z guwernantkami najgorzej, kiedy, jako rozumniejsze, więcej rozwinięte, powinny się obchodzić najlepiej. Przeciwnie matki, które same nie mogą spełnić wymaganych od nich obowiązków, traktują guwernantki najlepiej, najlepiej czują ich rolę, ich znaczenie, jakie

w domu odgrywają. Doświadczenie przekonało, że dobre obchodzenie się z obcymi ludźmi, przyjętymi do dzieci, wydaje tylko dobre rezultaty, budzi bowiem uczucie wdzięczności, które przechodzi i na dzieci; a wiadomo, że wychowanie bez miłości, przywiązania, nigdy dobrych rezultatów przynieść nie może.

Dalej koniecznem jest, aby matka i guwernantka zgodziły się na jeden cel i metodę wychowania i nauczania, aby nie wyniknęły sprzeczności, niezgodności, które tak zły mają wpływ na dzieci. Jeżeli nieporozumienie matki i guwernantki dzieje się przed oczyma dziecka, to zwykle jedna z nich—matka lub guwernantka—traci coś w oczach dziecka; niejednokrotnie przy takim sporze niszczy się to, na zbudowanie czego potrzeba było długiej pracy i starań.

Im więcej osób przyjmuje udział w wychowaniu, tem częściej takie sprzeczności zdarzyć się mogą, tem mniejsza pewność dobrego rezultatu; jeżeli już nie może być mniej wychowawców i nauczycieli, to należy się przynajmniej starać o jedność, a w każdym razie unikać, aby te starcia się metod i celów nie odbywały się w obecności wychowywanego.

Wiele matek sądzi, że płynna konwersacya w obcym języku, bijące w oczy postępy w malarstwie, wprawna gra na fortepianie i t. p. są ozdo-

bą dziecka, stanowią ostateczny cel i wyraz dobrego wychowywania i nauczania. Jest to błąd. Tutaj nadmienię tylko, że domowa nauka przez guwernantki, prywatnych nauczycieli, zarówno jak i ich wpływ na dziecko, niezawsze są tak szacowne, jak to wogóle mniemają: częściej daleko jako skutek otrzymujemy powierzchowność w wykształceniu, zarozumiałość, chęć popisu, jednostronność. Smutnem jest, że rodzina zapomocą domowych nauczycieli, guwernantek, daje dzieciom wiele bezpożytecznych wiadomości, a mało rzeczywistego wykształcenia. Instytucya guwernantek ma mianowicie jedną wadę: zamało kształci charakter, zamało daje ludzi silnych moralnie.

XXII. Samodzielność i silna wola.

Są ludzie, którzy, posiadając pod wielu względami dużo zalet, jednej rzeczy nie mają, mianowicie samodzielności, co im nie pozwala stanąć na tej wysokości, jaka odpowiada zaletom ich umysłu.

Człowiek samodzielny ma świadomość swych sił i celu, zarówno jak i niezbędnych, pewnych dróg, które do niego prowadzą; nie troszcząc się o opinie i sądy świata, śmiało kroczy ku niemu, nie zbacząc ani na skutek próśb i przedstawień,

ani ostrzeżeń i grózb, idzie naprzód, naprzekór przyjętym ogólnie zwyczajom, pomijając konwenanse, tradycye. Podkład moralny, który mu dała natura i rozwinęli rodzice, podtrzymuje go w walce z przeciwnościami w drodze do celu.

Liczba ludzi bez woli i wyrobionej samodzielności jest bardzo wielka; takich, którzy, nawet w stosownym wieku będąc, nie wiedzą, co im czyścić należy, albo takich, którzy, wiedząc, nie mogą się zdobyć na wprowadzenie w czyn swych myśli, muszą być prowadzeni przez innych—spotykamy na świecie dużo. Są to ludzie, którzy z braku woli, odwagi cywilnej, popadają, często nieświadomie, w służalczość, dając się powodować byle komu poruszając się każdym wiatrem, jak chorągiewka na dachu.

Mogą być uczeni, pracowici, uczciwi; nie będą jednak nigdy mieli większej wartości moralnej, na ich uczciwości tylko względnie polegać można, ponieważ nie wiadomo, czy z przyczyny braku samodzielności, odwagi cywilnej, nie pójdą tam, gdzie ich uczciwość zająłaby im nie pozwoliła, gdyby była połączona z silną wolą. Samodzielność, zyskana przez głęboką naukę, jeżeli nie płynie z głębi ducha, nie przejawia się wogóle w postępkach człowieka, nie posiada wartości życiowej, wartości moralnej: jego samodzielność jest sztuczna, jest konsekwencyą pewnych zdobytych prawd

naukowych, które kierują myślami człowieka w sprawach nauki; charakter przytem może być bardzo słaby, w rzeczach nietyczących się kwestyj naukowych może podlegać najbliższemu nawet wpływom.

Jest to ogólny błąd tysięcy matek i wychowawczyń, że nie zostawiają dzieciom dość swobody w postępowaniu, podcinają im skrzydła woli systematycznie, gdzie i jak tylko mogą, wskutek tego tłumią ich samodzielność. Taka operacya poczyną się zwykle od lat najmłodszych: wodzą dziecko na pasku i nie odejmują go nawet wówczas, kiedy dziecko zmienia się w człowieka, powinno polegać tylko na swoich własnych siłach, działać i myśleć bez obcej pomocy.

Są narody, które wiedzą, co im czynić należy, aby iść coraz wyżej; ich współobywatele dumni są, że należą do nich; są niezależni, samodzielni, zarówno w naukach jak i sztukach, w handlu jak przemyśle, w rzemiosłach i rolnictwie, w kwestyi obyczajów i mody, wszędzie przewodniczą innym, wysuwając się naprzód.

Są zato inne narody, które biorą prawie wszystko od obcych, widząc w tych rzeczach większą wartość i znaczenie, niżeli w wykonanych, przeprowadzonych przez siebie. Każdy łatwo zgadnie, że tylko pierwsze, składające się z jednostek samodzielnych, obdarzonych wolą, mają przyszłość

przed sobą, potrafią wyjść zwycięzko w trudnej walce z ludźmi i naturą.

Człowiek bez samodzielności podobnym jest do tresowanego zwierzęcia: postępuje, trzymając się ściśle dróg, przepisanych przez innych, ciągle ogląda się na wolę tych, podług których kieruje swoje kroki. Rzecz prosta, że taki człowiek nie może przyczynić się do pchnięcia naprzód społeczeństwa, do którego należy, do przysporzenia nowych dóbr, nowych źródeł szczęścia.

Narody samodzielne odznaczają się małą produkcyjnością; znajdują się w zależności od innych; naśladują, zamiast tworzyć; przejmują rzeczy, niewyrośłe na ich gruncie, niezupełnie przystosowane do ich indywidualności narodowej, — stoją zatem na niższym stopniu kultury, aniżeli narody, które są dla nich wzorem.

Jeżeli matki starają się ciągle sprowadzać dziecko na pewną jakąś wązką, oznaczoną drogę, nakazują im myśleć, robić, czuć w sposób ich naturze niewłaściwy, zabijając indywidualność, tłumią zarazem i samodzielność, ponieważ ta objawić się może jedynie wówczas, kiedy człowiek postępuje w zgodzie z właściwościami swego charakteru i umysłu. Narzucone rzeczy zawsze są sztuczne — bądź odpadają po pewnym czasie, bądź robią z człowieka manekina, zależnie od tego, czy siła chara-

kteru mocniejszą jest od woli narzucającej, czy też słabszą.

Jak wiele matek postępuje wprost przeciwnie, zamieniając dziecko od najmłodszych lat w lalkę nakręcaną, automat, niemający ani swojej woli, ani swoich własnych pomysłów, które zostają systematycznie karcone, zamiast tego, aby były regulowane, objaśniane, poprawiane,—ani też chęci do wprowadzania ich w życie, ponieważ ta została w niem stłumioną obawą kary lub zasłużenia na nazwę „niegrzecznego“ i t. p.

Dziecko powinno rosnąć swobodnie, jak drzewo. Należy się starać, aby grunt był zdrowy i pożywny, powietrze czyste, aby było dużo słońca i ciepła. Jeżeli matka odejmuje mu, zabrania to, czego jego charakter i natura wymagają, jeżeli obcina wszystkie młode, zdrowe pędy, dlatego jedynie, że wyrobiła sobie inny ideał, którego jej dziecko ma być wcieleniem, to ostatecznie otrzyma w rezultacie bojaźliwą, ostrzyżoną, karłowatą roślinkę, zamiast wymarzonego ideału. Bo o ile można tłumić pewne strony charakteru i umysłu, o tyle nie można stworzyć w dziecku takich zdolności, których ono nie ma, które nie tkwią w organizacyi: jeżeli ktoś nie ma muzycznego ucha, lub poczucia barw, z tego żadna, choćby najsystematyczniejsza, najlepsza nauka nie zrobi ani człowieka muzycznego, ani malarza

Jeżeli zatem będziemy systematycznie stłumiać samodzielne pędy, a natomiast innych rozwinąć nie możemy, to cóż się zostanie? Potworek, manekin, człowiek, niezdolny ani sam być szczęśliwym, bo nie głębiej odczuć nie może, ani tembardziej uszczęśliwić innych.

Teraźniejszość i przyszłość potrzebuje charakterów, mężów i kobiet, którzy potrafią samodzielnie czynić i myśleć, iść mimo wszystko za tem, co im doradza ich umysł i serce; potrzebuje ojców i matek, którzyby potrafili w taki sam sposób wychować swe potomstwo, dać społeczeństwu tegich duchowo i fizycznie ludzi, którzyby na barkach swoich poprowadzili społeczeństwo ku lepszej przyszłości.

Dlatego też należy rozwijać wolę i samodzielność, bo od tego zależy zdrowie i przyszłość każdego narodu.

XXIII. Zewnętrzne pozory.

Praca i odpoczynek, jedzenie, spanie i wiele innych rzeczy są koniecznościami, od których wywinać się bardzo trudno. Dla ludzi wykształconych, rozwiniętych, praca, porządek, moralność, obowiązek, humanitarność, nie są to rzeczy przykrej konieczności, ale są potrzebą, stanowią źródło przyjemności, która zjawia się wówczas, kiedy się tym

potrzebom zadość czyni. Dla człowieka zmysłowego przyjemności życia są jedynym celem, do którego on dąży,—podczas gdy dla człowieka rozwiniętego, cywilizacyjnie wyższego, stanowią one tylko środek rozerwania się, odpoczynku po pracy. Człowiek wyżej rozwinięty w żaden sposób nie zgodziłby się prowadzić życia w ciągłej beczynności, pełnej przyjemnostek, bo te wkrótceby mu się znudziły, ponieważ nie stanowią jego naturalnych potrzeb, są tylko dodatkiem, a nie treścią jego życia; praca, jest moralnym, humanitarnym, bo takie są wymagania jego organizmu, częścią otrzymane przez dziedziczność, częścią nabyte przez wychowanie, lub spotęgowane w czasie samego życia.

Istnieje wiele rzeczy, które nie są niezbędne, nie stanowią konieczności, jednak dają pewną przyjemność, ponieważ wskutek przyzwyczajenia, wynikłego z powodu częstego powtarzania, stały się potrzebą, drugą naturą. Mam tu na myśli takie rzeczy, jak przepisy konwenansu, dobry ton, dobre maniery i t. p.

Mamy bardzo wielu takich ludzi, którzy, ogromnie podnosząc znaczenie kształcenia rozumu i uczucia, zupełnie są obojętni na wyrobienie dobrych manier, umiejętności estetycznego obejścia się z ludźmi w życiu towarzyskiem, wprost nazywają te rzeczy głupstwami, które tylko potępić należy; są znowu tacy, którzy wpadają w drugą

ostateczność—zaniedbują zupełnie rozwój władz duchowych, najpilniejszą uwagę zwracając na dobry ton i maniery. Obydwie kategorie ludzi można nazwać jednostronnemi, pomimo tego, że ich przedstawiciele będą bardzo uczeni lub też ogromnie ogładzeni i przyjemni w towarzystwie: wykształconymi jednak ani jednych ani drugich nazwać nie można.

Trzeba przyznać, że ta zewnętrzna strona nie stanowi jednego z głównych celów wychowania; ale i to przyznać należy, że niema powodu zupełnie ją pomijać: formy życia towarzyskiego, sposoby postępowania z ludźmi są owocem długiego cywilizacyjnego rozwoju, nie trzeba na nie patrzeć jako na wymysł ludzi, niemających nic lepszego do roboty, ale jako na sposoby najlepszego, najestetyczniejszego obcowania towarzyskiego, które zostały wyrobione przez długi szereg pokoleń, wypróbowane, które przeszły przez ogień krytyki bardzo wielu ludzi. Zresztą ogromna większość z nich tkwi już w naszym organizmie, odziedziczona od przodków, i trzeba tylko pozwolić im się odpowiednio rozwinąć. Niektóre z nich, po bliższem przyjrzeniu, znajdują swą rację bądź w przepisach higieny, bądź w przepisach moralności; ogromna ich część opartą jest na właściwościach uczuć ludzkich.

Tak np. czystość i porządek około siebie bywają przez wiele matek dość lekko i powierzchownie uwzględniane. Dziecko słyszy bardzo wiele o przestrzeganiu czystości i porządku; często widzi, jak w domu sprzątaję, szorują, czyszczą; tymczasem jego paznogie, skóra, włosy, uszy, ubranie, następnie książki i kajety bardzo jasno dowodzą, że w domu pod tym względem panuje karygodne zaniedbanie. My znani jesteśmy z nieładu, który bardzo często objawia się w życiu codziennem pod postacią zwykłego nieporządku, brudu zarówno w otoczeniu, sprzętach domowych, jak i około siebie.

Tymczasem czystość jest nietylko jednym z głównych wymagań higieny, ale i stanowi źródło przyjemności, estetycznych zadowoleń, dodatnio wpływa na uszlachetnienie duchowe. Tam, gdzie człowiek ręki swej jeszcze przyłożyć nie zdołał, w dziewiczej naturze, wszystko jest świeże i czyste. Dopiero pył z ulic, sadze z kominów, niebaczne porzucanie wśród mieszkań ludzkich różnych odpadków i nieczystości, wreszcie niehygieniczne warunki życia całych mas ludzi stwarzają to, co brudem nazywamy. Ktoś powiedział, że stopień cywilizacyi danego kraju można wymierzyć ilością mydła, którą mieszkańcy zużywają—i miał wielką rację. Czystość i porządek jest to naturalny, normalny stan każdej żyjącej istoty; brud jest chorobą. Dlatego też należy wdrażać w nie czło-

wieka od najpierwszych lat, przyzwyczajając go do zwracania na to uwagi. Czystość nie powinna być uważaną jako przywilej pewnej sfery, ani nie powinna być przywiązywaną do wieku lub rodzaju zajęcia: każda sfera, wiek, rodzaj zajęcia, może utrzymać porządek w granicach sobie właściwych, zachować czystość, pomimo wszystko. Rzecz prosta, że czystość kowala nie może polegać na tem, aby miał ręce tak czyste, jak np. adwokat lub doktor,—ale można wymagać, aby choć dwa lub trzy razy dziennie obmywał twarz i ręce z potu, który, mieszając się z kurzem oraz innemi substancjami, tworzy na skórze warstwę błota, bogatego w substancje organiczne, w którem może się rozwijać cały szereg bakterij gnilnych, mogą odbywać się różne procesy chemiczne anormalne, które w żaden sposób na stan skóry, zdrowie ogólne, w dodatni sposób wpłynąć nie mogą. Trzeba pamiętać, trzeba to dobrze pojąć, że przestrzega się czystości nie dla innych, ale przedewszystkiem dla siebie, dla własnego dobra. Tymczasem jest masa takich ludzi, którzy myją się, ubierają tylko wówczas, kiedy się mają ludziom pokazać; w domu zaś, kiedy ich nikt nie widzi, chodzą brudni i zaniedbani. Inni znowu kontentują się tylko powierzchowną czystością, mianowicie miejsc i części ubrania widocznych, podczas gdy czystość bielizny, ciała, nóg, pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Otóż to przyuczenie pielęgnowania czystości dla czystości stanowi także jedno z zadań wychowania: należy uczyć tego od dzieciństwa, strzedz od powierzchowności i blagi pod tym względem.

Kwestya dobrego zachowywania się w towarzystwie i przy stole zyskuje coraz to bardziej, głównie przez naśladownictwo i wskutek częstszego i łatwiejszego mieszania się, stykania się z sobą różnych warstw społecznych: mianowicie cywilizacyjnie wyższe oddziałują na niższe.

Im bardziej podnosi się stopień kultury, tem bardziej krzywo patrzą na osobistości, nieumiejące się odpowiednio zachować przy stole i w towarzystwie, które wykraczają w tych wypadkach przeciwko dobremu smakowi i przyzwoitości. Śmieją się u nas z Anglików i z ich pedantycznego zachowania się przy jedzeniu i piciu; trzeba jednak przyznać, że Anglicy przewyższają wszystkie inne narody, nawet Francuzów, co się tyczy używania przyrządów do jedzenia, sposobu jedzenia, odpowiedniego urządzenia stołu, zarówno jak i pod względem spokoju i dobrego zachowania się. Każdy, kto częściej bywał za granicą i miał sposobność obserwować zachowanie się przy stole różnych narodowości, przyszedł do przekonania, że nie wszystkie stoją pod tym względem na równym poziomie,—że jest różnica, czy się siedzi przy ogólnym stole z Anglikami, Francuzami, czy też

Niemcami,—że, na ogół wzięwszy, jedzenie z pierwszymi jest daleko przyjemniejsze, estetyczniejsze, aniżeli z ostatnimi, którzy wogóle przy stole są nieznośni, bo nieestetyczni.

Toż samo można powiedzieć o zachowaniu się na koncertach, w teatrze, na ulicy: grube, niezręczne postępowanie może sprawić wiele przykrości, podczas gdy trzymanie się w zwykłych normach towarzyskiego postępowania, to jest uszanowanie, uwzględnianie wygody, gustów reszty towarzystwa, niewystawianie swoich na pierwszy plan, a trzymanie się w granicach równości, równouprawnienia, nie robi nieporządków, które odwracają uwagę samych działających i reszty towarzystwa od rzeczy głównych, dla których się właśnie zebrano. Z wyjątkiem jakichś ważnych okoliczności, w których z kwestyą dobrych manier i t. p. liczyć się nie trzeba, w zwykłych wypadkach, jeżeli nie chcemy lub nie możemy przystosować się do wymagań danego towarzystwa, najlepiej nie chodzić do niego, a nie narzucać mu lub zmuszać do znośnienia, nie wiadomo dlaczego, rzeczy, które mu przykrość sprawiają, nie przynosząc nikomu żadnego pożytku.

Dlatego też należy starać się wyrabiać w dzieciach umiejętność życia towarzyskiego, dobre maniere, bacząc przytem, aby nie wpadać w ostateczność, nie robić z tych przepisów jakichś praw

niewzruszonych, od których odstąpić pod żadnym pozorem nie wolno,—ponieważ wówczas zrobimy z dziecka manekina, niewolnika konwenansu, przysłuszmy indywidualność i wolę, zrobimy z niego osobnika, który nie będzie miał odwagi pominąć tych przepisów w wypadkach, kiedy tego będzie potrzeba, który dla względów towarzyskich zbędzie milczeniem rzeczy, o którychby otwarcie mówić należało,—nie robi tego, co mu każe obowiązek, sumienie i ogólne dobro.

Dając dziecku t. z. dobre wychowanie, dajemy mu zarazem niejako kartę wstępu do najróżniejszych towarzystw, rozszerzamy świat, w którym żyć będzie, sferę jego działalności, pozwalając mu jednocześnie swobodniej pracować, ponieważ siły jego i uwaga nie tracą się na przewycięzanie, na walczenie z temi właśnie formami towarzyskiego życia, które zresztą, wogóle wzięwszy, nie są tak ważne, aby im wiele sił umysłowych i uczuciowych poświęcać było warto.

XXIV. Języki obce.

Ani szkoła, ani życie nie daje ogromnej większości inteligentnych ludzi sposobności nabycia znajomości języków obcych. Narody wskutek szer-

szego życia zbliżają się do siebie coraz bardziej, języki upowszechniają, umiędzynaradawiają się, wskutek tego dla wielu ludzi znajomość języków obcych jest nie tylko przyjemnością, ale i potrzebą.

Dopóki niema jeszcze ogólnie przyjętego języka powszechnego—volapük jest tylko próbą niezbyt szczęśliwą, — dopóty musimy posługiwać się jednym z języków współczesnych. Przed paru dziesiątkami lat językiem takim był francuzki—uczono się go powszechnie, zaczynając od dzieciństwa. Dziś kwestya się zmieniła; języki wogóle zyskują na samodzielności, natomiast miejsce francuzkiego zajmuje angielski—i dziś w domach zamożniejszych zamiast bon Francuzek widzimy Angielki.

Są matki, które przeceniają naukę języków obcych; są i takie, które zbyt mało na to zwracają uwagi.

Znałem ludzi, którzy władali nie tylko ważniejszymi językami, jak angielski, francuzki, niemiecki, włoski, ale znali i hiszpański, portugalski, szwedzki, nowogrecki i wiele innych. Ludzie tacy budzą podziw. Jednakże nie można powiedzieć, aby taka wielojęzyczność, która swoją drogą jest wyrazem specjalnych lingwistycznych zdolności, stawiała tych ludzi zbyt wysoko ani co do stanowiska społecznego, ani pod względem pieniężnym: nie stali oni wcale wyżej od ludzi, którzy znali dobrze tylko najważniejsze, najwięcej używane języki

euuropejskie, mianowicie angielski, francuzki i niemiecki. Jest to prawie że regułą, że taka wielojęzyczność idzie zwykle w parze ze słabym rozwojem innych władz duchowych, a dużym rozwojem pamięci. Dlatego też posiadanie możliwie wielkiej ilości języków nie może być celem żadnego racjonalnego wychowania.

Oprócz bezpośrednich korzyści, nauka języków przyczynia się do rozwoju władz umysłowych, wpływa na lepszą znajomość języka rodzinnego, pozwalając porównawczo poznać jego indywidualności, zapoznać się z różnymi sposobami wyrażania jednej i tej samej myśli, a w ten sposób lepiej zrozumieć ducha swego własnego języka.

Najlepszem w tym względzie jest uczyć dzieci dwóch języków: jednego germańskiego, więc angielskiego lub niemieckiego, — drugiego romańskiego, więc francuzkiego lub włoskiego. Najlepszą kombinacją dla nas jest angielski i francuzki. Jeżeli dziecko pozna zasady gramatyczne, nauczy się władać temi językami, wówczas łatwo mu już przyjdzie w starszym wieku nabyć innych języków, jeżeli tego zajdzie potrzeba. Rzecz prosta, że byłoby nierozumnem uczyć dziecko dwóch języków pokrewnych, np. francuzkiego i włoskiego.

Nauczenie dzieci języków jest to danie im w rękę wielu środków pomocy w przyszłym życiu. Wiadomo, że nauka języków w późniejszym wieku

przychodzi ciężko — tem ciężej, im później. Wiek dziecięcy bardzo się do tego nadaje: w tym wieku pamięć, naśladownictwo, wogóle te niższe władze duchowe, są więcej rozwinięte, panują ponad innymi, wyższymi władzami rozumu — i dlatego nauka języków przychodzi łatwiej.

W domach mniej zamożnych, które nie mogą trzymać jednocześnie służącą do dzieci i guwernantkę, można przyjąć bonę Francuzkę, która połączy w jednej osobie obie funkcyje. Bony Angielki są u nas znacznie rzadsze, a co gorsza — znacznie droższe; dlatego też lepiej wziąć nauczycielkę. Bony Niemki są, rozumie się, najpospolitsze i najtańsze.

Kształcąc dzieci w językach obcych, nie trzeba zapominać i o języku rodzinnym. Najlepiej przyzwyczajać dziecko, aby z rodzicami rozmawiało po polsku, a z boną w odpowiednim języku.

XXV. Humanitarność.

Nie było jeszcze okresu, w którymby ludzkość w dążeniach swych była tak humanitarną, jak w dobie dzisiejszej. Jest to argument, który możnaby położyć jako przeciwwagę dla wszystkich wyrzekających na złe skutki, jakie nam z sobą cywilizacya przynosi. Serce rośnie, kiedy się sły-
szy, jak ludzie chętnie sięgają do kieszeni, kiedy się zdarzy jakie nieszczęście, gdzie naraz zostaje dużo biednych wdów i sierot: każda powódź, pożar, wypadek na kolei i t. p. pobudzają masową ofiar-
ność. Wzrastają masy instytucyj, zakładów, ma-
jących na celu pomódz nieszczęśliwej i cierpiącej ludzkości; obok tego masa umysłów, często z po-
święceniem życia lub swobody, myśli i pracuje, aby wydobyć z nędzy i upadku całe warstwy ludzi, których tam zepchnęły warunki współczesne i hi-
storyczne.

Są jednak dwa gatunki miłości ludzi: w je-
dnym wypadku kocha się ludzi dla nich samych, w drugim dla siebie; pierwszy nosi na sobie piętno wyższego rozwoju uczucia i umysłu, jest oznaką wyższości społecznej i kulturalnej.— na drugi zdo-
będą się i zdobywają nawet zwierzęta. Weźmy przykład trochę jaskrawy. Dajmy na to, widzimy dziecko nędzne, oberwane. Jedni, ujęci litością, do łez wzruszeni jego nędzą, biorą je do domu, dają

nowe, kosztowne sukienki, karmią cukierkami, ciastkami—i skoro zobaczą uśmiech zadowolenia na zwiędłych ustach, radują się, odsyłają dziecko do rodziców, zadowoleni, że spełnili dobry uczynek, że przykryli nędzę. Ale właściwie nic więcej nie zrobili, jak tylko „przykryli“ nędzę nowymi sukienkami, zasłonili ją, bo ona im przykrość sprawiała, bo nie mogli na nią patrzeć, bo nie pozwalała im pograć się w spokojnem używaniu własnych dóbr, bo była tonem, psującym harmonię ich życia. Tacy ludzie zapominają zupełnie o całym szeregu warunków, które wywołały nędzę tego dziecka; zapomnieli, że ono na drugi dzień będzie jeszcze nieszczęśliwsze, odczuwszy zwykły głód codzienny, że piękne sukienki zostaną wkrótce sprzedane, dziecko znowu w łachmanach chodzić będzie, mając we wspomnieniu obraz innego życia, który spotęguje tylko przykrość obecnej jego egzystencji. Tymczasem inni będą na to dziecko patrzeć zupełnie innem okiem: jego wygląd nie pobudzi ich do jakiegoś chwilowego wybryku czułości, pod wpływem którego, przynosząc sobie zadowolenie, robi się krzywdę obdarowywanemu, dając mu mocniej odczuć jego biedę. Ci dadzą dziecku zwykły kawałek chleba, jadła, do którego ono jest przyzwyczajone; zato postarają się poprawić los jego gruntowniej, zajrzą do jego rodziny, postarają się dźwignąć ją z nędzy i w ten sposób

poprawić los dziecku, które spotkali na drodze. Tamtych nędza drażni, budzi jakieś wyrzuty sumienia, — chcieliby oni w jakikolwiek sposób usunąć ją z oczu. Tych, przeciwnie, nędza nie straszy: mogą na nią patrzeć; budzi ona w nich litość, ale mniej egoistyczną, więcej uwzględniającą szczęście cudze; skłania ich do czynu miłosierdzia, ale nie dorywczego, lecz sięgającego głębiej, do przyczyn samej rzeczy. Tamci nie widzą przed sobą nic, oprócz tego biednego dziecka. Ci widzą rodzinę, która je wydała; widzą więcej — widzą tysiące rodzin, które są w tem samem położeniu; wiedzą, że ubranie jednego dziecka, ani nawet pomoc jednej rodzinie, kwestyi nie rozstrzyga. Ich uczucie litości obejmuje masy, uczucie tkwi głębiej, wiąże się z całokształtem ich myśli i dążeń, wytwarza cele, dla których i życie poświęcić można. Niema kwestyi, że jednorazowe zasłonięcie nędzy, okrycie rany plasterkiem, chociażby pod spodem gangrena toczyła ciało, jest i łatwiejsze i dostarcza więcej chwilowego zadowolenia, — ale o tyle też jest i bezpłodniejszem, o tyle mniej świadczy o uczuciowym i umysłowym rozwoju filantropa.

Zatem, chcąc rozwinać w dziecku uczucie litości, współczucie dla bliźnich, chcąc wszczepić w serce zasady humanitarności, należy odrazu siać ziarno głębiej; trzeba przestrzegać, aby dawanie jałmużny ubogiemu nie było jakimś nałogiem

przyzwyczajeniem, jakąś czynnością bez myśli, która się robi, ponieważ taki jest zwyczaj, albo tak kazano; przeciwnie, zostawić trzeba dziecku pod tym względem swobodę — niechaj ofiaruje dane mu na ten cel pieniądze kiedy i komu się mu podobą, niech ta ofiara przyjdzie samoistnie, niech wypłynie z jego dziecińczych pojęć o ubóstwie, ze szczerego współczucia. Zwykle matka mówi: „Masz, Maniu, daj dziadkowi grosz“ — i Mania bierze i niesie tak samo, jakby zaniósła ten grosz do skarbondki, której przeznaczenia ani celu nie rozumie, jak spełniłaby każdy inny rozkaz matki. Często taka Mania wprost boi się owego dziadka, któremu ma dać jałmużnę; częściej jednak jest tylko zaciekawiona, kontenta, że spełnia jakąś nową czynność, poleconą jej przez starszych. Tymczasem, jeżeli dziecko samo, z własnego impulsu, da jałmużnę, to znaczy, że musiało ono naprzód pomyśleć, odczuć — musiało się zjawić uczucie litości, które zwyciężyło i obawę do obdartego dziada i inne względy: wówczas dziecko daje, bo czuje, że dać potrzeba; wie zarazem, dlaczego potrzeba; w przeciwnym razie jałmużna jest bezmyślnem powtarzaniem, które przechodzi w zwyczaj, staje się pobieżnem, pogardliwym opędzaniem się od nędzy zapomocą kilkunastu groszy tygodniowo, danych pierwszemu lepszemu, kto się na drodze nawinie. Tacy sądzą, że te kilka groszy uwalnia ich już zupełnie od myślenia o nę-

dzy na świecie, że pozwala im spokojnie używać często wcale niezasłużonych dóbr tego świata.

Takie miłosierdzie, głęboko odczute, poparte znajomością ogólnych spraw życiowych, znajomością praw, rządzących społeczeństwami i życiem ludzkim, nazywamy humanitarnością; więc jako takie może się zjawić tylko jako rezultat pewnego rozwoju umysłu, wymaga zasobu inteligencji. Dlatego też, starając się o rozbudzenie głębszego uczucia litości, należy zarazem kształcić umysł, oraz zaznajamiać dziecko, o ile to jest możliwem, z biedą i nędzą, jaka wkoło niego się znajduje; nie należy mu jej ukrywać, trzeba ją tylko odpowiednio pokazać i odpowiednio objaśnić,—wybrać takie wypadki, które jego dziecinny umysł pojąć i odczuć może. Niech nie sądzi, że wszystko na świecie jest tylko piękne i przyjemne; niech pozna i odwrotną stronę życia, niech się do jej widoku przyzwyczai, niech ją zna, a wówczas inaczej na ludzi patrzeć będzie,—nie zamknie oczu i nie odwróci się wobec łachmanów i brudu, rzucając grosz odczepnego, ale zbliży się bez wstrętu, ze współczuciem i pomódz starać się będzie.

XXVI. Wzajemne stosunki szkoły i rodziny.

Rodzina i szkoła z biegiem czasu odsuwają się coraz bardziej od siebie: nici, łączące te dwa miej-

sca wychowania, rwą się jedna po drugiej; obecnie mało kto zwraca na to uwagę, że w wielu rzeczach rodzina może współdziałać, pomagać szkole.

Nie mam zamiaru wykazywać, co wogóle ma czynić rodzina, aby pomódz szkole; chciałbym tylko zaznaczyć, co w tym kierunku matka zrobić może.

Wskutek całego szeregu przyczyn nauczanie powoli przeniosło się z domu do szkoły; jednocześnie zaś coraz bardziej utrwalalo się przekonanie, że szkoła może zastąpić wszystko, daje nietylko pewien zasób wiadomości, ale i rozwija dziecko w kierunku umysłowym i uczuciowym.

Tymczasem wychowanie w ściślejszem znaczeniu, jak to już poprzednio było powiedziane, należy właściwie do rodziny; szkoła wzięła tylko część obowiązków, bynajmniej jednak nie wszystkie; czasami może ona wpłynąć na urobienie uczuciowej strony dziecka, ale to nie leży w jej zadaniu, może się tylko odbywać trafem, dorywczo.

Obok tego rodzina może pomagać szkole i w osiągnięciu jej właściwych celów, mianowicie co się tyczy rozwoju umysłowego oraz zaopatrzenia dziecka w odpowiednią ilość wiadomości naukowych.

Zwykle rodzina raz lub kilka razy, w szczęśliwszych wypadkach co miesiąc, otrzymuje ze szkoły wiadomości co do postępów i sprawowania się swoich dzieci; jeżeli wiadomości są dobre,

wówczas nauczanie w dalszym ciągu w zupełności pozostawiają szkole, płacą za wpis, co najwyżej złożą podziękowanie temu lub owemu nauczycielowi i żyją w dalszym ciągu w tem przekonaniu, że wszystko jest w porządku. W ten sposób istnieje zupełny rozdział między szkołą a domem.

Skutki takiego nienaturalnego stosunku nie mogą być dobre. Nauczyciel zbyt mało zna dziecko, zarówno z jego dobrych jak i złych stron; odwrotnie rodzice nie wiedzą wcale o metodzie wykładu nauczycieli, o zakresie wiadomości, których mu oni udzielają, słowem nie idą za umysłowym rozwojem swojego dziecka. Niema żadnego wewnętrznego, organicznego związku między domem a szkołą, między wpływem jednego i drugiej. Nauczyciel dostrzega w dziecku pewne wady, pewne błędy—karze je, uważa je za z gruntu zepsute; tymczasem dziecko może być w gruncie bardzo dobre, tylko powierzchownie zepsute przez złe wpływ lub warunki życia w domu, którego nauczyciel nie zna, więc też i samego faktu dokładnie osądzić nie może. Czasami dziecko nie umie lekcyi i otrzymuje karę. Tymczasem, gdyby nauczyciel znał stosunki domowe, wówczas wiedziałby, że w bardzo wielu wypadkach dziecko nie nauczyło się lekcyi nie przez lenistwo, ale wprost z przyczyny rodziców lub stosunków domowych, które mu w tem przeszkodziły. Rzecz prosta, że w ten

sposób nauczyciel może popełnić wiele fałszywych kroków, niesprawiedliwości, zrazić dziecko i do siebie i do nauki, wywołać w niem uczucia, które młodocianą duszę wypaczyć mogą.

Odwrotnie rodzina, nie znając ani nauczyciela, ani metody wykładu, ani wiadomości, które on dziecku daje, może wpadać w kolizye, w sprzeczności z tem, co dziecko ze szkoły przynosi, osłabiając bądź swoją własną powagę, bądź powagę nauczyciela. Często, sądząc tylko z opowiadań dziecka, rodzice uważają danego nauczyciela za uosobienie surowości, posądzają go o chęć prześladowania ich dziecka, o pastwienie się nad niem, przeciążanie nauką i t. p., wyrabiając w ten sposób w dziecku niechęć względem szkoły i nauczyciela, z czego także nic dobrego wyjść nie może. Odwrotnie są znowu rodzice zbyt surowi, którzy błędy nauczyciela, lub wogóle metody nauczania, zwalają na dziecko, karzą je, zmuszają do wstrętnej, nieodpowiedniej dla niego roboty; wszystkiego tego by nie było, gdyby rodzice bliżej zechcieli się zapoznać z osobistością samego nauczyciela, z metodą jego wykładu i postępowania z dziećmi.

Kolizye takie odbijają się głównie na tym, o którego tu najwięcej chodzi, mianowicie na dziecku. W końcu nie wie ono, komu wierzyć: rodzicom, czy szkole; kto ma rację, a kto nie; to, co jeden chwali, drugi gani; czasem dobry postępek

dziecka przynosi mu tylko obustronną nagane, podczas gdy podstęp, kłamstwo, lawirowanie między tem, co chcą i mówią nauczyciel i rodzina, przynosi mu znowu obustronne pochwały. W ten sposób z najlepszego dziecka można zrobić kłamcę, oszusta, podstępnego, który przed niczem się nie cofnie, byle się uwolnić od zasłużonej kary. Rozumie się, że wszystkiego tego by nie było, gdyby wogóle istniały bezpośrednie stosunki między rodzicami i nauczycielem, gdyby w domu wiadano dokładnie, co się dzieje w szkole, i odwrotnie.

Rezultaty takiego wychowania objawiają się, niestety, nie zaraz; owoce dojrzewają dopiero po upływie lat paru; są one skryte, szczególnie wówczas, kiedy dziecko dobrze wyuczyło się obłudy, kłamstwa, kręactwa w oszukiwaniu rodziców i nauczycieli; wyprowadza ich w pole i wchodzi w świat jako człowiek zepsuty, niemoralny, zawodzący nadzieje rodziców i nauczycieli co do swej rzeczywistej natury.

Dlatego też dom i rodzina powinny stać ciągle w ścisłym związku ze szkołą. Trzeba dać nauczycielowi sposobność poznania domu i wogóle warunków, w których dziecko poza szkołą żyje; przy tej okoliczności rodzice dowiadują się, kto jest ten nauczyciel, jaką ma metodę uczenia, jak z dziećmi postępuje wogóle i t. p.

Wzajemna wymiana zdań pomoże z jednej strony nauczycielowi w osiągnięciu odpowiednich celów, z drugiej strony rodzice otrzymają odpowiednie wskazówki od nauczyciela co do sposobu postępowania z dziećmi—i w ten sposób w całym biegu wychowania dziecka zapanowyywa pewna jedność, konsekwencya, usuwają się kolizye, sprzeczności, daleko łatwiej i pewniej można osiągnąć cel pożądaný.

Wskutek częstego obcowania domu ze szkołą wiadomości o sprawowaniu się dziecka, jego postępie w naukach, dostają się do rodziców nie za pośrednictwem samego dziecka,—wskutek tego odrazu usuwa się przyczyny, zachęcające dziecko do kłamstwa i oszukiwania.

W ten sposób widzimy, że ścisły związek między domem a szkołą, wzmocniony wzajemną sympatją, wspólnymi idejami i dążeniami między rodzicami a nauczycielem, jest koniecznym warunkiem dobrego nauczania i kształcenia dzieci.

XXVII. Kara i nagroda.

Natura ludzka wcale nie jest wolną od zboczeń i błędów. Dlatego też nikt nie może sądzić innych, nie osądzając zarazem i siebie.

Życie składa się z łańcucha słabości, upadków i podnoszeń się, kłopotów, niedostatków, przypadłości wszelkiego rodzaju: od tego nikt w zupełności uwolnić się nie może.

Zachodzi zatem pytanie: czy wobec tego należy sztucznie jeszcze powiększać sumę nieszczęść? czy należy karać tych, co przekroczyli prawa?

Były czasy, kiedy w prawodawstwach obecnych państw cywilizowanych panowało prawo zemsty: przestępcą otrzymywał za karę taką samą sumę nieszczęścia, jaką innym przysporzył. Jednakże czasy te już minęły, zemstę społeczeństwa nad jednostką zakwalifikowano do czynów barbarzyńskich, opierając się na tem, że w ogromnej większości wypadków samo społeczeństwo i jego ustrój jest właściwą przyczyną popełnionego występku i że wielu jest takich przestępców, których nie karać, ale leczyć trzeba.

Obecnie w wymierzaniu sprawiedliwości kierują się zasadą obrony społeczeństwa wobec szkodliwości postępowania danego osobnika: społeczeństwo ma prawo uczynić go nieszkodliwym dla siebie—i robi to zwykle przez odebranie mu wolności.

Drugą zasadą prawodawstwa karnego jest dążność do poprawienia, umoralnienia przestępcy.

Te humanitarne idee dostały się i do wychowania dzieci, przynosząc z sobą jako rezultat zniesienie lub zaprotestowanie przeciwko karom cielesnym i wogóle wszelkim tym, które mają na celu sprawienie obwinionemu fizycznego bólu i w ten sposób odstraszenie go na przyszłość od dalszych przestępstw.

Mimo to kwestya: czy dzieci karać cielesnie, czy nie—nie została jeszcze rozstrzygniętą. Są tacy, którzy stanowczo przeciw niej powstają; inni znowu twierdzą, że kara cielesna, umiejętnie użyta, stanowi niezły środek wychowawczy, jest ostatnią instancją kary, kiedy inne środki okażą się z jakichkolwiek powodów nieużytecznymi.

Rzeczywiście, są wypadki, w których inaczej, jak zapomocą strachu, z dziećmi postępować nie można: są jeszcze zagłupie, aby im w jakikolwiek sposób można było wytłumaczyć, że dana rzecz jest szkodliwą. Jak tu zatem trafić dziecku do przekonania?

Nie inaczej, jak związując daną zakazaną rzecz z jakimś sztucznie stworzonym bólem fizycznym—karą cielesną, którą ono systematycznie po przekroczeniu zakazu otrzymuje; w ten sposób można tylko osiągnąć cel zamierzony.

Dziecko np. krzyczy, i to bez żadnego powodu lub z najbliższej przyczyny, z przyzwyczajenia, grymasów i t. p. Jak mu tu wytłumaczyć, aby nie krzyczało, kiedy ono nie rozumie jeszcze mowy ludzkiej, nie może zatem pojąć, że takie darcie się najprzód jest niepotrzebne, następnie szkodzi jemu samemu i jest uciążliwe dla otoczenia? Wówczas parę klapsów, danych w odpowiednim czasie, robi swoje: uczucie bólu, związane w umyśle dziecka z krzykiem, osłabi chęć do uprawiania tego oryginalnego dzieciennego sportu.

Przeciwko karze cielesnej powstano, i słusznie, z powodu tego, że była nadużywana, że stosowano ją w takich wypadkach, gdzie mogły być użyte inne środki, więcej moralnej natury. Kara cielesna przemawia głównie do ciała, przyczynia ból cielesny, więc i stosowaną może być tylko w takich wypadkach, kiedy ma się do czynienia z osobnikiem, na którego kary moralne jeszcze albo już nie działają, a sam on mimo to robi takie rzeczy, które stanowczo są szkodliwe, bądź dla niego samego, bądź dla otoczenia. Jeżeli zaś kara cielesna stosowana jest na osobniku, wrażliwym na kary moralne, wówczas bicie poniża, demoralizuje karanego, wskutek traktowania go jak zwierzę bez rozumu i uczucia.

Zarówno kara cielesna, następnie kary tego rodzaju, jak zadawanie robót, zamykanie, pozba-

wianie pewnych przyjemności, tak samo i kary moralne powinny być stosowane najprzód wówczas tylko, kiedy zachodzi rzeczywista potrzeba; następnie należy je wykonywać spokojnie, z miłością, a nie nienawiścią lub złością względem karanego; wreszcie sama kara i jej wykonanie powinny wywołać skutek tylko taki, jaki zamierzamy, t. j. poprawę lub odstraszenie dziecka od przestępstwa, a nie przyniesienie mu szkody na zdrowiu ciała lub ducha.

Jest to nietylko niepedagogiczne, ale wprost barbarzyństwem, jeżeli ojciec lub matka, rozzłości, biją dzieci kijem, rzucają w nie sprzętami, kopią nogą, biją pięściami w twarz lub po głowie. Są wypadki, że wskutek takiego postępowania dzieci stają się kalekami na całe życie, głuchną, idyocieją i t. p. od silnego wstrząśnienia mózgu, spowodowanego uderzeniem w głowę. Rzecz prosta, że z drugiej strony takie karanie nie może nic więcej wywołać, jak szczerą nienawiść względem wyrodných rodziców. Toż samo głodzenie, zamykanie, może źle oddziaływać na organizm dziecka. Często za karę, zwykle za grymasy przy obiedzie, ojciec każe dziecku jeść potrawę, której ono jeść nie chce. Te grymasy dziecięce, niejadanie potraw takich, jak kapusta kwaszona, żądanie natomiast potraw słodszych, łagodniejszych, w ogromnej większości wypadków nie jest

grymasem, lecz potrzebą dziecięcego organizmu, który potraw kwaśnych, ostrych, nie znosi. Ojciec, który pali i używa alkoholu, uważa kwaśną kapustę, barszcz, tłuste mięso za bardzo smaczne, pożywne i t. p. Tak, ale dla niego, lecz nie dla dziecka, które czego innego potrzebuje. Łatwo zrozumieć, że zmuszanie dziecka do jedzenia wstrętnych mu potraw jest barbarzyństwem i ostatecznie wcale na zdrowie i uczucie jego względem ojca dobrze wpłynąć nie może.

Zatem, nim się jakąś karę zada, trzeba się dobrze namyśleć, czy ona nie przyniesie dziecku więcej szkody, niż korzyści. Następnie trzeba zwracać baczną uwagę i na siebie: czy jesteśmy dość spokojni przy karaniu, czy karząc nie idziemy za popędem jakiejś złości, czy nie jesteśmy pod wpływem złego humoru i kara wskutek tego otrzymuje zabarwienie zemsty, ma odcień pastwienia się, dogodzenia jakiejś potrzeby wywarcia na kimś swego gniewu. Bardzo to, niestety, często się zdarza, że dziecko otrzymuje karę tylko wskutek złego humoru matki lub ojca, albo zupełnie za nic, albo za przewinienia, które zasługują tylko na łagodne napomnienie, albo wprost na wytłumaczenie, objaśnienie, dlaczego tego robić nie można.

Dlatego też kara powinna być ściśle stopniowaną, lecz nie względem nastroju rodziców, ale doniosłości przewinienia dziecka. Przytem należy

możliwie zmieniać rodzaje kar, aby one dziecku nie spowszedniały; następnie starać się, aby kara stosowała się do rodzaju przewinienia; np. za jakieś psie figle nie można karać w ten sposób, aby dziecko oddało biednemu koledze pieniądze, przeznaczone na przyjemności — ponieważ w ten sposób te dwie rzeczy, jak komiczna psota i poważny uczynek miłosierny, łączą się razem w jego umyśle, wskutek czego ostatni mimowoli traci, przyjmuje w umyśle dziecka odcień niepożądany. Karę tę stosuje się wówczas, kiedy dziecko zrobiło jakieś wykroczenie przeciwko koleżeńskości — uczynek miłosierny stanowi pewnego rodzaju wynagrodzenie za uczynioną szkodę; wówczas dziecko łatwiej może szczerze odczuć skruchę i łatwiej przejać się odpowiedniem uczuciem, niżeli kiedy z psoty wyrwało drzewko w ogrodzie, lub umalowało farbą ubranie swoje lub swego towarzysza.

Niektórzy rodzice wpadają w drugą ostateczność — nie karzą dzieci wcale, ograniczając się na łagodnych upomnieniach, które często pozostają bez żadnego wpływu; w ten sposób wychowane dzieci, jeżeli nie są w rzeczywiście bardzo dobrymi, stają się kapryśne, wola przechodzi u nich w samowolę, siła woli staje się uporem, duma drażliwą pychą: dziecko rozpuszcza się, robi złośliwe psoty. W zwykłych wypadkach kara go nie mija, z tą tylko różnicą, że wymierzają ją nie ręce rodzi-

cielskie, ale obce, a co gorzej jeszcze—społeczeństwo, za pośrednictwem swych władz wykonawczych.

Rzecz prosta, że dążeniem wszystkich rodziców jest mieć takie dziecko, aby go wcale karcić nie potrzeba było. Dzieci takie jednak rzadko się rodzą i dlatego też każda rzeczywiście kochająca dzieci matka powinna, chociaż z bólem serca, karę wymierzyć, skoro zajdzie tego potrzeba. Mimo to nie ulega wątpliwości, że racjonalne wychowanie, rozumne prowadzenie dziecka, ogromnie mogą zmniejszyć ilość przestępstw dziecinnych. Ileż bywa takich wypadków, że dziecko popełnia przestępstwo wskutek niedozoru ze strony rodziców lub postawienia go w warunkach, bardzo sprzyjających do wykonania rzeczy zakazanych; tymczasem rozumna matka potrafi zapobiedz przestępstwu, usuwając od dziecka te wszystkie czynniki, okoliczności, które je do popełnienia przestępstwa skłonić mogą. Jeżeli wiemy napewno, że dziecko skłamało, to nie pytajmy go raczej wcale.

Wogóle powinno się karać rzadko, ale z powagą. Nie trzeba grozić dzieciom karą, obiecywać im ją i nie spełnić w razie zajścia rzeczywistej potrzeby. Dziecko coś zbroiło. „Jeżeli jeszcze raz coś podobnego zrobisz, dostaniesz różgi, ale już naprawdę“—mówi mu matka. Wkrótce zdarza się coś podobnego i matce wypada wypełnić to, co zapo-

wiedziała. „Czekaj, jak przyjdzie ojciec do domu, to dostaniesz“ — mówi mu, grożąc. Rzeczywiście, ojciec przychodzi, ale późno; matka zapomina mu o wszystkim powiedzieć, lub też nie mówi bądź dlatego, że nie chce mu zrobić przykrości, bądź też obawia się, aby niezbyt srogo ukarał, ponieważ jest w złem usposobieniu. I tak wszystko dziecku uchodzi bezkarnie wskutek słabości matki, wskutek jej egoistycznej miłości względem dziecka — egoistycznej, ponieważ matka wobec przykrości karania ulubieńca cofa się od obowiązku i przez swą miłość nierozumną przynosi tylko szkodę.

Należy karać dzieci zaraz po spełnieniu lub wykryciu przekroczenia. Przytem kara nie powinna być wymierzana przy służbie, ponieważ ta ostatnia niezawsze w odpowiednio poważny sposób potrafi się względem niej odnieść.

Jeszcze jedna uwaga. Są ojcowie i matki, którzy, posiadając kilkoro dzieci, robią między nimi różnice, jak w karach, tak i nagrodach, co wynika z większego przywiązania do jednego z nich. Takie wyróżnianie jednego dziecka kosztem drugiego zradza między nimi niechęć, czasem nienawiść — uczucia najsmutniejsze u ludzi, w których żyłach jedna krew płynie. Przytem taki kopciuszek przestaje kochać nie tylko wyróżnianych braci, ale i nierozsądnych rodziców; dalej, w młodej duszy dziecka rodzi się pewne rozgoryczenie, które, jak

robak, toczy młode serce, wyradzając przedwczesną dojrzałość, oraz szereg wad, jak podejrzliwość, skrytość w postępowaniu z innymi i t. p.

Wogóle, co się tyczy karania lub nagradzania dzieci, trzeba się ściśle rządzić sprawiedliwością, trzeba być konsekwentnym w karaniu i nagradzaniu, dobierać odpowiednie kary i do rodzaju występków i do charakteru dziecka. Wystrzegać się przytem należy, o ile można, aby kara nie była zemstą, aby była wymierzana spokojnie, słowem aby ten duch humanitarności, którym się szczyci koniec dziewiętnastego wieku, panował i w stosunku rodziców do dzieci, w traktowaniu nieumiejących jeszcze mówić przestępców.

XXVIII. Opowiadania.

Kto był tak szczęśliwym, że posiadał matkę, umiejącą dobrze opowiadać, ten pewnie nie zapomni nigdy tych godzin, spędzonych u kolan macierzyńskich, kiedy wzrok śledził z zajęciem za każdym ust poruszeniem, ucho chwytalo w lot słowa czarodziejskiej bajki lub zajmującego opowiadania. Nawet w późnej starości, kiedy opowiadamy też same historye dzieciom lub wnukom, przypominają się chwile z lat dziecinnych, wywołując ze wspo-

nień ubiegłych lat obrazy matki, towarzyszków zabaw, przyjaciół.

Szczęśliwem jest dziecko, którego matka czuje i rozumie, jak wielki wpływ mają na nie takie opowiadania, czem one są dla jego serca i umysłu, jak wiele przynoszą mu chwil rzeczywistego zadowolenia, ile daje mu się materiału do czucia i myślenia!

Nie potrzebuje opisywać, jak się zmienia wyraz twarzy dziecięcia, z jakim zajęciem patrzą szeroko otwarte oczy, kiedy matka, usadowiwszy się wygodnie, zacznie: „Pewnego razu...” Od tej chwili matka, jej usta, stanowią ognisko, do którego zbiegają się wszystkie myśli, wszystkie spojrzenia zebranych dzieci. Śledzą one wszelkie zmiany jej twarzy, gesty, ruchy; płaczą, śmieją się, naśladują ją, w całości zaabsorbowane opowiadaniem. Ledwo skończy, całują ją po rękach, prosząc o „jeszcze jedną bajkę.”

Opowiadanie i umiejętność dobrego opowiadania są to czynniki bardzo wysokiego znaczenia pod względem pedagogicznym. Jakiś pedagog wyrzekł: „Nie nie wart nauczyciel, który opowiadać nie potrafi.” Opowiadanie jest to najpewniejszy sposób zdobycia sobie sympatii u dzieci, zawiązania serdeczniejszych stosunków, zapisania się na zawsze w ich wspomnieniach sympatycznymi głoskami.

Nie potrzeba się uciekać do powoływania się na wielkich ludzi, jak Goethe, Walter-Scott i inni, którzy z wdzięcznością wspominają o swych matkach-bajarkach, którym przypisują duchowy udział w ich twórczości poetyckiej.

Każda matka z własnych wspomnień może się przekonać, jak wielkie wrażenie takie opowiadania na niej samej robiły.

Dlatego też trzeba naprzód zbadać swoje zdolności w tym kierunku, nim się zacznie opowiadać. Daleko lepiej nie mówić, aniżeli dobrą rzecz źle opowiedzieć. Nie chodzi tu tylko o zdolności krasomówcze, ale o umiejętność przystosowania się do pojęć i umysłowości dziecka. Dobre czytanie jest w tym wypadku lepsze, aniżeli złe opowiadanie. Można powiedzieć, że ta matka, która posiada zdolności bajarskie, ma serce dziecka w swoich rękach.

I w życiu towarzyskiem osoba, mająca dar opowiadania, może liczyć na sympatyę i wdzięczność otoczenia; tembardziej tyczy się to dzieci, które na takie rzeczy są daleko wrażliwsze.

Pedagogiczne, dobre opowiadanie może nie tylko ożywić władze umysłowe dziecka, zająć je i uszczęśliwić, ale i jednocześnie stanowi ono doskonały środek kształcenia i nauczania. Wpływ opowiadania na uczucia i popędy dziecka jest tak wielki, że często jeden rok takiego systematycznego opowiadania może wywrzeć wpływ większy

i więcej długotrwały, aniżeli rok sylabizowania, czytania i pisania. Jeżeli dziecka nie można posyłać do szkoły wskutek słabości zdrowia, to opowiadanie systematyczne i dobrze dobrane stanowi bardzo odpowiedni środek do pożytecznego zapełnienia tego czasu, często z wielką korzyścią, jak dla zdrowia fizycznego, tak i umysłowego rozwoju.

Opowiadanie przynosi pożytek jeszcze i w innym kierunku: mianowicie niema lepszego środka przygotowania dziecka do przyszłej szkolnej nauki, jak odpowiednie opowiadanie. Zajmujące opowiadanie przyzwyczajają dziecko do uwagi i zajęcia się przedmiotem — rzeczy niezbędnych przy każdym zbiorowem nauczaniu.

Czerpiąc temat do opowiadań z literatury, historyi, geografii, nauk przyrodzonych, powoli damy dziecku całą masę różnych specjalnych wiadomości, które nabywa łatwo, prawie bezwiednie; fakty te dziecko pamięta lepiej, aniżeli wówczas, gdyby się o nich z suchego szkolnego podręcznika dowiedziało; same wiadomości mają w sobie więcej życia, są więcej, że tak powiem, sympatyczne dla dziecka, bo wyszły z ust matki, związane są z całym szeregiem sympatycznych wspomnień, ponieważ działają nietylko na umysł, ale wywołują szereg uczuć przyjemnych, związanych z treścią opowiadania.

Opowiadanie powiększa zapas słów dziecka, wyrabia wrażliwość na zwroty mowy i wyrażenia, uczy posługiwać się niemi. Te skutki można podwyższyć przez zmuszenie dziecka do powtórzenia usłyszanych historyj: w ten sposób uczymy je zapamiętywać nabytą wiedzę, dając mu materyał do wyrobienia sobie samodzielnego myślenia, sądu, badania, wogóle do rozwijania ogółu swoich władz umysłowych.

Zachodzi teraz pytanie: jakiego rodzaju rzeczy mamy dziecku opowiadać?

Jak wiemy, w kwestyi kształcenia chodzi zawsze o równomierny rozwój zarówno władz umysłowych, jak i woli i uczucia. Dlatego też w pierwszym wypadku trzeba wybierać opowiadania z nauk przyrodzonych. Najlepiej nadającemi się w tym celu są opowiadania z życia zwierząt, podróże i przygody z uwzględnieniem różnych zjawisk natury. Książki podróźnicze, opisy zjawisk natury dostarczają rozumnej matce dostateczną ilość materyału; z równie dobrym skutkiem można użyć tu opowiadań o odkryciach i wynalazkach, wraz z odpowiednim ich opisem. Życiorysy wielkich uczonych, wynalazców, stanowią przejście do drugiej kategorii opowiadań, rozwijających wolę i uczuciowość dziecka. Tu wybór jest daleko łatwiejszy, bo obfitość materyału większa: epizody z życia wielkich ludzi, wypadki historyczne, opowiadania nie-

których wypadków codziennego życia, streszczenia powieści nadają się do rozwinięcia tej strony uczuć, którą zwiemy charakterem, — podczas gdy bajki czarodziejskie, klechdy, podania rozwijają fantazyę i zmysł poetyczny. Rzeczy te trzeba opowiadać równomiernie, nie wpadając w ostateczność ani w jednym, ani w drugim kierunku: źle jest karmić dzieci tylko fantastycznymi, czarodziejskimi opowiadaniem, zarówno jak i opowiadanie samych tylko rzeczy naukowych dobrych rezultatów przynieść nie może; w pierwszym wypadku przyzwyczajamy dziecko do powierzchowności, zdrowe uczucie zamieniamy w czułościowość, sentymentalizm; w drugim wysuszamy umysł dziecka, często zniechęcamy je, ponieważ opowiadania takie po pewnym przeciągu czasu przestają je bawić.

Nie należy także opowiadać tych historyj zbyt dużo; daleko lepiej, jeżeli matka powie, że więcej już nie umie: wówczas dziecko dopomina się o powtórzenie jakiejś starej historyi, która je szczególnie zajęła i utkwiała w pamięci. W ten sposób możemy zarazem poznać gust dziecka, dowiedzieć się, o ile i w jakim kierunku te opowiadania na nie wpływają; w przeciwnym razie wyrabiamy zamiłowanie do nowostek, przyzwyczajamy do powierzchownego traktowania przedmiotu, do patrzenia na opowiadanie jako na środek przyjemnego spędze-

nia czasu, o którem się zapomina z chwilą, kiedy matka opowie coś nowego.

Co się tyczy techniki samego opowiadania, to pod tym względem trzeba się starać o przystępność i zrozumiałość. W tym celu nierzadko trzeba się uciekać do obrazków, rysunków, któreby ułatwiły zrozumienie. Rzecz prosta, że główną rzeczą jest tu wiek i rozwój umysłowy dziecka, do których w każdym wypadku należy się stosować. Unikać trzeba wyrazów mało zrozumiałych, lub zbyt kunsztownych zwrotów. Dziecko zwykle tego nie rozumie, a jeszcze częściej wcale się o to nie pyta, ponieważ pytania sformułować nie potrafi: samo nie wie, co właściwie w tem opowiadaniu jest dla niego niezrozumiałem. Częste używanie zaimków jest wadą wszelkiego wogóle opowiadania; daleko lepiej ponadawać swoim bohaterom jakieś imiona, choćby nawet takie, jak: „piekarz,“ „pasterz,“ byleby one były stale przywiązane do danej osobistości w opowiadaniu.

Dar opowiadania jest, jak już powiedzieliśmy, zdolnością przyrodzoną. Niemniej jednak można ją rozwinać przez odpowiednie kształcenie. Dlatego też matki, które chcą w sobie tę zdolność wykształcić, powinny obserwować, studyować grę aktorów, uczęszczać na odczyty znakomitych prelegentów, albo przysłuchiwać się uważnie osobom, posiadającym dar opowiadania. Najlepszą próbą, czy matka

ma dar opowiadania, są jej własne dzieci; jeżeli te odnoszą się obojętnie, zachowują się spokojnie, zajęcie nie maluje się na ich twarzy, po lub w trakcie opowiadania nie wybuchają śmiechem, nie zarzucają matki pytaniami, wówczas znaczy, że matce brak talentu.

XXIX. Czytanie.

Są matki, które umieją zajmująco i dobrze opowiadać, będąc jednocześnie dobrymi lektorkami. Jednakże nie każda dobra bajarka umie równie dobrze czytać; odwrotnie—dobra lektorka niezawsze równie dobrze opowiada; zwykle jednak oba talenty występują razem: dobra lektorka zarazem umie dobrze opowiadać.

Opowiadanie stoi wyżej niż czytanie; nie idzie jednak za tem, że należy tylko opowiadać, zaniebując czytanie: nie brak wypadków, w których daleko lepiej jest czytać, niż opowiadać.

Opowiadania zastąpić nie można czytaniem w takich wypadkach, w których obok pewnej nauki trzeba dać dziecku rozrywkę, przyjemny odpoczynek dla ciała i ducha. Opowiadamy mu o rzeczach łatwo zrozumiałych, blizkich jego dziecięcemu sercu i umysłowi, które je zajmują, nie mę-

cząc przez wyteżenie uwagi i umysłu. Rzeczy trudne do zrozumienia, wymagające większych wysiłków władz umysłowych, nie kwalifikują się do opowiadania—to trzeba poprzednio dobrze ułożyć, obmyślić, możliwie uprzystępnąć i następnie przeczytać dopiero. Opowiadanie zawsze nosi na sobie pewien gawędziarski charakter, podczas gdy rzecz czytana jest zawsze więcej obrobiona, a co za tem idzie—trudniejsza do zrozumienia.

Wskutek tego czytanie ma w większości wypadków za cel główny nie zabawienie dziecka, lecz nauczanie je czegoś, rozszerzenie sfery jego pojęć, wiadomości, kształcenie uwagi, przyzwyczajenie do szybkiego pojmowania trudniejszych myśli, wypowiedzianych słowami. Czytanie uczy dziecko przede wszystkim umiejętności słuchania rzeczy pożytecznej w szkole, przy nabywaniu wiadomości, a następnie w życiu, przy obcowaniu z ludźmi. Umiejętność słuchania ludzi jest to rzecz równie ważna i równie trudna, jak umiejętność dobrego, zrozumiałego mówienia.

Głośne czytanie cieszy się wśród matek i wychowawców małych dzieci znacznie mniejszą popularnością, znacznie rzadziej jest używane, z powodu, że wymaga głębszego zrozumienia sprawy wychowania, mianowicie dążenia do systematycznego kształcenia umysłu i duszy dziecięcej. Opowiedzieć bajkę, kiedy dzieci proszą, potrafi

bardzo wiele matek; wybrać jakąś odpowiednią książkę, czytać ją dzieciom systematycznie, dawać w trakcie tego objaśnienia, przy tem wszystkiem nie znudzić ich, nie zniechęcić — to sztuka daleko trudniejsza. Byłoby znacznie więcej takich czytających matek, gdyby sprawą domowego wychowania poważniej się zajmowano, gdyby nie patrzono na nią jako na rzecz dodatkową, zwałając ją na barki szkoły; wówczas tylko, t. j. przy poważnem zapatrywaniu się na sprawę kształcenia dzieci, przychodzą na myśl takie rzeczy, jak ścisły rozbiór, krytyka środków, przy pomocy których umysł i serce dziecka rozwinać się mogą, wyszukiwanie lepszych, nowych, jeżeli dawne okażą się mniej zadawalniającemi pod względem wychowawczym.

Każda matka, nieposiadająca daru opowiadania, tem więcej powinna się starać o to, aby umieć dobrze czytać. Dziecko ma prawo wymagać od matki, aby rozwijała jego umysł, dała odpowiedni materiał rozwijającej się inteligencji, budzącym się uczuciom — bo to stanowi część jego szczęścia w teraźniejszości, daje poważną gwarancję szczęśliwej przyszłości.

Bardzo wiele matek sądzi, że głośne czytanie dzieciom jest to rzecz bardzo prosta i łatwa; jest rzeczywiście nietrudną, jeżeli rozumiemy pod tem tylko samo mechaniczne odczytywanie, nie zwracając uwagi na zdolności, przygotowanie, lub potrze-

by dziecka. Rzeczywiście, dobre czytanie wymaga przede wszystkim mechanicznej wprawy w odczytywaniu, wymaga płynnego czytania, wyraźnego wymawiania, dobrej modulacyi, przyjemnego dźwięku głosu. Jednakże jest to tylko jedna, łatwiejsza strona kwestyi. Trudniej daleko wypełnić resztę wymagań—najgłówniejszych: aby rzecz czytana zajęła dziecko i przyniosła mu pożytek.

Matka, która zwraca uwagę jedynie na zewnętrzną stronę czytania, może swem czytaniem w pewnych wypadkach przynieść daleko więcej szkody, niż korzyści. Sześcioletnie dziecko wymaga innej strawy umysłowej, niż dziesięcioletnie, a to innej, niż starsze jeszcze. Z drugiej znowu strony, nawet z dzieci, będących w jednym wieku, nie każde wymaga jednego i tegoż samego; jedno z nich jest więcej rozwinięte, niż inne; jedno potrzebuje silniejszych bodźców do rozbudzenia fantazyi, drugiemu mniej wystarczy; to lubi rzeczy więcej energiczne, przygody,—tamtó więcej z zabarwieniem naukowem, rzeczy więcej spokojne, ściśle. Te właściwości umysłu i uczuć, które później określają umysł, charakter danego człowieka, przejawiają się już w bardzo wczesnym wieku i zmuszają do odpowiedniego traktowania. Każde prawie dziecko, każdy wiek—wogóle powiedziawszy — każdy specjalny wypadek wymaga osobnego namysłu, rozważenia, co czytać, jak obja-

śniać, co może być tam niezrozumiałego dla dziecka danego wieku i danego stopnia oraz rodzaju inteligencji.

Nie powinno się zapominać, że głośne czytanie dzieciom jest przedewszystkiem środkiem kształcenia. Treść czytanego musi w zupełności odpowiadać umysłowości dziecka; powinna także stać w pewnym związku z przedmiotami, wykładanymi w szkołach, powinna się opierać na tem, co dziecko ze szkoły wynosi: czytanie ma właściwie rozszerzyć, pogłębić, utrwalić, wreszcie zabarwić przedmioty, wykładane w szkole. Nie jest to wcale łatwem czytać dziecku to, co jest dla niego najodpowiedniejszym. Są matki, które czytają dziecku rzeczy stare, dawno uznane przez naukę za fałszywe, rzeczy sprzeczne z tem, czego dziecko w szkole się uczy,—lub też czytają o przedmiotach, zupełnie mu jeszcze nieznanych ani z książki, ani z własnego doświadczenia. Rozumie się, że wszystko to może dziecku tylko zaszkodzić.

Chcąc zrobić z czytania pożyteczny środek wychowawczy, trzeba samemu lepiej zrozumieć cel dobrego wychowania, znać środki, które ku niemu prowadzą, wogóle być więcej zaznajomionym z teoretyczną i praktyczną stroną pedagogii. Trzeba umieć się poznać na książce, rozstrzygnąć, czy posiada wartość pedagogiczną, a szczególnie czy jest stosowną dla danego dziecka. Wogóle każda

matka, która seryo zajmuje się wychowywaniem swoich dzieci, niejednokrotnie znajdzie się wobec takiej kwestyi, której sama rozstrzygnąć nie może i musi uciec się do pomocy fachowych pedagogów, skorzystać z ich rad i doświadczenia. Pedagogowie, a najlepiej sami nauczyciele dziecka, często jedynie najlepiej rozstrzygnąć mogą, co trzeba dziecku w domu czytać, aby ułatwić mu naukę szkolną, aby zabarwić, rozszerzyć, utrwalić suchy często materiał, który mu szkoła daje. Taka harmonia między szkołą i domem, matką i nauczycielem, wydaje najlepsze rezultaty, rozumie się z wyjątkiem tylko tych wypadków, kiedy nauczyciel nie spełnia swych obowiązków, postępuje bądź ze złą wiarą, bądź jest marnym pedagogiem; w takim wypadku, słuchając jego rad, rozszerzamy jego ujemny wpływ na dziecko, którego już dosyć ma ono w szkole.

Drugim celem czytania jest zabawienie dziecka. Ale i tu następują poważne trudności. Najprzód trzeba wybrać czas odpowiedni, nie czytać przed jakimś poważniejszym zajęciem umysłowym, ale raczej w środku, a najlepiej po zajęciu, aby w ten sposób dać dziecku przyjemny odpoczynek. Następnie trzeba, aby czytana rzecz była rzeczywiście zajmującą, aby dziecko słuchało jej równie jak opowiadania, naprężając słuch i uwagę,— aby na twarzy, w oczach, uśmiechu, malowała się

gra uczuć, wzbudzona w młodej główce treścią czytanej książki.

Jeżeli zwykle opowiadanie bajki Andersena przedstawia pewne trudności, to tembardziej przeczytanie, nawet wówczas, kiedy chodzi jedynie tylko o zabawienie.

Nawet najlepsi pisarze dla dzieci piszą tak, że ich bajki zwykle bardziej zajmą dzieci, jeżeli są opowiedziane, aniżeli wówczas, kiedy je wprost dzieciom czytamy. Przyczyną tego jest to, że opowiadając daną treść, można w każdym specjalnym wypadku przystosować się do wieku i rodzaju umysłowości dziecka, podczas gdy przy odczytywaniu jest to niemożliwem: trzeba czytać tak, jak jest napisane. W części można temu zaradzić przez ustne objaśnienia od czasu do czasu tego, co się czyta.

W ten sposób każda matka, która dba o dobre wychowanie swych małych, nie pominie głośnego czytania w liczbie środków kształcenia. Będzie je stosować w mierze, z rozmysłem i planem, dostarczając w ten sposób dziecku i pożytecznych wiadomości i niejedną przyjemnie spędzoną chwilę. Opowiadanie i czytanie głośne są to dwa napozór mało znaczące środki wychowawcze; jednak tylko napozór, bowiem istotnie znaczenie ich jest bardzo wielkie i w żadnym razie nie można ich bezkarnie zaniedbywać.

XXX. O pytaniach.

Pytanie odgrywa w sprawie nauczania tak wielką rolę, że dziwić się należy, iż nasze matki tak rzadko uciekają się do tego środka pedagogicznego.

Były czasy, w których dobroć nauczania sądzono podług umiejętności stawiania dzieciom pytań. Jest to pogląd zbyt przesadzony. Obecnie mówimy, że każda matka, czy nauczyciel, nie powinni kwestyi zapytywania dziecka ani zupełnie zaniedbywać, ani też przywiązywać do niej nazbyt wielkiej wagi.

Pytanie się leży w naturze dziecka; rozwijający się umysł, tworząc sobie pierwsze pojęcia, spotyka się z bardzo wielką ilością zupełnie nowych wrażeń, — nie więc dziwnego, że usteczka dziecka często wymawiają zdanie: dlaczego? Matka, rzecz prosta, nie powinna zabraniać tego dziecku; przeciwnie, musi starać się o to, aby ono jaknajczęściej pytało. Tymczasem jak wiele jest takich matek, które na ciekawe zapytania dzieci odpowiadają: „nie nudź mamy,“ „cicho bądź,“ „dzieci nie powinny się pytać,“ „nie powinny mówić, aż ich starsi zapytają“ i t. p. Takie odpowiedzi są zwykle wyrazem bądź obojętności względem dzieci, bądź też zupełnego braku znajomości zasadniczych podstaw i wymagań wychowania.

Często pytanie dziecka nastęrczy matce lub nauczycielowi temat do długiej pogawędki, która ma o tyle więcej znaczenia od innych, że przedmiotem jej jest rzecz, która sama przez się zainteresowała dziecko i skłoniła je do zrobienia zapytania. Odwrotnie, znając dziecko, jego stopień rozwinięcia, można odpowiedniem pytaniem skłonić je do szeregu innych pytań, pomódz mu do sformułowania samego zapytania, rzeczy wogóle dość trudnej nawet dla starszych; umiejętne pytania mogą skierować myśl dziecka w daną stronę, działając na jego umysł, jak magnes na strzałkę magnesową.

Inteligentna matka oddziaływa na umysł dziecka nietylko treścią zapytań, ale i ich formą, rozwijając go systematycznie, ucząc odpowiadać, wyrażać w słowach własne myśli. Przytem trzeba uwzględniać wiek i rozwój dziecka, inaczej pytania stają się szablonem, stosowanym bez wyboru do każdej głowy, rozumie się bez skutku.

Pytanie posiada w sobie pewną siłę, pozwalającą na schwytywanie ruchliwej uwagi dziecka, na zmuszenie go do pracy umysłowej, bez zniechęcenia go i znużenia. Można powiedzieć, że matka przez odpowiednio dobrane pytanie, następnie objaśnienie, naprowadzanie dziecka przez poddawanie mu myśli, pytań, lepiej wpływa na jego rozwój umysłowy, aniżeli przez same tylko objaśnienia, nawet prowadzone systematycznie, w kształcie wy-

kładu. Zdarzyć się jednak może, że przez nieumiejętne pytania, na które dziecko odpowiedzieć nie jest w stanie, osiąga się cel odwrotny: zniechęca się dziecko, które zaczyna uważać, że je pytaniami nudzą,—odwraca jego umysł od innych rzeczy, męczy go przez zmuszanie do bezowocnego, niepotrzebnego naprężania myśli.

Szczególniej unikać należy pytań egzaminacyjnych, które zupełnie do czego innego służą i tylko w razie rzeczywistej potrzeby użyte być mogą, mianowicie kiedy chodzi o zbadanie siły umysłu i wiadomości dziecka. I tu trzeba specjalnej umiejętności pytania: w przeciwnym razie nie dowiemy się nic, albo co najwyżej o sile pamięci badanego dziecka.

Umiejętne, zręczne pytania ożywiają dziecko, podtrzymują uwagę, prowadzą do dobrego poznania i zrozumienia, uczą myśleć logicznie; przeciwnie, niepedagogiczne pytania mogą w końcu odjąć dziecku wszelką chęć do nauki, do samodzielnego poznawania rzeczy, z którymi się styka. W każdym razie matka, chcąc dobrze prowadzić swe dzieci, powinna poświęcić trochę sił i czasu na rozpatrzenie, przestudyowanie sprawy zapytań, jak dziecka tak i nauczyciela, i otrzymane ztąd teoretyczne wyniki zastosować w praktyce.

XXXI. Nauczanie i rozrywka.

W rzadkich tylko wypadkach dziecko, uczęszczające do szkoły, cały swój czas w domu zużywa na rozrywki i odpoczynek; zwykle musi jeszcze w domu dla szkoły pracować, ucząc się lekcyj, odrabiając zadane ćwiczenia i t. p., jeżeli nie chce zostać w tyle, zasłużyć na niezadowolenie nauczycieli i otrzymać złe stopnie. Zająć tych matka usunąć nie może bez zrobienia szkody dziecku, bez narażenia go na przykre konsekwencye.

Są matki, które sztucznemi sposobami starają się tę domową robotę swemu dziecku umniejszyć, np. odrabiając za nie pewną część pracy i w ten sposób zmniejszając szanse powodzenia w szkole, uszczuplając jednocześnie sferę wiadomości, które dziecko w szkole nabywa. Inni znowu rodzice widzą w usilnem uczeniu się, w pakowaniu do głowy możliwie wielkich ilości faktów cały cel nauki. Tacy właśnie pod słowem „wielkie wykształcenie“ rozumieją mnogość wiadomości, które dany człowiek posiada. Tymczasem do takich encyklopedycznych wiadomości książkowych, szczególnie w młodym wieku, dochodzi się po większej części kosztem ciała, zdrowia; praktyka wykazała, że tacy ludzie wcale nie należą do bardzo pożądaných i bardzo pożytecznych członków społeczeństwa.

Dom zatem nie powinien być ani drugą szkołą, ani też miejscem, przeznaczonem na zabawę i odpoczynek, ale musi jednoczyć jedno z drugim, łączyć harmonijnie.

Czyż nie można jednocześnie bawić i nauczać? Czyż zabawa koniecznie musi być głupią? Wprawdzie sztuką jest połączyć jedno z drugim tak, aby dziecko patrzyło na naukę jak na przyjemną rozrywkę. Niema obawy, aby dziecko sobie naukę lekceważyło, ponieważ ta łączy się z zabawą: szkoła często aż nadto dostarcza mu sposobności przekonania się, że nauka należy do rzędu rzeczy poważnych, że nie jest zabawą.

Dlatego też nigdy nie należy zapominać, że dom nie jest szkołą, że jest właściwie tylko dopełnieniem, dalszym ciągiem, właściwie inną stroną szkolnego nauczania. Trzeba więc możliwie starać się o to, aby dziecku naukę domową uprzyjemniać. Przez stosowne zapytania, słowem i rysunkiem, przez pokazywanie i objaśnianie, przy pomocy czytania i opowiadań uczy się dziecko wielu rzeczy z codziennego życia, z historii, geografii, literatury, sztuk i rzemiosł, nabywa odpowiednich wiadomości, i to w formie przyjemnej, która go nie wyczerpuje, ani nuży. Sposobność do takiego nauczania codzien się zdarza, trzeba tylko umieć to zrobić; często najprostsze, najzwyklejsze, zatem znane dziecku rzeczy stanowią najpodatniej-

szy materyał do szczęśliwego połączenia nauki i przyjemności.

W ten tylko sposób można uniknąć przeciążenia sił dziecka, dając mu jednocześnie ten zapas wiadomości, które mu będą potem potrzebne, których świat od wykształconego człowieka wymaga—co ważne, że nieprzeciążony organizm może się swobodnie i normalnie rozwijać.

Niema kwestyi, że w obecnych czasach dziecko, chodząc do szkoły, nie może uniknąć potrzeby pracowania dla niej i w domu; jeżeli zatem chcemy mu dać jeszcze szereg wiadomości, których mu szkoła nie daje, to nauka musi być koniecznie przyjemną, stanowić rozrywkę, inaczej młody organizm wykrzywi się pod ciężarem i tak już dużej masy wiadomości, które przez czas szkolny nabyć musi.

XXXII. Wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt.

Ponieważ wychowanie chłopców i dziewcząt co do pewnych punktów się różni, więc też zachodzi kwestya, którą dość często stawiano: co jest lepszem—czy uczenie ich razem, czy też każdą płć oddzielnie?

W Anglii, Francyi i Włoszech chłopcy i dziewczynki uczą się oddzielnie. W Niemczech rozdział taki zaczyna się dopiero w klasach wyższych, podczas gdy w szkołach elementarnych, szczególnie po wsiach, takie rozdzielanie trafia się dość rzadko. Sądzę jednak, że nietylko złączenie chłopców i dziewczynek w celu wspólnej nauki przedstawia duże korzyści, ale wogóle uważam, że i w ogólnem wychowywaniu powinno być także połączenie, nie powinno się robić różnicy między chłopcem a dziewczynką. Rzecz prosta, że połączenie możliwem jest tylko do pewnego wieku, mianowicie w dzieciństwie.

Jeżeli historię uważamy za największą nauczycielkę człowieka, to znowu natura daje nam najlepsze wskazówki, tyżące się sprawy wychowania; a ta nas uczy, że wogóle do pewnego czasu obie płcie chowają się razem, że rodzice nie robią pod tym względem między swem potomstwem żadnej różnicy; rzadko się zdarza, aby jedni rodzice mieli samych chłopców, a inni same dziewczęta: regułą jest potomstwo mieszane. Ta okoliczność może służyć za punkt wyjścia w kwestyi nas obchodzącej. Pierworodne dziecko staje się towarzyszem, poczęści nauczycielem drugiego, obznajmiając je z nabytymi już wiadomościami, dzieląc się z niem swoim krótkim doświadczeniem, bez względu na płeć. A wiadomo, że nikt tak dobrze

nie umie trafić do przekonania i umysłu dziecka, jak inne dziecko. Zatem chłopcy i dziewczęta powinni wychowywać się razem, pomagając sobie wzajemnie w stawianiu pierwszych kroków na trudnej drodze żywota.

Wszędzie, gdzie rodzice idą za wyraźnemi wskazówkami natury, nie robią różnicy między synem i córką, tam widzimy najlepsze rezultaty, szczególnie co się tyczy wychowania dziewczynek.

Wprost można powiedzieć, że taki rozdział w wychowaniu dzieciom szkodę przynosi. Są kraje, gdzie dziewczynki wychowują się w klasztor-nem zamknięciu, gdzie nawet rodzeństwo, bracia i siostry, trudno i rzadko z sobą się stykają. Skutek jest taki, że chłopcy, pozbawieni towarzystwa dziewczynek, nabierają surowych, często dzikich przyzwyczajeń, stronią od kobiecego towarzystwa, mało mają później pociągu do spokojnego, rodzinnego życia,—podczas gdy dziewczynki nie są w stanie poznać świata, ludzi, nie mogą dobrze spełniać obowiązków żony, bo nie znają mężczyzn, nie są do nich przyzwyczajone. Z drugiej znowu strony, takie zupełne oddzielenie obu płci w późniejszym wieku, w wieku dojrzałości, pociąga za sobą często smutne wypadki rodzinne, lub w najlepszym razie nieopatrzone zawieranie małżeństw, bez wzajemnego poznania się, pod wpływem namiętności, której nawet miłością nazwać nie można.

Jeżeli bracia chowają się, uczą, bawią oddzielnie w swoim pokoju, dziewczynki także oddzielnie, jeżeli następnie chłopca oddadzą do męskiego pensjonatu, dziewczynkę do żeńskiego, — wówczas między rodzeństwem niema takiej jedności charakterów, uczuć, wiadomości, przyzwyczajień, jakąby się osiągnęło przy wspólnem ich chowaniu; chłopiec surowieje, uczucia twardnieją, charakter staje się szorstkim, wyrasta z niego człowiek mało towarzysko usposobiony, — podczas gdy charakter dziewczynki mięknie, samodzielność znika, wola słabnie, natomiast występuje nienormalna słabość, czułośćkość — rzeczy, które następnie stawiają kobietę w zupełnej życiowej zależności od mężczyzny. Dzieci osobno chowane nie rozumieją się wzajemnie, brat i siostra nie czują się rodzeństwem, ponieważ widzą w sobie inne natury, posiadają inne sfery wiadomości, uczuć, oraz odmienne formy ich wyrażania.

Praktyka natomiast wykazała, że tam, gdzie bracia i siostry razem są chowane, wszędzie oddziałują na siebie dodatnio, uszlachetniająco, pozostają dłużej dziećmi, aniżeli wówczas, kiedy są chowane oddzielnie.

XXXIII. Zbytek.

Żyje na świecie straszny potwór, który, choć niematerialny, zgubił i pożarł już całe państwa, nie mówiąc o niezliczonych ilościach rodzin i pojedynczych ludzi. Jest to żądza zbytku.

Kwestya zbytku niejednokrotnie bywała podnoszoną w najróżnorodniejszych formach. Choroba ta dawno już nie dotykała ludzkości w tak silnym stopniu, jak w obecnych czasach; istnieją społeczeństwa, mamy niezliczone mnóstwo rodzin, gdzie zaraza ta zagnieździła się w najlepsze, pchając je prosto do zguby. Byłoby zbytecznem, nawet niemożliwem, skreślenie tych postaci, w jakich się obecnie żądza zbytku przedstawia; na ulicach, w miejscach zebrzań publicznych, na balach i przyjęciach, w miastach i na wsiach, ba, nawet w kościołach, przybytkach modlitwy, pokory i skruchy, słowem wszędzie—zbytek króluje wszechwładnie.

Gdzie leży źródło złego i kto to zło wykorzenić może? Dom i rodzina!

Mówią jednakże wiele o zbytku, wskazują przytem na toalety naszych kobiet; świat mężki, nie patrząc na siebie, woła wielkim głosem: „zbytek nie ma końca, kobiety rujnują nas swemi wymaganiami,“—nie widząc jednakże, że i mężczyźni uprawiają zbytek i może silniej i częściej pozostają pod jego wpływem, aniżeli kobiety.

Głównem złem jest to, że z tej przyczyny zamięłowanie zbytku dostało się do najgłębszych zakątków rodziny, przedarło się do pokoju dziecinnego, wszczepiając zgubną chorobę w młode i wrażliwe dusze. Chcąc wykorzenić zbytek, *tu* działać należy, chroniąc ludzi od zetknięcia się z nim, przesiąknięcia nim za młodu. Rodzice nie widzą w tem nic złego, a może i widzieć nie chcą.

Często, patrząc na wystrojonych sąsiadów, śmieją się z nich, oburzają, sądząc, że zbytek i zamięłowanie do niego przejawia się jedynie w ubraniu. Niedawno jeszcze dziecko, któreby posiadało zegarek, należało do rzadkości; obecnie zegarki dają dzieciom, które ledwo że się nauczyły odróżniać cyfry na cyferblacie, nie mówiąc już o tem, że zegarek jest im wcale niepotrzebny, ponieważ jeszcze są tak młodzi, że życie ich nie jest uregulowane podług godzin, których się trzymać muszą. W czasach mego dzieciństwa nawet najmłodsi ludzie wychodzili w święta za miasto piechotą, dziś inaczej nie mogą jak powozem lub koleją. Dalej, czyż znano dawniej baliki dziecinnie, które obecnie są w powszechnem użyciu, szerząc wśród młodego pokolenia zamięłowanie do zbytkownego, błyszczącego życia?

Są matki, które postawiły sobie za punkt honoru ubierać dzieci jaknajlepiej, jaknajbogaciej, aby lepiej od innych wyglądały, sądząc, że w ten

sposób najlepiej wypełniają swe macierzyńskie obowiązki, że w ten sposób swą miłość ku dzieciom okazują. Dogadzając swej fałszywej próżności macierzyńskiej, psują dziecko, budząc w niem złe instynkty, ucząc zamięłowania do pięknych sukien, błyszczącego otoczenia. Bywają i takie matki, które dziecko uważają jako cacko, jako dodatek do swej toalety, ubierają je tak, aby pasowało do sukni matki, kokietują ludzi dzieckiem; takiej mamie podoba się rola młodej matki tem bardziej, im jej bardziej z dzieckiem „do twarzy;“ rzecz prosta, że o innych obowiązkach matki mowy niema: pójście na spacer, przejechanie się z dzieckiem w powozie—oto wszystko. Rzecz prosta, że dziecko, obracając się ciągle w takim otoczeniu, nabiera zbytko-wnych gustów, które już w późniejszym wieku wykorzenieć trudno.

Pół biedy, jeżeli środki materyalne wystarczają; w przeciwnym razie, oprócz zamięłowania do zbytku, rodzi się obłuda, blichtr, chęć oszukania ludzi, nieodpowiedniość między toaletą, urządzeniem domu a np. stanem bielizny lub kwestyą obiadów—ich dobroci i obfitości. Chęć zbytko-wnego życia wzrasta, środki coraz mniej wystarczają, następuje bankructwo, jeżeli nie coś gorszego. Wszystko to odbija się na dziecku, które to widzi i rozumie: słyszy matkę, opowiadającą o swych bogactwach, przyjęciach, znajomościach,

wiedząc jednocześnie, że to wszystko nieprawda, że suknia, umeblowanie, sprawione są za pożyczone pieniądze, że ojciec biada na rozrzutność żony, że często na pięknej porcelanie zjawiają się bardzo skromne, mało posilne, tanie potrawy.

Rzeczywiście, w obecnych czasach trzeba mieć wiele charakteru i woli, aby wychować dzieci zdala od zbytku; trzeba bardzo je kochać, aby je od tej choroby uchronić.

Nie nieopatrna chęć używania, ale umiejętność panowania nad sobą, nad swemi potrzebami, stanowi warunek szczęścia w życiu. W pierwszym wypadku człowiek przez całe życie jest niczem innem, jak sługą swoich własnych namiętności, które tyranizują go, każąc poświęcić wszystko, wszystko znieść dla dogodzenia nieszczęsnej namiętności. Przeciwnie, panując nad sobą, możemy czuć się szczęśliwymi nawet przy zmianie warunków na gorsze, przystosowując swoje potrzeby do środków, którymi w danej chwili rozporządzamy.

XXXIV. Książki dla dzieci.

Przez czytanie w domu możemy dać dziecku wszystko, co najlepszego myśl i serce ludzkie w ciągu szeregu wieków wydały. Dobra książka

budzi ducha do nowego życia, pcha go wyżej—ku pięknu i prawdzie, kształci uczucie i smak estetyczny, uczy kochać kraj, ludzi, cenić cnotę, piękno i naukę.

Kto nie pamięta, kiedy w dzieciennych latach, wieczorem, w kółku rodzinnem, siedział zatopiony w książce; mówiła mu ona o bohaterach i ich czynach, kreśliła smutne lub wesołe, podniosłe lub nędzne obrazy życia ludzkiego, budząc tysiące uczuć i myśli, przenosząc myśl w nieznane kraje, pełne blasków południowego słońca i fantazyi? Godziny, strawione nad czytaniem zajmującej książki, należały do najprzyjemniejszych, zostawiły we wspomnieniach ślad niezatarty, po którym w późnej starości myśl coraz częściej biegnie ku jasnym chwilom dzieciństwa.

Uszczęśliwienie dziecka należy chyba do obowiązków matki. Daj mu zatem dobrą książkę do czytania, a wypełnisz jeden z swych obowiązków jako matki.

W czasach, jak nasze, gdzie gruby materjaлизм swoje tryumfy święci, obowiązkiem jest kierować duszę i umysł dziecka ku rzeczom idealniejszej natury; w ogromnej większości wypadków niema obawy przeidealizowania dziecka—świat i ludzie rychło ściągną je z niebios na ziemię; a te kilka kropel idealizmu, które mu pozostaną, wstrzymają je od zejścia o parę stopni niżej, gdzie czło-

wiek w gruncie rzeczy przestaje już być człowiekiem, staje się zwierzęciem, posiadającym żądze i pragnienia, które, bez względu na jakość środków i skutki, zadowolnić pragnie.

Czyż jest coś bardziej pięknego, jak zapoznanie się z myślami i uczuciami naszych najszlachetniejszych i najlepszych twórców w dziedzinie nauki i poezyi? Czyż może być coś przyjemniejszego, jak wlewanie tych skarbów w umysł i serce swoich własnych dzieci? Książka jest w stanie dostarczyć pokarmu wszystkim władzom naszego ducha, bawi i naucza, przemawia to do rozumu, to do serca, to nasuwa smutną zadumę, to pobudza do śmiechu.

Autor i artysta pracują wspólnie, aby dać dziecku obraz ludzi, rzeczy, wypadków, które warte są tego, aby na zawsze w pamięci zostały.

Dobra książka, napisana prostym a barwnym językiem, pomaga dziecku obserwować, wskazując mu takie rzeczy i zjawiska, którychby ono samo nie dostrzegło; książka ubarwia mu te rzeczy, które mu się zwykłemi i mało zajmującemi wydają, ucząc je dopatrywać się nawet w najbliższej rzeczy przejawiania się wszechrozległych praw natury, szukać prawdy i piękna tam, gdzie ich inni nie widzą, jak i ono samo poprzednio nie dostrzegało.

Wskutek tego zrozumiemy, jak szkodliwie musi oddziaływać zła książka na wrażliwą, nieze-

psutą jeszcze naturę dziecka! Jedna taka książka może często zniszczyć owoce długoletniej pracy wychowawczej. Jak podmuch mroźnego wiatru warzy wczesne kwiatki wiosny, tak i niezdrowa myśl, wchłonięta z książki, zakaża młodą duszę dziecięcą, i to tem bardziej, im ta jest wrażliwszą, świeższą, młodszą.

Obecne czasy, chociaż są dobą postępu i wysoko rozwiniętej cywilizacyi, mieszczą w sobie wiele, bardzo wiele jeszcze złego i niemało rośnie chwastów na niwie współczesnej naszej literatury dla dzieci.

Minęły te czasy, kiedy ojciec z miłości dla dzieci stawał się pisarzem dla młodocianego wieku. Zczasem do ludzi powołanych przyłączyły się całe zastępy pisarzy obojga płci, którzy pod płaszczykiem powołania, trzymając wysoko sztandar, na którym stało napisane: „dla młodzieży najlepsze jest dopiero dostatecznie dobrem,“ zaczęli pisać utwory literackie dla dzieci, najwięcej jednak dbając tylko o własną kieszeń.

Właśnie ci rzemieślnicy są przeważnie dostarczycielami tandety literackiej i artystycznej, przeznaczonej do czytania, jako podarunki dla dzieci. Parę kolorowych obrazków, bez artystycznego smaku wykonanych, krzycząca, jaskrawa okładka, przykrywają błahą treść tekstu, jeżeli nie wprost szkodliwą.

Matka przechodzi przed wystawą, założoną literaturą dzieciinną; zainteresowała ją pięknie oprawiona książka—kupuje, sądząc, że książka z taką oprawą i kupiona u poważnej firmy księgarskiej treścią będzie odpowiadała zewnętrznemu wyglądowi. Dziecko czyta to, bawi się—matka nie ma nic lepszego do roboty, jak dać ją potem innym dzieciom do czytania, zachwalać wśród znajomych. Tymczasem książka może być pozbawioną wszelkiej wartości, może być wprost szkodliwą—i matka o tem nie wie, ponieważ przeczytała zaledwie parę stron i znalazła, że powinny być zajmujące... jak dla dziecka.

Tu znowu matka napróżno szuka dobrej książki obrazkowej. Wtem wpada jej w rękę poważny dziennik, w którym znajduje recenzje nowości dla dzieci. Sprawozdanie pochlebne, więc zdaje się na krytyka, kupuje zachwalane książki. Tymczasem zdarza się bardzo często, że recenzje te wcale nie stoją na wysokości swego zadania, są pisane stronnie, lekkomyślnie, jeżeli nie są poprostu zapłaconą reklamą. Bardzo wiele jest takich rzeczy, które dzienniki zachwalają, zalecają z zupełnie dobrą wiarą, a które w rzeczywistości jednak nie mają żadnej wartości. Taki jest jednak bieg rzeczy na tym świecie i właśnie często z najważniejszymi rzeczami ludzie obchodzą się z największą lekkomyślnością; najświętsze rzeczy, właśnie tam, gdzie

nikt oszustwa nie podejrzewa, stają się przedmiotem niskich spekulacyj.

W ten sposób matki, które dbają o to, aby dać dziecku dobrą rzecz do czytania, nie mogą się dobrać do właściwej literatury, bowiem recenzye, rady prywatne, ciągle je prowadzą na manowce, dając do ręki tandetę w miejsce wartościowych rzeczy.

Ktokolwiek dobrze zaznajomił się z dziecinną literaturą, szczególnieją tą, która do nas z zagranicy, mianowicie z Niemiec przychodzi, ten doszedł do przekonania, że dobrych rzeczy znajduje się tam bardzo mało; reszta to śmiecie, płaskie, głupie, niepedagogiczne, nieprzystosowane do dziecięcego umysłu, robione na spekulacye, w których w równej mierze przyjmują udział autorzy i wydawcy.

Niemożliwem jest uwzględnić tu wszystkie punkty, które trzeba mieć na oku przy wyborze książek dla dzieci; każdy specjalny wypadek wymaga specjalnego rozważania.

Jednakże istnieją pewne ogólne dane, które zaznaczymy.

Wogóle faktem jest, że tylko te książki działają istotnie kształcąco, których przedmiotem są rzeczy nauki lub sztuki. Do tego rodzaju rzeczy należą utwory wartościowej, zdrowej, rzeczywistej poezyi, w którą obfituje nasza literatura; dalej do

teżże kategorii, oprócz rzeczy ściśle naukowych, zaliczają się książki popularne i tego rodzaju utwory, które podniecają, pobudzają do silniejszego, głębszego życia nasze władze umysłowe i szlachetniejsze uczucia, np. dobre artykuły w dziennikach, rozumie się zastosowane do wieku i rozwoju dziecka, polemiki, rozprawy, krytyki, małe, łatwiejsze szkice filozoficzne. W każdym razie wybór ich wymaga najprzód zdolności oceniania tych rzeczy, następnie dobrej znajomości siły i rodzaju umysłu oraz charakteru dziecka.

Wogóle zawsze i wszędzie indywidualność dziecka i jej cechy powinny być kierownikiem w wyborze, — nigdy o tych rzeczach zapominać nie można.

Inna historia z literaturą, przeznaczoną do zabawienia dzieci, dawaną jedynie dla rozrywki. Obejmuje ona indyjskie historye, podróże, fantastyczne przygody, zmyślane, niemożliwe opowiadania z dalekich krajów, słowem pewnego rodzaju słomę literacką, mało pożywną, często wprost szkodliwą. Utwory takie, przepełniając umysł dziecka fałszywymi wiadomościami, przyczyniają się do chorobliwego rozbudzenia fantazyi, odzwyczajają je od logiki i porządku, jaki normalnie w życiu człowieka panuje i panować zawsze powinien.

Właśnie te utwory najbardziej rzucają się w oczy na wystawach księgarskich: efektownie

oprawne, opatrzone jaskrawemi, sensacyjnemi malowankami na okładce, przyciągają oczy dzieci, zwracają uwagę kupujących.

Jednakże ani rysunki, ani papier, ani druk nie wytrzymują krytyki przy bliższem przyjrzeniu się tym dziełkom; mimo to, książka znajduje zbyt, ponieważ pasuje do bezmyślności, do zepsutego smaku, do zbytnio rozbudzonej fantazyi większej części naszej najmłodszej generacyi; takie książki posiadają siłę przyciągającą, są czytane; zato nikt nigdy naprawdę nie wykształcił, ani nie nauczył czegoś, co ma wartość rzeczywistą.

Popelniamy błąd, jeżeli dajemy dziecku książkę tylko do przeczytania: właściwiej powinno ją ono studyować. Dziecko, które raz tylko książkę czyta, po większej części nic z niej nie wynosi, nabywa tylko zamięłowania do nowości, wyrabia się w niem powierzchowność, płytkość, wreszcie zarozumiałość. Dobra książka, jeżeli ma korzyść przynieść, musi być co najmniej dwukrotnie przeczytaną; wiadomo, że jednorazowy wykład nic dziecka nie nauczy—trzeba mu daną prawdę parę razy w coraz to innej formie powtórzyć, póki jej dobrze nie pojmie; książkę trzeba studyować, wnikać w myśl autora, rozbierać, nawet krytykować jego myśli. Treść takiej książki musi się jasno w umyśle dziecka przedstawiać, pamięcią winno opanować faktyczny materiał, który mu książka podała,

aby go następnie zawsze mieć w pogotowiu, kiedy tego zajdzie potrzeba. Nie idzie za tem, aby się wszystkiego na pamięć uczyło, ale aby wszystko dobrze zrozumiało, — wówczas rzecz sama się we właściwym czasie przypomni.

Dobrze jest nauczyć dziecko, aby czytało z piórem w ręku, zapisując ważniejsze myśli autora oraz te uwagi, które mu się przy czytaniu nasuwają. Taki dziecięcy komentarz, nawet najniedołężniej wykonany, ma ważne znaczenie dla uczącego, dając mu dokładny obraz umysłowości danego dziecka.

Z drugiej strony równie błędem jest dawanie dziecku samych książek tego rodzaju, że nie czytać, jeno studyować je potrzeba; najlepiej, jeżeli czyta jednocześnie jedną poważniejszą i jedną lżejszą.

Tak samo łatwo może się mylić ten, kto sądzi, że wszystko to, co piszą nasi pisarze dla młodzieży, koniecznie musi przedstawiać jednakową wartość pedagogiczną. Koń ma cztery nogi, a potknie się. Każda wielkość ma swoje pośledniejsze momenty, w których gorsze rzeczy tworzy. Dalej, rzeczy pisane przez firmowych autorów nie wszystkie i niezawsze nadają się dla każdego dziecka—i tu trzeba wybierać, nie spuszczać się ani na sławne nazwisko autora, ani na pochlebne oceny i sprawozdania.

Wpadamy również w jednostronność, jeżeli dajemy dziecku do czytania tylko same utwory prozą; dawajmy mu utwory wierszowane, — często bowiem wierszyki są to właśnie rzeczy, które dostarczają dzieciom najwięcej chwil przyjemnych. Idzie tu, rozumie się, o tego rodzaju poezye, które noszą w sobie czyste tchnienia natury i odpowiadają młodzieńczej duszy dziecka; rozlazło-sentymentalne, zarówno jak utwory pełne okropnego materyalizmu, tylko szkodę przynoszą, a najczęściej przechodzą bez wpływu, bo dziecko ich nie rozumie.

Gorzej za dużo, niż zamało. Często spotykamy rodziców, którzy formalnie zmuszają dziecko aby dużo i często czytało, nie udzielając mu wskazówek, jak właściwie czytać należy, aby ztąd możliwie wielką korzyść wyciągnąć. Gorączkowe czytelnictwo, bez wyboru, byle czytać, stało się jedną z chorób naszego wieku; gdyby rodzina chciała przeciwdziałać temu nałogowi, wówczas mielibyśmy mniej zblazowanych, napół wykształconych, jednostronnych, powierzchownych ludzi. Daleko lepiej nie dawać dziecku nic do czytania, niż zrobić z niego pożeracza książek; skutki tego są zawsze smutne.

Dobrze jest łączyć czytanie z pisaniem, mianowicie skłaniać dziecko, aby naprzód notowało myśli, które mu przy czytaniu przyjdą, następnie

aby poprzeczytaniu książki spróbowało ją piśmiennie streścić. W ten sposób książka zostanie lepiej zrozumianą, wiadomości dokładniej przyswojone. Przytem dziecko uczy się pisać, uczy się władać językiem przy piśmiennem uzewnętrznieniu swoich myśli; praca jest sumienniejszą, dokładniejszą— a sumienność w pracy, pracowitość, dokładność, są to cechy, które zawsze tylko podnoszą wartość człowieka.

W swoim miejscu mówiliśmy i o wpływie przykładu. Otóż tam, gdzie matka w obecności dziecka formalnie książki pochłania, tam naprzód wcale nie można oczekiwać jakiegoś kierownictwa z jej strony, bo sama popełnia szereg błędów i w wyborze książek dla siebie i w sposobie ich czytania; dziecko robi tak samo jak matka, często czyta też same książki, rozumie się dla jego wieku zupełnie nieodpowiednie.

XXXV. O rzeczach pożytecznych i kształcących.

Matka, oprócz nauczania i ogólnego wykształcenia dziecka, ma jeszcze do uwzględnienia cały szereg innych rzeczy, mniej ważnych, ubocznych, których jednak pomijać nie trzeba.

Rozwijająca się cywilizacya nadała wielu rzeczom odmienną formę i inne znaczenie, aniżeli je miały dawniej. Weźmy np. wodę i ogień. Znaczenie ich w naturze oraz życiu człowieka jest znane każdemu. Wiele się jednak tu zmieniło. Ogień stracił swe dawne znaczenie jako „ogniska domowego,” przy którym wieczorami zbierała się cała rodzina, starsi opowiadali o dawnych dziejach, inni, zajęci jakąś pracą, słuchali: ogień swoim ciepłem i blaskiem łączył, przyciągał wszystkich. Obecnie wciśnięto ogień w hermetycznie zamknięte piece, starają się go zupełnie z mieszkań usunąć, wprowadzając piece parowe lub wodne, które nie mają tego znaczenia, nie działają na człowieka tak, jak widok trzaskających, jasno płonących polan na kominku. Toż samo z wodą. Z wielu mieszkań formalnie ją wypędzono, zamknąwszy w hermetycznych rurach wgłębi muru i ziemi. Wiele rodzin mają ogródki, ale o założeniu małej kaskady, fontanny, basenu, nie myślą wcale; mówią, że wodę można zobaczyć w lesie, na polu—i to im wystarczy. W wielu mieszkaniach prywatnych są już wodociągi,—niewiele więc kosztuje urządzenie w domu małej fontanny lub akwaryum, zasilanych wodą z przeprowadzonej rury wodociągowej. Czy myśli kto jednak o sprawieniu dzieciom tego rodzaju przyjemności, która oprócz tego może być źródłem wielu pożytecznych wiadomości, może dostarczyć

im kształcącego zajęcia, np. hodowli ryb, roślin wodnych, nauczyć je obserwować pewne zjawiska przyrody?

Inną rzeczą, która przy wychowywaniu dzieci gra pewną rolę i stale bywa pomijaną, jest przyuczanie ich do pielęgnowania roślin i kwiatów w mieszkaniu i ogródkach. Kwiaty, rośliny istnieją prawie w każdym domu; jak rzadko jednak użytkowane są w celach pedagogicznych! Bardzo tanim kosztem obecnie każdy może mieć w domu całą kolekcję różnych roślin. Łąki, lasy, ogrody mają ich mnóstwo. Kwiaty, rośliny mają wartość nie tylko dlatego, że są przyjemne dla oka, że wydzielają zapach; mając je blisko siebie, obserwując je ciągle, dziecko może się wiele nauczyć, otrzymać dużo nowych wrażeń, dowiedzieć się rzeczy, zarówno mających praktyczne jak i naukowe znaczenie; mianowicie uczy się obserwować, rozróżniać barwy, kształty, zapoznaje się z takim zjawiskiem, jak życie rośliny, począwszy od jej kiełkowania, aż do uschnięcia po wydaniu owocu. Inteligentna matka może w ten sposób budzić w dziecku zamiłowanie do zjawisk natury, do nauki, rozwijając jednocześnie szlachetniejsze uczucia, jak poczucie piękna, podziw dla zjawisk natury, poszanowanie myśli i prawdziwej nauki.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na to, że, szczególnie co się tyczy dziewczynek, błędem jest,

jeżeli zaczynamy obznajmiać je z gospodarstwem domowem od zapoznawania ich z cenami przedmiotów. Najprzód, te są zmienne; tymczasem daleko ważniejszą rzeczą jest uczyć je rozróżniania gatunków rzeczy, spotykanych w gospodarstwie domowem, jak płótno, wełna, jedwab', atłas, różne rodzaje mięsa, drzewa, węgla, wyrobów z gliny i t. p. Przy takiej nauce gospodarstwa domowego, oprócz udzielenia szeregu praktycznych wiadomości, jeszcze uczymy dzieci obserwować, porównywać, uczymy je wyrabiać sobie sąd krytyczny o rzeczach i t. p.

Wogóle można powiedzieć, że niema takiej rzeczy, niema takiego zajęcia, któregoby rozumna matka nie mogła wyzyskać jako środek pedagogiczny, w celu ukształcenia bądź uczuć, bądź umysłu dziecka.

Jest zwyczaj, który rzadko kiedy bywa rozumnie wypełniany, t. j. tak, aby nie przynosił szkody dziecku. Myślę tu o wszelkiego rodzaju podarkach na Boże Narodzenie, na imieniny i t. p. Każda matka, która przyzwyczaja dziecko do tego, że w pewne dni pewnym osobom musi ono coś podarować, degraduje ten piękny zwyczaj do poziomu jakiejś mody, jakiejś czczej formalności, który w tej formie musi źle oddziaływać na moralną stronę dziecka. Nikt nie ma prawa zmuszania dziecka do wypełnienia tego zwyczaju, ponieważ byłoby

to zmuszeniem go do objawiania uczuć miłości, przywiązania, które przecież dobrowolnie zjawiać się powinny; im dziecko starsze, tem gorzej na nie to oddziaływa, przyzwyczajając je do kłamstwa i obłudy. Zwyczaju obdarowywania nie należy zupełnie odrzucać, jest on jednak pod względem pedagogicznym bardzo trudny do przeprowadzenia. Najprzód, korzyści, jakie z tego płyną, są natury bardzo problematycznej. Obdarowywujący rzadko bardzo wie dobrze, co dać, aby być w zgodzie i ze swemi środkami materyalnemi, i z gustem i wymaganiami obdarowanego; najczęściej trafia się, że dajemy rzecz, którą obdarowany już posiada, albo też otrzymuje przedmiot, który nie przedstawia bądź sam przez się, bądź dla niego żadnej wartości.

Przytem i moralna strona zwyczaju rzadko kiedy ma jakieś znaczenie; bardzo dużo dzieci, z powodu szczególnych okoliczności rodzinnych, stosunków, znajomości i t. p., zmuszane są do obdarowywania osób, do których żadnej specjalnej sympatii nie czują, w każdym razie nie tak wielkiej, aby je skłonić do ponoszenia na ich korzyść materyalnych ofiar: rzecz prosta, że takie wypadki wyrabiają w dziecku obłudę, nieszczerłość, jest to pogwałcenie jego uczuć, zmuszanie go do robienia tego, czego robić nie czuje potrzeby.

Zwyczaj dawania upominków, rozumnie uprawiany, może jednak oddać dziecku korzyść: miano-

wicie wyrabia w darującym uczucia humanitarne, uczy go nie krępować się ze swemi sympatjami i antypatjami, zwalcza egoizm, budząc w obdarowanym uczucie wdzięczności. Tymczasem zwykle serce darującego nie jest wolne od egoizmu: darując coś, dziecko myśli o podarku, który w swoim czasie od obdarowanego otrzyma, a jeżeli jego nadzieje się nie spełnią, tamten nic wzamian nie da, mówi: „już mu nic więcej nie podaruję;“ toż samo w większości wypadków wdzięczność kończy się jedynie na słowach. Obecny zwyczaj, stosowany jak zwykle, nie jest w stanie zacieśnić węzłów miłości, przyjaźni, uwolnić dziecko od egoizmu, interesowności, przyuczyć do uczuć wdzięczności. Dlatego też unikać należy wszelkich ceremonialnych podarunków, raczej prowadzić dziecko tak, aby jeżeli już coś daje, dawało samo, z własnej chęci i inicjatywy, nie we wskazanym dniu, wskazanej osobie, ale wówczas, kiedy serce jego poczuje potrzebę, kiedy akt ten jest wyrazem sympatii lub szczerej wdzięczności.

XXXVI. Pensjonaty.

Był czas, kiedy pensjonaty, szczególnie dla chłopców, były nietylko bardzo obsyłane, ale stanowiły zarazem główne źródło zdrowego postępu

w kwestyi racjonalnego nauczania, mogły być uważane w rzeczywistości jako miejsce kształcenia dzieci. W Szwajcaryi, w Anglii, Francyi, Niemczech, wszędzie w tym kierunku zebrano dość obfite owoce.

Potem nastąpiła znowu epoka, w której stało się modą zakładanie pensyonatów, ponieważ bardzo często udawało się w ten sposób zgarnąć do kieszeni dość grube pieniądze. I te czasy minęły; obecnie liczba pensyonatów, które cośkolwiek rzeczywiście dobrego robią, we wszystkich państwach uległa zmniejszeniu. Im więcej sprawa nauczania przechodzi pod opiekę państwa, tem oświata tańszą się staje, tem większa ilość biednych może z niej korzystać. Wreszcie i bogatsi przekonali się, że lepiej jest posyłać dzieci do szkół publicznych, aniżeli umieszczać je w drogich i wątpliwej wartości pensyonatach. Nawet książęta z domów panujących umieszczani bywają w tego rodzaju zakładach, narówni z synami zwykłych obywateli.

Szkoda jednak, że dobre pensyonaty utrzymać się obecnie nie mogą; przyczyna leży nietylko w tem, że szkoły publiczne robią konkurencyę, dając naukę dobrą i tanio, ale że są takie prywatne zakłady, które niemożliwie wyzyskują publiczność, każąc sobie za nie drogo płacić, często nawet zamiast pożytku przynoszą dziecku szkodę. W ten

sposób dobre, dobrze urządzone pensyonaty muszą cierpieć za nieswoje błędy. Z tego szkodę ponosi nietylko dziecko, ale i rodzina, a w dalszym ciągu i całe społeczeństwo.

Niema kwestyi, że w każdym kraju znajdziemy pewną ilość dobrych pensyonatów męzkich—tu więcej, tam mniej; nie można jednak powiedzieć, gdzie są najlepsze, a to dlatego, że nie chodzi tu tylko o nauczanie i ogólne kształcenie, ale o wychowanie w bliższem tego słowa znaczeniu, gdzie wchodzi takie rzeczy, jak kwestya dobroci jedzenia, względy zdrowotności, swoboda, rozwój samodzielności i t. p.,—wymagania te ani powszechnie, ani też wszędzie w jednakowym stopniu nie są wypełniane.

Również żaden kraj nie jest wolny od pensyonatów, założonych przez nauczycieli, adwokatów, kupców i t. p., jedynie w celach spekulacyjnych, z zamiarem zarobienia pieniędzy.

Dlatego też nie oddawaj twego syna na pierwszą lepszą pensję, nie wierz ani reklamom, po większej części płatnym, ani opinii, niezawsze zasłużonej. Oddając dziecko, patrz nietylko na to, czy szkoła ma dobrych nauczycieli, czy program wykładów podoba ci się, czy nie, ale czy znajdzie ono tam zdrowe i wygodne pomieszczenie, czy dobrze się będzie odżywiać,—bo inaczej stać się może, że posławszy zdrowego chłopca, odbierzesz go może

bardzo uczonym, ale chorym, niebędącym w stanie wskutek braku sił zużytkować tej nauki, którą mu szkoła dała.

Bardzo dużo rodziców, szczególnie zamieszkających po wsiach i miasteczkach, gdzie niema szkół, gimnazyów, zmuszeni są wysyłać swe dzieci do odległych miast i umieszczać „na stancyi“ bądź u krewnych, bądź wprost u osób obcych.

W drugim wypadku, kiedy rodzice nie posiadają w mieście ani krewnych, ani bliższych znajomych, którzyby potrafili serdeczniej zająć się dzieckiem, roztoczyć nad niem rodzicielską opiekę, chociaż częściowo zastąpić ich własne kółko rodzinne, kwestya wyszukania odpowiedniej stancyi nie jest rzeczą łatwą, przedstawia bardzo wiele ryzyka.

Rodzice nie posiadają żadnych stosunków w mieście, nikogo nie znają—wypadek najgorszy; wówczas uciekają się do ogłoszeń w gazetach i wybierają miejsce na chybił trafił; albo też spuszczają się na opinię jakiegoś ucznia, który chwali tę lub ową stancję, na której stał, niestety niezawsze powodując się rzeczywistemi jej zaletami, częściej chwali dla powodów, dla których właśnie nie powinniśmy tam swego dziecka umieszczać. Jak się takie stancye przedstawiają? Najlepiej jeszcze u zamiłowanych, rutynowanych pedagogów, którzy kwestyi wychowania dzieci nie traktują

jedynie z punktu widzenia materyalnych korzyści. W każdym razie „stancya“ jest to może konieczne urządzenie, ale nie powiem, aby było dobrem, przyjemnem dla tych, którzy są zmuszeni do korzystania z niej: jest to raczej zło konieczne—i dobrze, aby go wcale nie było.

W miastach prowincjonalnych osobami, utrzymującymi uczniów na stancyi, są po większej części jacyś zamożniejsi trochę rzemieślnicy, drobniejsi właściciele domów, różne wdowy, stare panny, dla których uczniowie stanowią jeżeli nie jedyne to w każdym razie poważne źródło dochodów. Są to zwykle osoby, nieposiadające ani czasu, ani zdolności do prowadzenia powierzonych im dzieci. Jeżeli racjonalne metody kształcenia niezbyt często uwzględniane są przez rodziców, nawet inteligentnych, to cóż dopiero mówić o ludziach zupełnie obcych, którzy interesują się wychowancami tylko o tyle, aby ich nie stracić, aby nie pozbawić się tego, często bardzo obfitego źródła zarobku. Ci utrzymujący stancye są to zwykle typy, naogół przez młodzież źle wspominane, typy, które wrażliwszy się silnie w pamięć za czasów dzieciństwa, nie zapominają się już nigdy; wspomnienia o nich, o przebywaniu w ich domu, posiadają w sobie silniej lub słabiej wyrażoną nutę antypatyi. Tu jakaś uboga wdowa, obdarzona kilkorgiem własnych dzieci, przyjmuje uczni; własne dzieci źle chowa,

cóż dopiero obce! Tu jakiś kupiec lub rzemieślnik ma wolny pokój, chytrą żonę, więc trzyma uczni na stancyi; sam pracuje od rana do nocy, nie troszcząc się wcale, co robią jego wychowawcy: ci tymczasem palą papierosy, grają w karty po całych dniach, chodzą gdzie im się podoba, biorą klucz z sobą, przychodzą późno, Bóg wie gdzie noc spędziwszy. „Gospodarz“ musi cicho siedzieć, bo obawia się stracić pensyonarzy; często bardzo kontent jest z tego, ponieważ przypominają mu oni dawne czasy, jego młode lata, które także spędził w knajpkach, na grubych, ordynarnych przyjemnościach i rozrywkach. Uczniowie, rozumie się, chwalą przed rodzicami i znajomymi takie „stancye,“ w ładnych barwach malują dobroć, łagodność gospodarza, umiejętne obchodzenie się z pensyonarzami rodzice wierzą temu, rezultatem czego jest pozostawienie dzieci na poprzedniej „stancyi,“ a za tem idzie jeszcze większe ich zepsucie. Kto z nas nie zna takich stancyj? Czyż to nie smutne pozwalać dzieciom rozwijać się, żyć w tak zepsutej moralnej atmosferze? Cóż dziwnego, że wszystko, co dobrego dziecko z domu i ze szkoły wyniosło, ulega spaczeniu i zepsuciu?

Uważam, że wogóle całe to urządzenie pomieszczania dzieci u obcych jest źródłem zepsucia, że w ogromnej większości wypadków nic dobrego z tego się nie rodzi. Z takich stancyj zwykle dzieci

przedwcześnie dojrzewają, zbyt wcześnie dowiadują się o wielu rzeczach, które jako brud przylepiają się do ich młodocianych dusz i zostają już potem na całe życie, jako pewnego rodzaju piętno, wyciśnięte na ich charakterze przez nienormalny tryb życia w młodości, przez brak opieki rodzicielskiej, atmosfery rodzinnego ogniska, przez zbytnią, niezdrową swobodę w postępowaniu.

Dlatego też, oddając dziecko w obce ręce — jeżeli już inaczej nie można, — należy bardzo dobrze poznać dom, w którym dziecko ma żyć i rozwijać się, ludzi, wśród których żyć mu wypadnie, których naśladować będzie, biorąc i wady ich i zalety. Nie trzeba spuszczać się ani na opinię znajomych, ani tembardziej na zdanie samych pensjonarzy: lepiej poczekać, nie żałować trudu a nawet kosztów na wyszukanie odpowiedniego miejsca, zważywszy, że od trafności wyboru zależy przyszłe moralne i fizyczne zdrowie dziecka.

XXXVII. Wychowanie dziewcząt.

Obecne czasy, tak obfitujące w różnego rodzaju kwestye, traktując sprawę wychowania, miały na oku przeważnie chłopców; sprawą tą zajmowano się nietylko w kołach specjalistów pedagogów, ale

i wśród szerszej publiczności, ba, podnoszoną i roz-
bieraną była nawet w pismach codziennych, bru-
kowych.

Przy tej okoliczności zdarzyło się dość często
powtarzające się zjawisko: zajęto się jednym gorą-
co, zapominając jednocześnie o drugim; traktowa-
no o sprawie wychowania chłopców, pozostawiając
na stronie kwestyę wychowania dziewcząt.

W większości społeczeństw wychowanie dzie-
wcząt pozostało dotąd kopciuszkiem, traktowane
jest po macoszemu. Wprawdzie tu i owdzie zre-
organizowano szkoły żeńskie, w kwestyi jednak
wychowania—nie nauczania—zrobiono bardzo nie-
wiele, mniej, niż dla chłopców. Cała sprawa kręci
się obecnie około gimnazyów, szkół realnych, uni-
wersytetów, akademij, o wyborze środków utrzy-
mania, o karierze, słowem koło rzeczy, związanych
ze sprawą wychowania chłopców; tymczasem wy-
chowanie dziewcząt pozostaje poza obrębem tych
rozpraw i dyskusyj, pomimo tego, że wychowanie
kobiety, jako matki i przyszłej wychowawczyni
następnych pokoleń, jest sprawą bardzo wielkiej
wagi, jak dla rodziny, tak i społeczeństwa.

„Moja żona posiada wystarczające wykształ-
cenie, jest dobrze wychowaną—wtrąci tu niejeden
mąż; „wiem już sama, co robić, aby wychować
córkę na dobrą gospodynię“—powie matka. Z takich
odpowiedzi jedynie poznać można, jak mało jeszcze

świat męzki pojmuje sprawę głębszego, lepszego wychowania kobiety i jak mało waży sobie znaczenie tego dla siebie, rodziny i kraju; z tego widać, jak wiele jeszcze mamy takich kobiet, zupełnie zadowolonych z tego, co spotykają u siebie i u innych. Większość naszych t. z. kobiet inteligentnych nie stoi pod względem wykształcenia na tej wysokości, na jakiej siebie sama stawia ze względu na swą rolę żony i matki, wychowawczyni, nauczycielki, kierowniczeki młodego pokolenia; same kobiety nie starają się wznieść wyżej, ani mężczyźni chcą im w tem dopomagać; świadomie lub nieświadomie, mężczyźni uważają siebie za coś wyższego od kobiety, dla której wykształcenie ani potrzebne, ani stosowne. Nie mamy zamiaru dowodzić tu bezsensowności, bezpodstawności tego rodzaju dowodzeń, tembardziej, że spotykają się dość liczne wypadki, gdzie kobieta stanowczo przewyższa mężczyznę, zarówno pod względem siły umysłu, jak i charakteru.

Duszą i ogniskiem rodziny jest stanowczo matka. Każdy, kto inaczej sądzi i według tego postępuje, usuwa z pod kwestyi wychowania domowego dzieci najgłówniejszą jego podstawę: ani stosy książek, ani doskonali nauczyciele nicby nie poradzili, gdyby stanowisko matki w rodzinie zostało naraz opróżnione, gdyby w rodzinie nie było inteligentnej, kochającej istoty, trzymającej

w swych rękach wszystkie nitki, wiążące dziecko z domem, szkołą, światem.

Tysiące matek uczy swe córki mnóstwa rzeczy, których zrozumieć nawet nie są w stanie. Chciałyby zebrać owoce i kwiaty ze swego posiewu w czasie możliwie najkrótszym, zapominając jednak o tem, że ziemię trzeba naprzód uprawić, aby plon wydała; dopiero wówczas siać można z pewną nadzieją, że ziarno zakiełkuje, wzrośnie i wyda owoce. Są znowu matki, które na wszelką chęć rozszerzenia wiadomości, na wszelkie trudniejsze pytania córki odpowiadają: „tego nie rozumiesz,“ albo: „to ci nie jest potrzebne, boś dziewczynka,“ „to dla ciebie zatrudne“ i t. p. Wskutek tego dziewczynki otrzymują w szkole mnóstwo wiadomości, które szkodliwiej jeszcze oddziałują na nie, niż na silniejszy organizm chłopca; z drugiej strony najpilniejsze, najważniejsze potrzeby ich umysłu i serca, po większej części nieuwzględnione w suchej, surowej szkolnej nauce, wcale nie zostają zadowolone.

Nic nie szkodzi, jeżeli dziewczynka do siódmego roku czytać ani pisać nie umie, ale zato posiada więcej rozwinięte władze umysłowe, siłę sądu, wnioskowania. Właśnie wskutek tego, że wcześnie obarczamy dziewczęta wielkim balastem rzeczy pamięciowych, wyrastają z nich ograniczone, umysłowo słabe kobiety? W jakiż sposób mogą

z nich powstać dobre matki, t. j. rozumne wychowawczynie dzieci, kiedy same nie posiadają wszystkich tych przymiotów, które w rozwijające się potomstwo wszczepić trzeba?

Szkodliwa a ogólna metoda współczesnego wychowania dziewcząt polega właściwie na zaniebdaniu ogólnego rozwijania umysłu, a zastąpieniu tego mechanicznem pakowaniem do głowy różnego rodzaju naukowej tandety, na tłumieniu, osłabianiu sił umysłowych, wskutek czego w końcu dziewczynka staje się niezdolną do dłuższego, głębszego, więcej natężonego myślenia, pomijając już to, że dostarczana jej strawa naukowa nie nadaje się do podtrzymania życia duchowego, umysł nie ma się na czem oprzeć, nie ma wyjść z czego, jeżeli zechce sądzić lub przyswajać sobie nowe fakty, nowe zjawiska. Umysł, naszpikowany datami, cytatami, może nabyć pewnej powierzchownej błyskotliwości, nadającej się do prowadzenia kwadransowych rozmów w przerwach między jednym tańcem a drugim; zato wobec tysiąca zagadnień, kwestyj życia codziennego, kobieta stoi bezsilna, rozbija się o najbłahsze trudności, bo cały jej materiał naukowy, rozwinięta pamięć, na nic się nie przyda, bo samodzielnie myśleć trzeba, mieć własny sąd, umieć obserwować i z obserwacyj wyciągać wnioski.

Od niejakiego czasu dla wielu matek stało się koniecznością posyłanie córek jak można najwcześniej do szkół, szczególnie t. z. średnich; ogólnie sądzą, że, nie posyłając córek, wyrządzają im krzywdę, pozbawiając je wyższego wykształcenia. Rzecz prosta, że dopóki matki nie są do tego stopnia wykształcone, aby dać córkom to, czego one wymagać mogą, dopóty posyłanie do szkół publicznych jest rzeczywiście koniecznem. Jednakże obecnie nasze szkoły żeńskie bardzo nie odpowiadają wymaganiom pedagogii oraz świeższym poglądom na sprawę wykształcenia kobiet; są to instytucje, które w niedalekiej przyszłości ulegną prawdopodobnie gruntownym zmianom.

Już przeszły owe czasy, kiedy jedynym celem w wychowaniu dziewcząt było uczynienie z nich dobrych gospodyń. Obecnie już nawet w sferach mniej inteligentnych zaczyna utrwaląć się to przekonanie, że wykształcenie kobiety na sferze domowo-gospodarskiej kończyć się nie powinno; nawet w tych warstwach czują, że kobieta powinna otrzymać gruntowne, nawet w pewnych kierunkach specjalne wykształcenie, jeżeli godnie ma odpowiedzieć stanowisku kierowniczkich swych dzieci oraz szeregu spraw, dotyczących się gospodarstwa, domu, rodziny i t. p., jeżeli ma stanowić równą i godną współtowarzyszkę swego męża.

Wychowywanie dziewczynki na „praktyczną gospodynię“ nie powinno się odbywać kosztem jej serca i umysłu,—zarówno jak i wyższe wykształcenie kobiety nie powinno rugować zdolności do praktycznego życia. Żyjemy w czasach, w których kobiety winny być wychowywane tak, aby stanowiły nie ozdobę salonów, nie aby im trubadurowie pieśni śpiewali, a rycerze łamali sobie kopie i kości, ale aby były dobrymi żonami i matkami w całym tych słów znaczeniu, aby jednoczyły w sobie zarazem rozum, obszerne wiadomości, rozwinięty charakter, uczucia, wraz z szeregiem praktycznych wiadomości, z umiejętnością radzenia sobie w przewidywaniu codziennych trudów żywota.

Współczesne szkoły żeńskie dalekie są bardzo od tego, co już obecnie w kwestyi wychowania dziewcząt mogło być zrobione. Dlatego też matki wcale nie powinny się spuszczać na to, co ich córka ze szkoły odbiera, a przeciwnie—powinny się starać dopełniać w domu systematycznie te braki, które szkoła w wychowaniu dziewcząt pozostawia.

XXXVIII. Samodzielność u dziewcząt.

Bardzo to dziwne, jak mało mamy dziewczynek, posiadających zdrową samodzielność. To, co u chłopców uważanem jest za jeden z najważniej-

szych punktów w wychowaniu, jedną z najważniejszych stron charakteru,—to u dziewcząt jest zupełnie zaniedbanem. Tymczasem dziewczynka powinna się rozwijać równie swobodnie, nieskrępowana żadnemi sztucznemi powijakami moralnemi.

Jak rzadkie to jednak wypadki! Pozbawiają ją pewnych nauk i pewnych sztuk, jak gdyby dla kobiety przeznaczonym był z góry zakres jej wiadomości, jak gdyby to niejako z naturą jej miało być związanem. Wiążą ją w życiu towarzyskiem formułkami i przepisami; mężczyzna się żeni, kobietę *wydają* za męża, wybierają jej przyszłego towarzysza życia; tymczasem właśnie w życiu, w wyborze męża, samodzielność w sądzeniu, postępowaniu, jedynie może być jawną rękojmią szczęścia. Niestety, niema książek, któreby nauczyły, jak samodzielność rozwijać należy; każda jednak matka, świadoma celu, znajdzie odpowiednią drogę do jego osiągnięcia. Zaniedbanie samodzielności odbija się i w sposobie przyjmowania przez nie wiadomości naukowych, w sposobie pojmowania, uczenia się np. literatury lub nauk przyrodniczych; w pierwszej wystarcza znać na pamięć treść, fabułę ważniejszych utworów, następnie literacką ich ocenę, bez zaznajomienia się z samem dziełem,—w drugich szereg nazwisk poklasyfikowanych, bez znajomości przedmiotów, które one oznaczają. Doświadczenie wykazało, że tam, gdzie dbano o wyrobienie samo-

dzielności w dziewczętach, tam o t. z. kwestyi kobiecej tak wiele nie mówiono; kobieta, zyskawszy silniejszy umysł i charakter, odebrawszy gruntowniejsze wykształcenie, sama przez się, siłą swej wyższości duchowej, zajęła odpowiednie stanowisko w społeczeństwie, zyskała znaczenie oraz środki zapewnienia sobie bytu bez oglądania się na męża lub rodziców.

Natura dała chłopcu i dziewczynce równe siły serca i umysłu; dopóty, dopóki zdanie to nie będzie stanowczo obalone, niechaj obydwie płcie otrzymują jednakowe wychowanie, niechaj im dają jednakowe środki do pracy około zapewnienia sobie bytu, wywalczenia stanowiska w życiu. Jeżeli nie zrobią tego, kwestya odrębności lub równości obydwu płci pod względem duchowym i fizycznym nigdy nie zostanie na pewno zdecydowaną.

Dziwnem jest także, że matki, które mogą swobodnie poświęcić się wychowaniu i wykształceniu swych córek, po większej części wcale tego nie robią. Chłopiec w wyższych zakładach naukowych znajduje obfity materiał naukowy, z kąd pełną dłońią czerpać go może; dziewczynka, przeciwnie, tylko przez krótki czas znajduje się wobec źródła prawdziwej wiedzy, raczej przesunie się koło niego, niż coś z niego zaczerpnie. Ponieważ kobieta uważana jest za niższą od mężczyzny, więc też sędzę, że i sfera jej wykształcenia, zakres

i ilość wiadomości powinny być szczuplejsze, mniejsze: ztąd też kobieta, któraby nawet chciała jakiejś głębszej nauki, przy obecnych stosunkach bez wielkich ofiar i wysiłków zdobyć jej nie może.

Uważam, że dziewczęta powinny się uczyć do ośmnastego, a w pewnych wypadkach i do dwudziestego roku. Niema kwestyi, że kobieta w panieńskich latach nie może być w zupełności przygotowaną do spełnienia przyszłych swych obowiązków; same nawet gospodarskie zajęcia kobiety zamężnej różnią się od tych, które praktykuje córka w domu rodzicielskim. Już ta okoliczność stanowi wystarczający powód, aby nie kłaść wyłącznego nacisku na zajęcia gospodarskie przy kształceniu, przygotowywaniu kobiet do ich przyszłego życia. Przytem dziewczynka ogólniej wykształcona, teoretycznie zapoznana z kwestyą higieny, z naukami przyrodniczymi, posiadająca znajomość matematyki, daleko prędzej i dokładniej obznajmi się z całym aparatem gospodarskim, aniżeli panna, którą tylko ze stroną praktyczną obznajmiano i ta wnosi do domu zwyczaje, sposoby, jakie widziała, jakich się wyuczyła w domu rodzicielskim, nie umiając ich zmienić, przystosować się do nowych warunków swego nowego życia, które bardzo często jest inne, niż tamto. Oto przykład: W pewnym średnio zamożnym domu było sześć córek. Co dziesięć dni każda z nich kolejno obejmowała gospodarstwo,

obznajmiała się z cenami, uczyła się towaroznawstwa, prowadziła książki rachunkowe, trzymała kasę, chodziła do miasta robić zakupy, pracowała w kuchni, spiżarni i t. p. i t. p. Wszystkie sześć córek wyszły za mąż, każda z nich okazała się doskonałą gospodynią, pomimo tego, że zajmowała się gospodarstwem tylko dziesięć dni na każde dwa miesiące. Jednak właśnie dzięki takiemu urządzeniu panny otrzymały wyższe wykształcenie, które znowu sprawiło, że nabycie praktyki gospodarskiej przyszło im z większą łatwością.

Jest zwyczaj—bo czem innem nazwać tego nie można—przeładowywania dziewczynek różnego rodzaju ręcznymi robótkami, jak: haftowaniem, wyszywaniem, robieniem szydełkiem, na drutach i t. p. Pytanie: do czego mogą służyć te wielkie ilości wyrobów kobiecych? Czyż rzeczywiście wyszycie na chusteczce od nosa jakiegoś skomplikowanego, wielkiego monogramu jest tak ważne i tak potrzebne, aby dziewczynka miała tracić na to tyle czasu i tyle zdrowia? Ręczne wyroby kobiece, wogóle ręczne wyroby w tym kierunku w ostatnich czasach bardzo straciły na znaczeniu w gospodarstwie domowym, zastąpione przez tańsze znacznie a równie dobre wyroby maszynowe, fabryczne. Tymczasem, gdyby te robótki pochłaniały dziennie tylko jedną godzinę, to w sumie stanowiłoby to ni mniej ni więcej jak czterdzieści dni roboczych na rok!

Czyż to nie zawiele na tak błahe rzeczy? Czyż czas ten nie mógłby być inaczej, lepiej zużytkowany?

Dalej, wiadomo, że dziewczynki daleko częściej, łatwiej zapadają na zdrowiu, aniżeli chłopcy. Okoliczność ta jest tem smutniejszą, że taka chorowitość w końcu odbija się na przyszłym pokoleniu, dając potomstwo słabe, często ułomne. Ogólna wążłość sił fizycznych, słabe nerwy, choroby nerwowe, blednica, niski wzrost, wązka pierś, skrzywienie kręgosłupa i t. p. są to kategorycznie bardzo częste wypadki wśród dzieci płci żeńskiej. Przyczyna leży nietylko w słabszej organizacyi dziewczynki, ale i w zaniedbaniu strony fizycznej w wychowaniu, w nierozwijaniu zdrowia i sił cielesnych, szczególnie w najważniejszych latach, poczynając od szóstego do piętnastego roku. Podczas gdy chłopiec swobodnie biega, skacze, gimnastkuje się, bawi się w piłkę z kolegami, czasem się nawet pobije z nimi,—dziewczynka pozbawioną jest tego wszystkiego, bądź ze względów konwencyonalnych przepisów przyzwoitości: „panience nie wypada,“ bądź też wskutek niewiadomości lub małej dbałości rodziców o rozwój sił fizycznych córki. Dziewczynka pół dnia przepędza w przepełnionych, dusznych klasach; potem następują kilkogodzinne książkowe zajęcia w domu. Jedyną higieniczną rozrywką jest spacer. Tymczasem, w braku innych

środków, mamy gimnastykę, przy pomocy której dziewczynka może wzmacniać swe siły, normalnie rozwijać się fizycznie. Gimnastyka wzmacnia mięśnie, podnosi ogólny, zewnętrzny wygląd ciała, przyspiesza oddychanie i krwi krążenie, nadaje ruchom pewność i elastyczność, sprzyja harmonijnemu rozwojowi członków oraz całego ciała. Wzmacniając systemat mięśniowy, wzmacniamy zarazem i nerwy, zaostrzamy zmysły; wraz z rozwojem zdrowia, siły nerwów, potęguje się i moralna strona człowieka—duch i charakter krzepną, w myśl łacińskiego przysłowia: *sana mens in corpore sano*. Delikatniejszy system kostny, słabsza siła mięśni kobiecego organizmu wcale nie są przeszkodą w stosowaniu gimnastyki, chociaż muszą byćbrane pod uwagę. Pod wpływem gimnastyki dziewczęta blade, słabowite, nerwowe, przedwcześnie zgarbione, z zepsutym aparatem trawienia, nabierają rumieńców, sił, zdrowia; doświadczenie lekarzy wykazało, że gimnastyka, wcześniej—od jakiegoś siódmego roku — i systematycznie stosowana, skutecznie zapobiegała już nieraz rozwinięciu się pewnych zboczeń i ułomności, nawet dziedzicznych.

Wychowanie powinno robić z naszych córek nie istoty słabe, krótkowzroczne, bez samodzielności i znajomości świata, ale przeciwnie: winno nam dać kobiety silne, z wyrobionym umysłem i charakterem, samodzielne, obeznane ze światem

i życiem tak, jak racjonalnie chowani chłopcy. Społeczeństwo wymaga nie „gospodyń“ w najniższym tego słowa znaczeniu, nie „aniołków“ do ozdoby salonów lub osłodzenia (?) życia mężowi ale kobiet, które byłyby zdolne uszczęśliwić siebie i męża, wychować dzieci na ludzi zdrowych i pożytecznych społeczeństwu, a same mogły znaleźć w tem wszystkiem swój cel i szczęście.

XXXIX. Pensye żeńskie.

Zaznaczyliśmy to już kilka razy, że dzisiejszej rodziny i wychowania, które ona daje, wcale nie można uważać za wystarczające, za środek, który byłby wystarczającym do wykształcenia dziecka. Powód leży w tem, że dzisiejsze matki w większości wypadków nie mogą dać swoim dzieciom potrzebnych im naukowych wiadomości i w ten sposób nie mogą zastąpić im szkolnej nauki.

Nie chcę wątpić, że znajdzie się tysiące takich matek, które, być może, potrafiłyby dać córkom wykształcenie zarówno naukowe, jak moralne. Jednakże *módz* niezawsze idzie w parze z *chcieć*; z drugiej strony, sama *chęć* nie wystarcza — potrzeba do tego wielu jeszcze ważnych warunków. Jak dużo jest takich wypadków, gdzie, pomimo do-

brej woli—wskutek choroby, czy pracy zarobkowej, czy innych jakich poważnych względów—rodzice nie są w stanie wychować i wykształcić córki w domu! Czyż niema takich stosunków rodzinnych, przy których lepiej jest, jeżeli córka chowa się i uczy poza domem?

Przypuśćmy jednak, że matka jest w możności wychowania córki u siebie w domu, że potrafi dać jej gruntowną naukę i wykształcenie—to czyż przy obecnym stanie ekonomicznym można uważać zadanie za wypełnione? Czyż nie występuje tu kwestya zapewnienia sobie bytu na przyszłość, zdobycia chlebobajnego fachu, aby nie być nikomu ciężarem w wypadku, jeżeli się za mąż nie wyjdzie? Czyż mało takich kobiet, które, nie otrzymawszy fachowego zajęcia, giną, lub wloką nędzny żywot na łasce dalszej rodziny? A czyż matka, dom, może dać córce jakiś fach w rękę, do którego trzeba i specjalnej teoretycznej nauki, połączonej z rozległą, różnostronną praktyką, której, rzecz prosta, w domu znaleźć nie można? Dlatego też trzeba dziewczynki, jak i chłopców, posyłać do szkół i zakładów publicznych, urządzonych kosztem państwa, z kosztownemi środkami i pomocami naukowemi. Pytanie teraz: czy lepiej jest oddawać dziewczynki na pensję ze wszystkim, czy też trzymać je w domu, a tylko posyłać do szkoły?

Internat dla dziewcząt jest to coś zupełnie różnego od internatu męskiego. Jeżeli często przemawiano przeciwko „stancyom,” „pensyonatom“ dla chłopców, to tembardziej można też samo powiedzieć o odpowiednich zakładach dla dziewcząt. Doświadczenie uczy, że pensyonarki, oddane „ze wszystkim“ na pensyę, nadzwyczaj oddalają się od zadań praktycznego życia, ku czemu jednak skierowaną jest cała ich nauka, która ma służyć do pomocy w życiu, w radzeniu sobie na tym świecie. Panienki na takiej pensyi rzadko mają styczność z zajęciami gospodarskimi, rzadko załatwiają sobie jakieś sprawunki: wszystko robi za nich służba na pensyi, albo rodzice przysyłają im w stanie gotowym wszystko, czego potrzebują. Tymczasem dziewczynka, będąc w domu, powoli uczy się różnych rzeczy z życia praktycznego, z gospodarstwa, uczy się obcować z ludźmi, poznawać się na nich; słowem, kiedy dorośnie, nie jest taką gąską, jak te, które wychodzą z pensyonatu, gdzie zostały ze wszystkim umieszczone.

Następnie jest jeszcze wzgląd, przemawiający przeciwko internatom żeńskim w szczególności. Mianowicie na takiej pensyi zmuszone są żyć z sobą, często bardzo blisko, osobniki bardzo różne, zarówno co do charakteru, jak i finansowego, towarzyskiego i społecznego położenia. Spotyka się

tam razem i córki mieszczan i z arystokracji, i biedne i bogate, i córki ojców ze stanowiskiem i zwykłych śmiertelników; bardzo naturalnym skutkiem takiego pomieszania są ciągle dysharmonie między pensyonarkami, tworzenie się kółek, klik, wrogo względem siebie usposobionych, a opartych na różnicach powierzchownych, o których tak młode dzieci wiedzieć właściwie nie powinny. To wyraża kastowość, wzajemną nietolerancję, która następnie odbija się w życiu.

Są jednak wypadki, i to dość częste, że rodzice, radzi nieradzi, np. mieszkając na wsi lub w małym miasteczku, zmuszeni są wysłać dziecko z domu, oddać je obcym, by w ten sposób dać mu możliwość kształcenia się, uczęszczania do szkoły.

Tu znowu jest w czem wybierać. Pytanie: co lepiej—czy oddać dziewczynkę ze wszystkim na pensję, czy też umieścić ją w domu obcym, lub u rodziny albo znajomych?

To, cośmy powiedzieli o stancyach dla chłopców, z większą jeszcze pewnością można zastosować i do dziewczynek. Trafiają się domy, w których można pomieścić córkę bez szkody dla jej fizycznego i moralnego zdrowia. W większości jednak wypadków takie stancye nie wytrzymują krytyki i dlatego też w takich wątpliwych wypadkach daleko już lepiej oddać dziewczynkę ze wszystkim na pensję. Do prywatnego domu oddaje

się córkę tylko wówczas, kiedy jesteśmy zupełnie pewni, że znajdzie tam i opiekę, i rozumne, pedagogiczne prowadzenie, słowem, że jest pewność, iż nowy ten dom zastąpi jej rodzicielski, że córka będzie stanowić rzeczywiście jednego z członków rodziny. Rodzina i jej ciepło bardziej potrzebna dziewczęciu, niż chłopakowi — a tej żadna inna instytucja zastąpić nie jest w stanie.

Są pensyonaty żeńskie, utrzymujące bardzo małą ilość pensyonarek, przygotowując je bądź do szkół publicznych, bądź też dając wstępne wiadomości ze sztuki lub rzemiosł. Są to także internaty, ale są lepsze od „pensyj“ z następujących powodów:

Najprzód, ponieważ liczba pensyonarek jest mniejsza, dlatego też życie więcej zbliża się do rodzinnego. Wskutek tego panienki nie żyją zdala od praktycznego życia oraz związanych z niem zajęć i kwestyj — życie w takim zakładzie więcej ma styczności z szerszem życiem publicznem, nie jest tak zamknięte w sobie. Dalej, w tak szczupłym kółku nie może być mowy o duchu kastowości; pensyonarki uważają się wzajemnie jako rodzeństwo, jako krewni, zżywają się blisko z sobą. Do tego dołącza się jeszcze i ta okoliczność, że, wskutek małej ilości pensyonarek, nauczycielka, czy też przełożona zakładu, ma możność bliższego poznania każdej i odpowiedniego stosowania metod naucza-

nia, zależnie od jej indywidualności. Zatem wychowanie nie ogranicza się na daniu pewnych naukowych lub praktycznych wiadomości, ale także i na kształceniu charakteru i uczucia, zmysłu estetycznego i t. p. powierzonych panienek.

Przytem niema tu tak silnego rygoru, jak na pensjach, posiadających większą ilość pensyonarek; indywidualność może się tu swobodniej rozwinąć, dana dziewczynka zyskuje na samodzielności, czynniku bardzo ważnym w życiu, tembardziej dla tych, które jedynie na swoje własne siły chcą lub mają liczyć.

XL. Podróż.

Podróż stały się modą; niestety, nie wszyscy podróżują, aby się czegoś nauczyć, aby nabyć nowych wrażeń, szerszego na świat poglądu. Jest dużo, bardzo dużo takich, którzy jeżdżą za granicę niewiadomo po co, dlatego, że to robią inni, aby móżdż następnie powiedzieć: byłem lub byłam w Paryżu, Wenecyi, Londynie i t. d.

Pedagogiczne znaczenie podróży dla młodzieży jest przez wielu ludzi uznawane, ale, niestety, bardzo rzadko kto stara się to znaczenie odpowiednio

zużytkować. Dziecku, któreby chciało gdzieś pojechać, mówią, że pojedzie, jak będzie starsze; kiedy zaś jest starszem, mówią mu, że wyślą go, ale jak będzie już zarabiał na siebie. Mówią to tacy rodzice, którzy mają dość środków do wysłania dzieci za granicę, lub odbywania z nimi większych lub mniejszych podróży. Jest to nierozumnem. W podróży dziecko nabywa całego szeregu wrażeń, wiadomości, uczy się żyć samodzielnie, radzić sobie w trudnych okolicznościach, które się w takiej podróży zdarzają. Wielu jest takich, którzy wcale nie uznają pożytku, jaki odnoszą dzieci z takich wycieczek, przejażdżek lub małych podróży; innym wydaje się to kosztownem; inni znowu wymawiają się brakiem czasu. Tymczasem podróże są jednym z poważniejszych środków kształcenia zarówno ducha jak i ciała, umysłu jak i charakteru. Nie chodzi tu rzeczywiście o jakieś wielkie, długie i kosztowne podróże. Wycieczka na wieś, przejażdżka koleją jedną lub dwie stacye za miasto, do lasu, na pole, wogóle do jakiegoś miejsca dziecku jeszcze nieznanego, są równie, a nawet bardziej korzystne, aniżeli przejażdżki do wielkich miast za granicę, gdzie dziecko jest tylko bardzo niedogodnym bagażem, który rodzice starają się umieścić tak, aby im najmniej przeszkadzał—więc oddają je do znajomych, lub zostawiają z niańką, boną lub nauczycielem w hotelu.

Dziecko, przejechawszy kilka stacyj kolejną, następnie przeszedłszy się po lesie, nabiegawszy się po polach, łąkach, zyskuje na zdrowiu, nabywa mnóstwo wrażeń, wziętych wprost z natury. Rozumie się, i tu rozumne kierownictwo jest warunkiem bardzo pożądanym—pod okiem ojca lub matki, którzy baczą na to, co i jak robi ich dziecko, zyskuje ono więcej na zbliżeniu się do natury, uczy się, poznaje więcej, aniżeli puszczone samopas, bez żadnego kierownictwa.

Tak samo, jak i gdzieindziej, takie wycieczki muszą być robione metodycznie, z pewnym planem, poczynając od łatwiejszego, postępując stopniowo do rzeczy coraz trudniejszych, od znajomego do nieznanego.

Podróże dzieci powinny być uważane jako środek kształcenia i odpowiednio do tego traktowane. Niema takich miejscowości, gdzieby one nie mogły mieć miejsca. Podróżować można nietylko kolejną, ale i piechotą—i kto wie, czy ten ostatni sposób nie jest o wiele lepszym środkiem pedagogicznym. Wogóle, chcąc z podróży korzyść osiągnąć, nie trzeba jeździć z wielkimi wygodami, ponieważ taka podróż, zamiast czegoś nauczyć, wzmocnić ducha i ciało, przeciwnie—jeszcze bardziej je osłabia, zamiast zaś spodziewanych widoków i nowych wrażeń widzimy tylko kłaniających się lokai, służących hotelowych: te fraki, te poduszki

wyściełane meble, wspaniałe urządzone apartamenty zagranicznych hoteli zasłaniają świat, nie dopuszczają rzeczywiście nowych wrażeń, idących od świata, od natury.

Przez metodyczne podróżowanie można nabyć spory zbiór wrażeń i faktów, nauczyć się obserwować i sądzić. Dalej, taka podróż jest może najskuteczniejszym środkiem wykorzenienia mnóstwa przesądów, szczególniejszych tyczących się kastowości; podróżnik, rad nie rad, musi się zetknąć z różnemi stanami ludzi, z biednymi i bogatymi, uczonymi i prostaczkami; dziecko poznaje ich bliżej i przekonuje się, że człowieka sądzić należy poza kwestyą: kto go rodzi, do jakiej warstwy społecznej należy; w podróży najlepiej się poznaje, że wartość człowieka zależy od jego rzeczywistych, osobistych zalet, a nie urodzenia lub majątku.

Dlatego też żadna matka podróży, wycieczek z dziećmi zaniedbywać nie powinna: jeden dzień w ten sposób spędzony na polu, czy w bryczce, czy w wagonie kolei żelaznej, czy w obcej wsi lub mieście, daleko więcej korzyści dziecku przyniesie, aniżeli dziesięć dni ślęczenia nad książką, aniżeli przeczytanie paru sztuk jakichś podróży pisanych.

XLI. Muzeum domowe.

Obecnie coraz to więcej spotyka się takich dziewcząt i chłopców, którzy z zamiłowaniem zajmują się naukami przyrodzonymi. Liczba ich byłaby z pewnością większą, gdyby nauka przyrody nie ograniczała się tylko na chemii i fizyce, jak to u nas najczęściej ma miejsce, ale włączała także zoologię, botanikę i mineralogię; takie wyłączenie tych nauk z programu pociąga za sobą wiele złych skutków, do liczby których zaliczyć należy oddalanie się ludzi od natury, małą jej znajomość.

Wszędzie jednak już są i tacy, którzy w studyowaniu natury znajdują dzielny środek kształcenia i uszlachetniania. Większość z nich, niestety, nie zajmuje się naturą jako jedną całością, ale wybiera sobie jedną jej częśćkę: jeden zbiera owady, drugi rośliny, trzeci ogranicza się tylko na kwiatkach i motylach.

Zachodzi pytanie: czy takie jednostronne zajmowanie się naturą przynosi rzeczywiście korzyść, czy zbieranie kwiatków lub motyli nie jest prostą zabawką? Jeżeli tak, to jakie są inne środki ku temu, któreby zapoznawały dzieci z ogółem nauk przyrodniczych, dawały im nietylko chwilową rozrywkę, ale korzyść rzeczywistą?

Tak samo jak i w innych naukach, tak i w naukach przyrodzonych znajomość przedmiotu

nie polega na opychaniu się, na samem pamięciowym zatrzymywaniu możliwie wielkiej ilości pojedynczych faktów. Człowiek, zajmujący się jedynie zbieraniem np. much lub nawet wogóle owadów, a niemający pojęcia o zwierzętach ssących, o roślinach, minerałach, chemii, fizyce i t. p., jest to sobie zwykły zbieracz, w zasadzie niczem się nieróżniący od zbieracza starych guzików, marek: nabywa wiadomości w pewnym, ściśle określonym kierunku, wiadomości specjalnych. Tymczasem znajomość nauki jakiejś, a więc i nauk przyrodzonych, to przedewszystkiem zapoznanie się z prawami ogólnymi. Te prawa, jak i każde inne, opierają się zwykle na całym szeregu faktów, wziętych z całego obszaru nauk przyrodzonych: dlatego też, chcąc je poznać, należy, obrawszy sobie nawet jakąś specjalność, zaznajamiać się z faktami z ogółu nauk przyrodniczych, z faktami, na których te prawa ogólne zostały oparte. Nie można dokładnie zrozumieć, co to jest np. trawienie, wytłumaczyć sobie szeregu przyrządów anatomicznych, spotykanych u owadów, jeżeli się zna jedynie tylko te owady; a do zrozumienia sprawy trawienia potrzebne są i wiadomości z chemii, z fizjologii, następnie znajomość budowy przewodu pokarmowego u innych zwierząt. Wówczas jedynie możemy dobrze zrozumieć narządy trawienia owadów, których zbieraniem specjalnie się zajmujemy. Zatem nauki przy-

rodzone powinny być traktowane w całości i nigdy, a przynajmniej przy zapoznawaniu się z niemi, nie należy jakiegś ich części wyłączać i nią się tylko zajmować, pozostawiając inne na stronie. Nie chodzi tu, rozumie się, o rozczochraną różnostronność, przerzucającą się co chwila z przedmiotu na przedmiot: dobrze jest obrać sobie jedną gałąź nauk przyrodzonych, np. botanikę, ale nie trzeba zapominać o innych, bo inaczej nasze wiadomości z tejże botaniki będą bardzo wąskie, a co gorsza—wielu rzeczy wprost nie będziemy w stanie zrozumieć. Takie traktowanie nauki daje zwykle ludzi jednostronnych, z wązkim poglądem na świat, przywiązujących nadzwyczajną wagę do drobnostek, bez surowego, krytycznego poglądu na świat i jego zjawiska.

Takie jednostronne zbiory przyrodnicze źle działają na dzieci w sensie pedagogicznym—nie kształcą. Dziecko zajmuje się zbieraniem roślin zupełnie mechanicznie; cała rzecz sprowadza się do kwestyi liczenia ilości pręcików i słupków, płatków kielicha i korony, określenia jakości zawiązku lub określenia łap, wąsów u owadów, lub ich wyglądu ogólnego. Wreszcie roślina lub owad staje się przedmiotem, na który zbieracz patrzy tylko jedynie z punktu widzenia jego rzadkości. Częściej jednak dzieci nudzą się w końcu, porzucają zbiory i zbieranie, bo nie przed-

stawiają one wystarczającego materiału dla ich więcej już rozwiniętego umysłu. Dlatego też uważam, że daleko pożyteczniejszem jest zbieranie, kompletowanie *muzeum dzieciennego*.

Dom i podwórze, ogród i pole, łąka i las, wieś i miasto dają obfity materiał do wszelkiego rodzaju zbiorów. Rośliny wszelkiego rodzaju, kamienie, gatunki drzewa, jajka ptasie, owady, drobne zwierzęta wypchane, kory różnych drzew, korzenie i owoce ważniejszych roślin i t. p. stanowią materiał takiego muzeum. Nietylko natura, ale i to, co wynaleźli ludzie, może równie dobrze wejść w skład takich zbiorów: a więc narzędzia, broń, naczynia, sprzęty domowe, części ubrania charakterystyczne dla danej miejscowości, środki lekarskie, farby, monety, godła, herby i t. p. Nie ilość pojedynczych działów, także nie ilość okazów stanowią o wartości i pożytku muzeum, ale sposób, w jaki je zebrano, sposób, w jaki zaznajamiano dziecko z danym przedmiotem, tłumaczono mu jego własności, znaczenie, wartość, objaśniono, dlaczego on się do zbiorów kwalifikuje.

Objaśnię na przykładzie, w jaki sposób to muzeum i zbieranie pojmuję.

Weźmy jakiś przedmiot. Dziecko np. często słyszy o chininie; pyta się: co to takiego, z kąd pochodzi, do czego służy? i t. d. Jeżeli rodzice tego wszystkiego dobrze nie wiedzą i na pytania zaraz

odpowiedzieć nie mogą, zwykle zbywają dziecko niczem, wykręcają się, dając mu byle jakie, często fałszywe tłumaczenie. Tak postępować nie można; należy mu powiedzieć: „nie wiem, moje dziecko, ale wkrótce powiem ci o tem.“ Taka odpowiedź najprzód nie zaprowadzi dziecka na drogę fałszywych wniosków, następnie nauczymy je przyznawać się do nieświadomości, rozumieć, że nie umieć, nie wiedzieć czegoś niezawsze jest nagany godnem, że niezawsze wstydzić się tego należy. Po zebraniu potrzebnych informacji co się tyczy chininy, kupujesz w aptece trochę tego preparatu zamkniętego we flaszeczce i dajesz dziecku do jego zbiorów. Powiesz mu następnie, że w Południowej Ameryce rośnie około dwudziestu gatunków drzew, których kora zawiera powyższe lekarstwo. Z mapą w ręku pokażesz miejscowości, gdzie przeważnie rośnie, objaśnisz, że z tych wielu gatunków używane są tylko niektóre: mianowicie kora chinowa żółta, brązowa i czerwona. Objaśnisz mu następnie pochodzenie nazwiska, dalej w jaki sposób została do Europy sprowadzoną, jak drogą była dawniej, jak obecnie tania, dlaczego cena tak spadła. Wreszcie objaśnisz działanie chininy jako środka lekarskiego.

Innym razem włączysz do jego zbiorów parę gatunków kawy, objaśniając dziecku, że kawa i china są to rośliny, należące do jednego gatunku. Przy tej okoliczności, jak i poprzednio, dajesz dzie-

cku cały szereg pożytecznych i zajmujących rzeczy z geografii, historii, historii cywilizacyi, z nauk przyrodzonych, chemii i t. p., w formie zajmującej, bo związanych z przedmiotem, który je w danej chwili interesuje, bo odpowiadających na cały szereg pytań, które mu się samodzielnie nasunęły.

Jak widzimy, o jednostronności mowy być nie może: w takim muzeum dziecko powinno się spotykać nietylko z naturą, ale i sztuką, nietylko z rzeczami pożytku, ale i piękną.

Koszt takiego muzeum jest niewielki, a pożytek nieobliczony. Dlatego też każda matka, która chce rzeczywiście pomódz dziecku w nauce szkolnej, przygotować je do niej, następnie chce je rzeczywiście rozwinać, umysłowo wykształcić, powinna założyć w domu u siebie tego rodzaju zbiory.

XLII. Czem ma zostać nasz chłopiec?

Wychowanie dziecka stanowi dla rodziców zadanie nietylko najważniejsze, ale i najtrudniejsze. Dobrze wychować dziecko jest to zadanie bardzo skomplikowane, zależne od mnóstwa czynników i wpływów; wskutek tego nie dziwnego, że nawet najlepszym, najrozumniejszym, najbardziej

doświadczonym rodzicom lub nauczycielom zdarza się popełniać błędy, otrzymywać rezultaty niezgodne z celem, który sobie założyli. Zaraz od początku, już w samem dzieciństwie, rodzice muszą rozstrzygnąć sobie szereg zasadniczych pytań, z których najważniejsze: „czem ma zostać nasz chłopiec?”

Niestety, w naszych czasach popełniają może zbyt wiele błędów przy wyborze dla dziecka przyszłego rodzaju zajęcia; bądź rozstrzygają, czem ma być dziecko, zbyt wcześnie, lub zbyt późno; inni zdają się na los, na „jakoś to będzie!”

Rodzice, mieszkający na wsi, stale popełniają ten błąd, że zbyt późno wysyłają dzieci do miasta, do szkół lub gimnazyów. W mieście natomiast zbyt się z tem śpieszą, szląc do szkół dzieci, które niedawno może mówić się nauczyły.

Opieszałość rodziców, którzy zbyt późno zdecydowali się na obranie zawodu dla chłopca, niejednokrotnie już wydała bardzo zgubne owoce, marnując zdolności wiele obiecujących chłopców. Dzieje się to właściwie skutkiem obecnego systemu szkół i zakładów naukowych, które posiadają pewien ścisły rygor, mają swoje prawa i przepisy. Otóż wskutek tego dziecko dostaje się do pierwszej klasy zbyt późno, lub niezbyt dobrze przygotowane. Wówczas zwykle, jeżeli zaraz swoich kolegów nie dogoni, to utyka ciągle w przejściu z klasy do klasy, pozostaje często na drugi rok, wreszcie kończy

gimnazyum w późnym wieku, nie ma czasu na zbadanie swoich zdolności, musi kończyć jakiś wydział praktyczny—o przechodzeniu z fakultetu na fakultet, w celu chwytnięcia wiedzy możliwie szeroko, mowy być nie może, inaczej kończy zakład naukowy zbyt późno, braknie mu czasu na zdobycie sobie stanowiska, założenia rodziny i t. d.

Czyli, że im później skierujemy swego syna na daną drogę, tem musimy być pewniejsi, że odpowiada ona jego chęciom i zdolnościom, że z niej już nie zejdzie; o ile w takim wypadku wstrzymywanie się z posyłaniem do szkół, t. j. przy jednoczesnem badaniu i rozwijaniu chłopca w domu, jest dobrem, o tyle spóźnianie się, przeciąganie terminu oddania do szkół lub nauki dla błahych względów, łatwych do usunięcia, jest opieszałością nie do darrowania: późno a bez dokładnego zbadania jego zdolności, pchnięte na niewłaściwą, na chybił trafił obraną drogę, co krok utyka, zwykle do ostatecznego celu nie dochodzi; i im bardziej przeciągać ten termin będziemy, tem trudniej dziecku wyszukać sobie odpowiedniejszej drogi, gdyby się okazało, że obrana mu nie odpowiada.

Są znowu rodzice, którzy zbyt wczesnie myśla o wyborze przyszłego zajęcia dla swych dzieci; posyłają je wczesnie do szkoły kadetów, do seminarjum nauczycielskiego, do konserwatorium, do szkoły rysunkowej lub rzemiosł i t. p. Ci popeł-

niają błąd bardzo gruby. Rodzice widzą np., że dziecko ich jest muzykalne; myśl zrobienia z niego muzyka leży bardzo blisko. Jak jednak zbłądzić można, w ten sposób postępując! Pomyśleć tylko, jak trudno często zdecydować o zdolnościach nawet dla samych nauczycieli, doskonale znających zarówno sam przedmiot jak i dzieci,—jak trudno powiedzieć, czy dany kierunek odpowiada ogółowi zdolności dziecka, jego naturze,—czy pchnięcie go w tym kierunku nie będzie skrępowaniem, zduszeniem rzeczywistych jego zdolności w innym kierunku? Póki jest jeszcze dzieckiem i sam siebie krytycznie ocenić nie potrafi—to jeszcze pół biedy. Ale kiedy wyrośnie, wówczas dopiero więzy poczuje i, mając np. zdolności do rysunku, malarstwa, będzie musiał studyować konstrukcyę murów fortecznych, lub ślezczeć nad łaciną i greką.

Dlatego też z obiosem specjalnego, chlebobodowego zajęcia nigdy śpieszyć się nie należy: najprzód ogólne, możliwie wszechstronne teoretyczne i praktyczne wykształcenie, potem dopiero specjalne studia w kierunku, który ma nam zapewnić utrzymanie.

Trzecia kategoria rodziców pozostawia obiór zajęcia własnemu synowi, bądź też zdaje się na czas lub przypadek.

Wydaje się to bardzo rozumnem pozostawiać dziecku swobodę co do wyboru przedmiotu, którym

się zajmować pragnie. Tymczasem zdarzają się wypadki, i to niezbyt rzadko, że taka swoboda wcale nie daje dobrych rezultatów. Młodzieniec nie wie, czy do zajęcia, które sobie upodobał, posiada oprócz zdolności jeszcze szereg innych warunków, jak zdrowie, środki materyalne, siłę do przeciężenia zwykle tam spotykanych trudności i t. p. Zresztą sam rodzaj karyery jest mu zwykle bardzo mało znanym. Dlatego też zdarza się, że, skończywszy nauki, otrzymawszy patent, młodzieniec wchodzi w świat, pragnie zbierać zasłużone owoce swej wieloletniej pracy—i okazuje się, że wszystko to inaczej się przedstawia, aniżeli sobie wyobrażał. Fach przepełniony, konkurencyja niemożliwa; trudności, jakich wcale nie przewidywał, do przeciężenia których wcale się nie sposobił—moc ogromna; wszyscy się kręcą koło drobiazgów—o wyższych celach, o których młodzieniec na uniwersytecie marzył, nikt tu nie mówi. Rezultatem tego rozczarowanie. Zniechęcony, bądź porzuca obrany zawód i tuła się potem z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć odpowiedniego miejsca, bądź też trwa w nim, ciągnąc ciężką taczkę aż po koniec dni życia.

Dlatego też, decydując się na obiór zawodu, nie wystarczy poznać siebie i swoje zdolności, ale trzeba znać zarazem ogół przyszłych warunków, w których nam działać i żyć przyjdzie,—poznać, czy

siły nasze im odpowiadają, czy im sprostamy, czy nie będą one dla nas zaciężkie.

Obecnie nadprodukcya jest zjawiskiem dnia, faktem ogromnie częstym. Nawet człowiek doskonale w swym fachu wyćwiczony nie jest w stanie osiągnąć tego, coby mógł, czego się spodziewać miał prawo.

Nie znaczy to jednak wcale, abyśmy rozstrzeliwali się na kilka różnych fachów. Normalnie zdolności ludzkie są ograniczone, a czas krótki; wskutek tego rzadko się zdarza, aby taki człowiek zrobił coś poważnego: wprowadzie ułatwia to przeczucie się z zajęcia na zajęcie, ale z drugiej strony praktyka okazała, że ci najpewniej dochodzą do stanowiska, do zdobycia sobie niezależnego bytu, którzy, obrawszy sobie jakąś specjalność, starają się osiągnąć ją możliwie dobrze; tacy ludzie zwykle stają poza konkurencyą, pobijają innych, o mniej zdecydowanej specjalności. Rzecz prosta, że takie wyspecjalizowanie się w jednym kierunku wcale nie wyłącza ogólnego wykształcenia. Specjalizacya, podział pracy leży w rozwoju ludzkości i cywilizacyi, jest jego prawem,—z tą też rozumnie postępują ci rodzice, którzy o tem nie zapominają. Zawsze jednak pamiętać należy, że najprzód dziecku trzeba dać wykształcenie możliwie ogólne, a dopiero później skierować je na jakąś specjalną drogę, którą obrać trzeba po pozna-

niu i ściśle w zważeniu wszystkich *pro i contra*, t. j. zarówno co się tyczy zdolności, natury samego dziecka, jak i obranego zajęcia.

XLIII. Przyszłość dziewcząt.

Nadprodukcyja współczesna jest faktem zarówno w sferze zajęć czysto praktycznych, technicznych, jak i w dziedzinie pracy naukowej, duchowej. Na stworzenie tego stanu złożyło się wiele czynników natury politycznej i ekonomicznej, których obecnie rozbierać nie będziemy. Te wszystkie skutki odbiły się i na kobietach, wywołując odpowiednią reakcyę: zjawiała się t. z. kwestya kobieca, która jest niczem innem, jak walką kobiet o chleb powszedni, o chleb zdobyty własną pracą, o chleb, którego im odmawiają dotychczasowi jego dostarczyciele — mężczyźni, wskutek właśnie utrudnionych warunków jego zdobywania. Ztąd też kwestya kształcenia dziewcząt tak, jak chłopców, t. j. w kierunku, któryby im zapewnił byt bez oglądania się na pomoc innych, zyskuje coraz to więcej zwolenników i, co ważniejsze, zwolenniczek.

Stary sposób kształcenia dziewcząt szeregiem przykrych a prawdziwych faktów dowiódł, że jest niewystarczającym, nieodpowiednim dla współcze-

nych warunków. Zabardzo zwracano dotychczas uwagę u dziewcząt na zewnętrzną stronę, zamało dbano o rzeczywiste, istotne, wewnętrzne wykształcenie. Przeciwno temu systemowi wystąpiono, zjawiała się reakcja i, jak zwykle, przeholowano — w przeciwną stronę: zaczęto rozwijać umysł, uczono dziewczynkę praktycznych zajęć, chlebobajnych, zapominając o ogólnem wykształceniu, o rowinięciu uczuć, talentów, wyrobienia tego, co nazywamy charakterem. Ztąd też od niejakiogo czasu wśród świata kobiecego zjawiają się istoty uczone, umiejące wiele, ale niewykształcone, słowem zjawia się toż samo, cośmy na początku książki mówili w zastosowaniu do mężczyzn.

Praktyka jednak wskazuje, że ten prąd emancypacyjny wśród kobiet nie rozstrzyga kwestyi, nie poprawia właściwie ich materyalnego bytu. Wskutek napływu kobiet do zajęć chlebobajnych wzmaga się konkurencya, zarobki zmniejszają się jeszcze bardziej.

Dowiedziono; że obecnie rodzina, złożona z ojca, matki, kilkorga dzieci — jeżeli wszyscy pracują w fabryce, — zarabia nie o wiele więcej, jak dawniej zarabiał ojciec: czyli nikt właściwie wiele nie zyskał, zato każdy pracuje w czwórnasób w porównaniu z tem, co było dawniej.

Były czasy, i to nie tak dawno, kiedy córki nie potrzebowały myśleć o przyszłości pod wzglę-

dem zapewnienia sobie bytu, nie uczyły się rzemiosł, nie kończyły szkół zawodowych, uniwersytetów. W domu dawano im bardzo skromne wykształcenie; prowadziły zamknięte, domowe życie, w oddaleniu od szerszego świata. O córki nie troszczono się bardzo: wiadano, że jeżeli nie były ułomne, lub nie zdarzył się jaki nieszczęśliwy zbieg okoliczności, córki wychodziły za mąż i miały los zapewniony. Tymczasem obecnie kobiety, wskutek wyższego wykształcenia, rozszerzenia sfery życia towarzyskiego i społecznego, nabyły większych wymagań. Tymczasem mężczyźni, przy ciśnieniu trudnemi warunkami ekonomicznemi, coraz mniej mogą wstępować w związki małżeńskie, robią to w coraz późniejszym wieku. Wskutek tego mamy znacznie więcej takich panien, które wcale za mąż nie wychodzą.

Zmniejszanie się szans wyjścia za mąż i w ten sposób zapewnienia sobie przyszłości zmusza kobiety do szukania innych dróg wyjścia. Że to niełatwe, przekona się, lub już, niestety, przekonała się o tem niejedna z matek, mających córki. Dlatego też niższe, biedniejsze klasy już dawno zaczęły przygotowywać swe córki do zajęć praktycznych, uczyć je pewnych zajęć chlebobajnych. Pomału biorą się do tego i średnie, inteligentne warstwy ludności, godząc się, że ich córki będą kiedyś doktorkami, dentystkami, operatorkami, buchalterkami, te-

lefonistkami i t. p., zarabiając same na chleb, nie oglądając się na męża, który ma pewnego pięknego poranku zajechać poczwórną karetą przed dom jej ojców i złożyć u jej stóp pieniądze, dom, cugi, szaty, wraz z swem sercem w dodatku.

Co się tyczy niektórych zajęć praktycznych kobiecych, to i tu czuć już przeludnienie. Obecnie chleb guwernantki, nauczycielki, szwaczki i t. p. nie jest wcale ani obfitym, ani zbyt słodkim; zaofiarowanie rąk w tym kierunku o wiele przewyższa zapotrzebowanie; tysiące zdolnych nauczycielek, pracownic różnego rodzaju pozostaje bez chleba.

Jak się te stosunki w przyszłości ułożą, wiedzieć trudno. Praktyka już obecnie wykazała, że do niektórych zajęć kobiety okazują więcej zdolności, bardziej są odpowiednie, aniżeli mężczyźni. Tak np. wiele zajęć lżejszych, niewymagających wiele sił fizycznych, a więcej systematyczności lub zręczności, kobiety wypełniają lepiej. Do tego rodzaju zajęć należy większość biurowych, roboty artystyczne, jak malowanie na drzewie, porcelanie, rozumie się gdzie nie wchodzi w grę talent, bo tam płeć, siły fizyczne i t. p. nie znaczą. Dalej, leczenie kobiet i dzieci, cała sprawa wychowania powinna właściwie spocząć w rękach kobiet.

Oprócz tego większość dotychczasowych zajęć kobiecych stała się bardzo mało produkcyjną.

Mówiliśmy już o zawodzie nauczycielskim. Drugim ważnym dotychczasowym środkiem zarobkowania kobiet były roboty ręczne, jak szycie, haftowanie, robota na kanwie, szydełkiem lub na drutach. Niestety, wskutek ulepszeń technicznych wszystkie te rzeczy daleko łatwiej i prędzej robi maszyna, przeto praca ręczna ogromnie spadła w cenie i obecnie już uczenie dziewczynek szeregu „robótek“ straciło prawie zupełnie znaczenie nawet w zwykłym gospodarstwie domowym, a tem mniej może być uważanem jako środek samodzielnego zdobycia sobie środków materyalnych.

Wogóle można powiedzieć, że przyszłość naszych córek jest jeszcze bardzo mglista, mało możemy jeszcze o tem mówić, a tem mniej dawać jakieś praktyczne rady i wskazówki. Pewne są dwie rzeczy: o jednej z nich pomówię zaraz, o drugiej w następnym rozdziale.

Pierwsza: że obecnie każda dziewczynka powinna być kształconą tak, aby z nauki mogła kiedyś ciągnąć materyalne korzyści, aby w razie wypadku sama mogła zarobić na swoje utrzymanie. Przytem starać się usilnie należy o wyrobienie w dziewczynce silnego charakteru, woli, trzeba dać jej silne ciało do walki z przeciwnościami, następnie obeznać ją ze światem, ludźmi i ich sprawami, pamiętając, że w przyszłości, tak czy owak,

córka nasza będzie miała z niemi do czynienia, bądź walcząc z niemi, bądź opierając się na nich.

Uzbroiwszy w ten sposób córkę w zdrowie i siłę fizyczną, w moc ducha i charakteru, następnie włożywszy jej w rękę taką broń, jak znajomość życia oraz szereg praktycznych i teoretycznych wiadomości, uzdalniających ją do pracy zawodowej, możemy być pewni, że da sobie radę na świecie, że z czasem znajdzie chleb, szacunek, może sławę, a co najważniejsza—będzie mogła założyć swoje własne rodzinne ognisko, pracą pomagając mężowi w trudnej kwestyi utrzymania domu i wychowania potomstwa.

XLIV. Dobrobyt.

Już parę razy miałem sposobność zaznaczyć, że jednym z obowiązków wychowawcy jest uchronić duszę dziecka od grubego zmateryalizowania, wyrobić mu miłość i szacunek dla rzeczy idealnych.

Zdawało się, że idealność wyłącza dbałość o potrzeby materyalne. Tak jednak nie jest, a właściwiej ma to miejsce tylko wówczas, kiedy duszę człowieka przenika idealizm niezdrowy, egoistyczny, nie tyle starający się wznieść go w krainę rzeczy-

wistego piękna, szczerzej cnoty, a raczej odrywającego go od świata, od bliznich, od ich codziennych trosk i kłopotów, pogrążając w wygodne odosobnienie, gdzie się żyje tylko samym sobą, dla samego siebie — rozumie się szczęśliwie i w dobrobycie, który pozwala właśnie zapomnieć o grubej, niskiej materji. Dbałość o dobrobyt, praca nad zapewnieniem sobie bytu, wcale nie wyłącza idealizmu — i o taki idealizm jedynie starać się powinno, idealizm, płynący ze szlachetności duszy, z rozwiniętych uczuć.

W dzieciństwie byliśmy prawie wszyscy szczęśliwi; pomimo nawału pracy w latach chłopięcych i w pierwszych latach dojrzałości, świat czarno się nam nie przedstawiał: dusza, rozkołysana w marzeniach o przyszłości, zdawała się tonąć w idealizmie nigdy niezagasłym.

Ale młodość przechodzi; z dziewczęcia staje się kobieta, młodzieniec wyrasta na mężczyznę. Pierwszy krok w kierunku zapewnienia sobie dobrobytu został zrobionym; powoli kwiaty i liście idealizmu spadają jeden za drugim i zostaje się tylko drzewo, nagie, odarte z zieloności — to czarna troska o chleb powszedni zwarzyła świeżą i tętniącą życiem zieloność. Niewielka tylko garstka mężczyzn i kobiet zdołała się oprzeć niszczącemu działaniu życia, zachowała, pomimo jego oporu, i świeżość i kwiaty.

Niezawsze dobrze, jeżeli dziecko ogląda się na rodziców, otrzymuje od nich nawet w późniejszym wieku środki do życia. Ale gorzej, jeżeli widzisz córkę, walczącą jako matka rodziny z kłopotami i trudami żywota. Ciągła walka o chleb powszedni dostarcza szereg gorzkich chwil, które wreszcie zniszczą wszystkie idealniejsze porywy duszy, odrą z kwiatów i zieloności, pozostawiwszy martwy szkielet po sobie. Dlatego też rodzice muszą dbać o zapewnienie przyszłości swym dzieciom, dać im środki do walki, aby zdobycie chleba nie przychodziło im zbyt ciężko, aby, co gorsza, nie przechodziło ich sił i zdolności.

Nietylko należy przyuczać córkę do oszczędności, do liczenia się z groszem każdym; trzeba oprócz tego dać jej jeszcze coś pozytywnego. Mam tu na myśli szereg urządzeń, instytucyj, które za opłatą pewnej określonej, co pewien odstęp czasu płaconej składki, zapewniają byt potomstwu, rodzinie uczestnika w razie jego śmierci. Do tego rzędu należą towarzystwa ubezpieczeń na życie, emerytury, kasy wzajemnej pomocy, kasy oszczędności i t. p. Stały się one w obecnych czasach tak licznymi, tak dla wszystkich dostępnymi, że dziwić się należy tym, którzy, mogąc przystąpić do jakiegoś towarzystwa, czy kasy, jeszcze się z tem ociągają. Wszak chodzi tu o przyszłość dzieci, którym, dzięki

ojcu, łatwiej potem będzie walczyć z trudnemi warunkami życia.

Jednym zatem z obowiązków ojca lub matki, niespodziewających się zostawić po sobie funduszków na najbardziej naglące potrzeby swych dzieci, powinno być ubezpieczenie się w jakim znanem i pewnem towarzystwie. Szczególniej ciąży ten obowiązek na tych, którzy posiadają córki. W razie śmierci ojca, lub wypadku długiej choroby, córki nie będą nagle pozbawione środków do życia. Ilu smutnym dramatom rodzinnym można w tak prosty sposób zapobiedz skutecznie?!

Nie brak także kas oszczędności, przy pomocy których można sobie choć w części przyszłość zapewnić. Przyzwyczajaj dzieci do odkładania co miesiąc pewnej sumki z otrzymanych kieszonkowych pieniędzy. Nawet drobne kwoty, ale składane systematycznie, po pewnym czasie dadzą pokąźną sumę, która się zawsze przyda w trudniejszych okolicznościach życia.

Szczególniej, powtarzamy, należy to robić dla córek. Żyjemy w czasach, w których utrzymać się coraz trudniej, a szczególnie kobietom. Walka o chleb stała się ostrzejszą, więcej zażartą, dlatego też lekkomyślnością jest ze strony rodziców wcześniej nie pomyśleć o przyszłości swych córek, tembardziej, jeżeli nie dali im w rękę

jakiegoś środka, któryby pozwolił samym zarabiać na życie.

XLV. Kolonie letnie.

Stałe przeciążenie pracą fizyczną i umysłową obecnych ludzi musiało się w końcu wyraźnie odbić na ich zdrowiu. Liczba krótkowidzów, nerwowych, z wąską piersią, ze skłonnościami do suchot, z dziedzicznymi chorobami i t. p., wzrasta coraz bardziej, zwracając uwagę lekarzy, budząc obawę wśród sfer, którym zdrowie i szczęście ludzkości na sercu leży. Z drugiej strony znowu, możemy być dumni, że wszędzie wśród społeczeństw cywilizowanych wszelkimi siłami zło zwalczać usiłują i w wielu wypadkach z walki szczęśliwie wychodzą, wydzierając z rąk śmierci setki tysięcy ludzi. Chorobom tego rodzaju zapobiegać można jedynie w dzieciństwie. Dlatego też, aby poprawić zdrowie dzieci, wysyłają je zbiorowo na kolonie letnie. Na całym świecie utworzyły się towarzystwa, jak obecnie jeszcze tylko filantropijne, t. j. stojące jedynie ofiarnością publiczną, które zbierają słabowite dzieci przeważnie biedniejszych rodziców i wysyłają je na

wieś, nad morze, w góry, pod kierunkiem lekarzy i nauczycieli. Skutki takiego postępowania okazały się zbawiennymi dla przyszłych pokoleń, dając im ludzi zdrowych i na ciele i na umyśle.

Liczba tych stowarzyszeń wzrasta ciągle. I u nas także, dzięki staraniom ludzi dobrej woli, powstały kolonie letnie, dając corocznie siły i zdrowie kilku setkom chorych i biednych dzieci. Instytucja ta godną jest ze wszech miar poparcia i nikt nie powinien się usuwać od wspierania jej, pómnać, że ona wpływa na podtrzymanie sił i zdrowia całego społeczeństwa, dając mu siły do zniesienia trudów życia.

Innym typem tego rodzaju instytucyj, który, niestety, u nas reprezentanta nie posiada, są t. z. sanatoria szkolne, zakładane w górach, nad morzem, wogóle gdzieś zdala od miasta, w miejscowościach o dobrych warunkach co do zdrowotności, gdzie posyłają dzieci słabowite, niemogące chodzić do ciasnych zwykle i niewygodnych szkół w mieście—tam otrzymują naukę, kształcą się jak w zwykłej szkole.

Liczba takich sanatoryj wogóle dotychczas jest bardzo mała, ale skutki, jakie już przyniosły, okazały się bardzo dobrymi.

Zakładanie szkół po wsiach, wogóle nie w miastach, jest to najlepsze rozstrzygnięcie kwe-

styi poprawienia warunków zdrowotności nauki szkolnej; w takiej szkole dziecko, będąc zdrowszem, silniejszym, daleko łatwiej może przyjąć i strawić obfity pokarm duchowy, jakiego mu obecna szkoła dostarcza, nie podlegając smutnym skutkom przeciążenia pracą naukową. Tyczy się to przeważnie pierwszych lat, okresu najszybszego rozwoju fizycznego, w którym wszelkie zboczenia od zwykłego, normalnego trybu życia najłatwiej dotykają organizm, najłatwiej wywołują w nim nienormalności i choroby. W późniejszym wieku, na parę lat przed dwudziestym rokiem, kiedy siły wzrosną, ciało już się ukształtuje, można w dalszym ciągu uczyć się w mieście: wówczas gorsze miejskie warunki nie tak łatwo na ciało i ducha wpływają, ponieważ te już skrzepły, ustaliły się, wzrosły w siły, przebywając przez dłuższy czas na łonie natury, prowadząc życie zdrowe i normalne.

Jedno jest tylko jeszcze do zarzucenia takim sanatoryjom — mianowicie: są drogie, a co za tem idzie, dostępne tylko dla zamożniejszych. Należy jednak oczekiwać, że skoro tylko ten system szkół bardziej się rozszerzy, i biedniejsze dzieci będą mogły korzystać z dobrodziejstw takich sanatoryj szkolnych.

XLVI. Strach i miłość.

Owoc, najpiękniej z zewnątrz wyglądający, może być wewnątrz robaczywym; piękna, błyszcząca szata, pociągający wygląd zewnętrzny nie może stanowić gwarancyi wewnętrznej wartości ani rzeczy, ani postępowania, ani człowieka. Najpiękniej, najzdrowiej wyglądające drzewo obala pierwsza silniejsza burza, jeżeli pień był wewnątrz spruchniałym: aby się oprzeć porywom wichrów, trzeba, aby i wewnątrz drzewo było zdrowe.

Tak samo wewnętrzna strona dziecka, człowieka, jego duch, serce, muszą być piękne i zdrowe; osiągnąć taki rezultat udaje się jedynie tym, którzy potrafią oddziaływać na wewnętrzną stronę człowieka, urabiać ją, kształcić, wzmacniać, bronić od choroby.

W domu, gdzie matka i ojciec są już zadowoleni, jeżeli przy pomocy rozkazów, rygoru, groźby i kary zmuszą dziecko do tego, że wypełnia swe obowiązki, pracuje, uczy się, postępuje tak, jak oni sobie tego życzą — w takich warunkach o rzeczywistym wychowaniu, kształceniu, mowy być nie może.

Metoda wychowania, która polega na karaniu i upominaniu, nie jest ani dobrą, ani prowadzi do celu, który osiągnąć pragniemy. Dziecko wobec

groźby kary robi wszystko, co mu każą, na podobieństwo tresowanego psa lub konia; być może, że z obawy będzie robiło wszystko, co rozkaz w sobie mieści. Na podobieństwo żołnierza, uczyni wszystko dokładnie, ale tylko to, co mu zostało przykazanem, nic nad to więcej. Ale może się zdarzyć, że pewnego pięknego dnia groźby i kary przestaną działać na nie, zerwie krępujące je więzy, lub te znikną wskutek śmierci rodziców, lub wskutek jakiejś zmiany w jego położeniu; wtedy odpadną od niego wszystkie cnoty, wyrobione groźbą i karami, pozostanie surowem tak, jak gdyby nigdy nie było chowaniem i kształconem.

Kara działa umoralniająco tylko zewnątrz; na wewnętrzną stronę bądź nie działa wcale, bądź w wprost przeciwnym kierunku. Ztąd też rezultaty, tą drogą otrzymane, dotyczą tylko zewnętrznej strony człowieka — wychowanie jest tylko powierzchownem. Dziecko, krępowane z góry nakreślonymi przepisami, rozkazami, które wypełnić musi pod groźbą kary, czuje się skrępowanem, przyciśniętem, źle mu w tych więzach, tak przeciwnych wszelkim lepszym ludzkim jednostkom. Z niecierpliwością będzie wyczekiwał chwili, kiedy wreszcie zniknie ta krępująca opieka, kiedy poczuje się wolnym, będzie mógł postępować swobodnie. Otrzymawszy wolność,

żyje wprost przeciwnie, jak chcieli jego wychowawcy,—bo wszystko, co robił dawniej, co mu przykazywano, wstrętem go przejmuje, bo przypomina mu dawną niewolę. Rzeczy piękne, szlachetne, płyną zawsze z czystych, niczem niekrępowanych porywów duszy — taką już jest natura ludzka, takie są najistotniejsze właściwości piękna i dobra!

Błędem jest mniemanie, jakoby posłuszeństwo, tembardziej wywołane karami, było rzeczą, którą każdy wychowawca powinien starać się w dzieciach wyrobić. Posłuszne dziecko jest wprawdzie bardzo wygodne, bo pozornie niema z niem kłopotu — robi ono wszystko, co mu rozkażą. Ale z drugiej strony, jest to bądź automat, bez woli, bez indywidualności, bez siły ducha, charakteru, słowem bez tego wszystkiego, co wychowanie w człowieku wyrobić powinno,—bądź też natura obłudna, pełna fałszu i hipokryzyi,—słowem posiada cechy, które w nikim nie są pożądane. Posłuszeństwo staje się powierzchownem, długo stosowane wreszcie ogłupia, tłumiąc wszelką indywidualność, wszelkie porywy samodzielnego uczucia lub umysłu.

Nie. Nie ślepe posłuszeństwo jest oznaką dobroci, porządku, ale miłość dziecka do rodziców, szczere zamiłowanie tego, co jest rzeczywiście do-

brem, pięknem, pożytecznem, co bez wszelkich przykazów i surowych kar robić się powinno.

Nie kara i ciągle napominanie, ale miłość, z serca matki płynąca, obawa zrobienia jej przykrości, powinny być owemi czynnikami, które popierają dziecko w jego dobrych zamiarach, budzą i podtrzymują jego szlachetniejsze popędy, uczucia, trzymają przy dobrem i szlachetnem, powstrzymują od niskiego i złego. Nie wola, z zewnątrz narzucona, winna dzieckiem kierować, ale własny jego umysł i serce powinny być sprężyną, nadającą impuls i siłę jego uczynom, myślom i uczuciom.

Uczyń, matko, swe dziecko człowiekiem silnym, zdrowym, szlachetnym, miłującym wszystko, co piękne i dobre, a nie będzie potrzeba kar, strachu, aby je od złego odciągnąć.

Same kary nie nie robią—można dojść do tego jedynie rozumną miłością, kierowaną wskazówkami rozumu, ogólnemi prawami wychowania, zdobytemi przez długowiekową praktykę całej ludzkości.

XLVII. Zakończenie.

„Zapóźno!“ — Jak często słyszymy te słowa, pełne smutnego znaczenia, z ust innych, lub, co gorszej, czujemy, jak wyrrywają się nam z ust, z serca!

„Zapóźno!“ — powtarzamy w tysiącach okoliczności życia, kiedy staniemy się ubożsi o jedną nadzieję, bogatsi o jedną troskę więcej, kiedy nieubłagany czas przesunął się ponad naszymi głowami i nie go już cofnąć nie może.

Człowiek raz się tylko rodzi i raz tylko umiera. Stara to prawda. Ale i to pewne, że raz tylko wychować go można. Dziecko, urobione za młodu, wychodzi na człowieka, ciągnąc z sobą wszystkie błędy swoje i swoich wychowawców, wszystkie ich zalety.

Przedmiot nieożywiony, sprzęt, maszynę, można poprawić, można niszczyć oddzielne jej części, wstawiać inne, można wreszcie całą zniszczyć i zrobić nową. Z człowiekiem inaczej: co raz się zepsuło, tego w zupełności potem poprawić nie można. Złe ziarno, rzucone za młodu w serce dziecięcia, nie przepada, zarówno jak i dobre: jeżeli kiełkować zacznie, puści korzenie, stłumić je można, — ale wyrwać, zniszczyć w zupełności — nigdy.

Rozwój życia ludzkiego podobnym jest do tworzenia się i spadania lawiny. W początku tę

pierwszą bryłkę śniegu, oderwaną od gór szczytów, można jeszcze wstrzymać w biegu, zwrócić w dowolną stronę; ale później, kiedy nabierze i masy i pędu, staje się niezwyceźoną, idzie swoją drogą tam, gdzie chce, i nic ją już wstrzymać, ani zwrócić z drogi nie jest w stanie. Tak samo w życiu: z dzieckiem wiele jeszcze zrobić można, ale starsze idzie już swoją koleją, jest takim, jakim jest, i nic go już nie zmieni.

Chcąc zatem, aby człowiek był dobrym, trzeba w młodości posiać obficie ziarna dobrego i szlachetnego, uczynić wszystko, co duszę jego tak urobić, tak rozwinąć, tak skierować może, aby późniejsza droga jego życia była prostą, jasną, aby przeszedł przez życie czystym, niezwałanym brudem, aby pozostawił po sobie w sercach ludzkich trwałe i dobre wspomnienie.

Na zakończenie życzę ci, matko, aby później, gdy będziesz patrzeć na życie dorosłych swych dzieci, na ich czyny, słyszeć, co mówią, co czują i myślą, słowa „zapóźno“ nigdy nie przeszło przez twoje usta, aby ci nigdy żal serca nie ścisnął, a przez myśl nie przesunęło się fatalne: „czemu wówczas nie zrobiłam tego?..“

KONIEC.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
I. Uczoność	3
II. Wykształcenie	9
III. Niezbędne warunki do założenia rodziny .	15
IV. Matka i dziecko	24
V. Rodzina i dziecko	30
VI. Najważniejszy punkt w wychowaniu . .	34
VII. Rozwijanie samodzielności	39
VIII. Kształcenie ciała	47
IX. Natura	51
X. Religia	56
XI. Język	62
XII. Zabawy dzieciinne	64
XIII. Jedność i konsekwencya	69
XIV. Święta	75
XV. Prawda	79
XVI. Sztuka	84
XVII. Zmysłowość	92
XVIII. Zajęcia praktyczne	95
XIX. Służące do dzieci	101
XX. Wpływ przykładu	106
XXI. Guwernantki	109
XXII. Samodzielność i silna wola	112

	<i>Str.</i>
XXIII. Zewnętrzne pozory	117
XXIV. Języki obce.	124
XXV. Humanitarność	128
XXVI. Wzajemne stosunki szkoły i rodziny	132
XXVII. Kara i nagroda	138
XXVIII. Opowiadania	146
XXIX. Czytanie	153
XXX. O pytaniach	160
XXXI. Nauczanie i rozrywka	163
XXXII. Wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt	165
XXXIII. Zbytek	169
XXXIV. Książki dla dzieci	172
XXXV. O rzeczach pożytecznych i kształcących	182
XXXVI. Pensyonaty	187
XXXVII. Wychowanie dziewcząt	193
XXXVIII. Samodzielność u dziewcząt	199
XXXIX. Pensye żeńskie	206
XL. Podróże	211
XLI. Muzeum domowe.	215
XLII. Czem ma zostać nasz chłopiec?	220
XLIII. Przyszłość dziewcząt.	226
XLIV. Dobrobyt	231
XLV. Kolonie letnie.	235
XLVI. Strach i miłość	238
XLVII. Zakończenie	242

KSIĘGARNIA TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat № 41,

poleca następujące dzieła, świeżo wydane własnym nakładem:

	Rs. k.
Andersen H. Bajki i opowiadania, z licznymi drzeworytami w tekście	1 20
Anonim. Co w wieku 50-ym mówić będą o wieku XIX-ym, spolszczył Adam Nowicki. Odczyty: Wstęp.—Narodowość.—Wychowanie.—Formy rządu.—Kobiety.—Miłość.—Socjologia i polityka.—Piśmiennictwo, sztuka i nauka.—Rzut oka na przyszłość	1 —
Baginsky Adolf d-r. Życie kobiety. Listy o higienie kobiecego organizmu. Wydanie drugie.	— 60
Bert Paweł. Pierwszy rok kształcenia naukowego. Człowiek.—Zwierzęta.—Rośliny.—Mineralogia.—Fizyka.—Chemia. Przełożyli J. J. Boguski i Adolf Dygasiński. Dzieło ozdobione 426 drzeworytami w tekście.	1 50
Boirac Emil, prof. fil. Zasady filozofii, przystępnie wyłożone na podstawie historycznej i opatrzone tematami rozpraw, które paryżki fakultet nauk przedstawiał kandydatom do opracowania od roku 1866 do 1888. Przełożył Adolf Dygasiński.	4 25
Buckley Arabella. Przez szkła czarodzieja. Z licznymi drzeworytami w tekście.	1 —
Bunge G. W sprawie alkoholu. Odczyt. Z drugiego wydania oryginału przełożył M. Flaum. Wydanie drugie	— 10
Carlyle T. Bohaterowie. Część dla bohaterów i pierwiaszek bohaterstwa w historii. Odyn, Mahomet, Dante, Szekspir, Luter, Knox, Cromwell, Johnson, Rousseau, Burns, Napoleon. Przekład z angielskiego.	1 50
Choiński Jeske T. Po złote runo. Powieść współczesna.	1 20
— Na straconym posterunku. Dramat współczesny w 5-ciu aktach	1 —
Czerneda Mieczysław (<i>M. Bierzyński</i>). Szkice, z portretem autora. Zemsta rywala.—Za psa.—W zamkniętej chacie.—O zmroku.—Nieplakany.—Kancelista.—Błazny.—Złodziej.—Pod strzechą.—Świadek.—Wartalek.—Czy wróci?—Wyrodna.	1 20
Gliński Kazimierz. Z walk życia. Obraz dramatyczny.	— 20
Hamsun Knut. Głód. Powieść.	1 —
Heilpern M. Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie. Kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Wydanie ozdobione 25 drzeworytami w tekście	1 50

418616

I

KSIEC

TEODORA PAPP

w Warszawie, 1

Kzg 1 2857/67 100 000

poleca następujące dzieła, świeżo wydane własnym nakładem:

- | | <i>Rs. k.</i> |
|--|---------------|
| Legouvé Ernest. Szesnastoletnia uczennica. Książka dla dorastających panien. Przełożyła T. Prażmowska . | 1 50 |
| Leśniewska Bronisława. Czterysta powinszowań na uroczystości Urodzin, Imienin i Nowego Roku. Zebrała i ułożyła dla pożytku młodzieży... | — 50 |
| Kartonowane | — 60 |
| Mendès Catulle. Złotowłosa panienska. (Życie i śmierć kłowna). Powieść. Przekład z francuzkiego . . . | — — |
| Meynert E. d-r med. Głupota mody. Odczyt. Tłumaczenie z niemieckiego | — 30 |
| Michelet J. Miłość. Kreacya przedmiotu miłości.—Wspomnienie i zjednoczenie.—O wcieleniu miłości.—O omdleniu miłości.—O odmłodzeniu miłości. Przekład z francuzkiego | 1 50 |
| Nagoda. „Jak wszystkie“ i inne nowele i obrazki. Treść: „Jak wszystkie.“—Na małą skalę.—W pogoni.—Pierwszy śnieg.—Julka.—Jedwabna chustka.—Cudza żona.—Romans panny Henryki.—Za czarne oczy.—Cała stawka.—Raz w życiu. | 1 20 |
| Ostoja. Powieści prawdziwe. Druga żona.—W gniazdku.—Wachlarz.—Widmo.—Na stacyi.—Żal.—Wróg.—Panna Berta | 1 50 |
| Prażmowska Teresa. Podręcznik do nauki literatury powszechnej | 2 50 |
| Rodziwiczówna Marya. Szary proch, powieść. . . . | 1 — |
| Rogosz Józef. Kalejdoskop. Powieść współczesna w dwóch tomach | 2 — |
| Schofield A. T. Inny świat, czyli czwarty wymiar przestrzeni. Z angielskiego tłumaczył F. Wermiński. . | — 20 |
| Treadwell F. P., prof. Politechniki Związkowej w Zürichu, ze współudziałem d-ra V. Meyer'a, prof. chemii na uniwersytecie w Heidelbergu. Tablice do analizy jakościowej. Przełożył i do użytku zastosował d-r L. Kossakowski. | — — |
| Veron Eugeniusz Estetyka. Przełożył z francuzkiego A. Lange | 3 — |
| Walewska Crecylia. Z paradoksów życia. Studya i obrazki: Moje wspomnienia.—Anemiczna.—Rachunek sumienia.—Nie.—Nie pierwsza i nie ostatnia.—Karolka.—Uspokojona.—Bulanżysta.—Pod krzyżem.—Ona i on.—Z warty.—Z czyjej winy?—O kwartet. . | 1 50 |